



WIELKA LITERA



Michał Głowiński

Carska filizanka

Michał Głowiński

Carska filiżanka



Epifania

Z wiekiem, z latami, co przybywają, choć nieproszone, przekształca się codzienność, świat wokół powolnieje, to, co dawniej zajmowało chwilę lub niewiele więcej, rozciąga się w czasie, drobne czynności anektują coraz rozleglejsze jego połacie, a zajęcia, nawet niekoniecznie wielogodzinne, które można było przedstawić w postaci linii ciągłej, zadowolić się muszą liniami przerywanymi. Z różnych powodów: bo uwaga pęka jak wąż i ucieka w niepożądane rejony, bo ziewanie staje się tak intensywne, że nie można nad nim zapanować, bo – i o to właśnie chodzi najczęściej – ogarnia człowieka wielkie zmęczenie, zyskuje bezwzględne nad nim panowanie, tak silne, wręcz dyktatorskie, że nie można mu się przeciwstawić, by nie wspominać o zwalczaniu, bo ono w ogóle szans choćby najmniejszych nie ma i w grę nie wchodzi. Na ogół wszystko to działa łącznie, solidarnie, tak jakby było w zмовie. Nie są to w żadnym razie przypadki sporadyczne, dające o sobie znać od czasu do czasu, urastają one do rangi reguły, a nawet normy narzucającej się bezwzględnie i konsekwentnie niedopuszczającej z reguły wyjątków i odchyłeń. Odkąd osiągnąłem wiek zaawansowany, należy to do mojego własnego doświadczenia, przekonałem się o tym wszystkim z wewnętrznymi oporami, z wyraźnym ociąganiem, nie chciałem tego rodzaju nowych realiów przyjąć do wiadomości, broniłem się przed nimi, wydawało mi się, że nie tylko mnie nie dotyczą, ale nigdy dotyczyć nie będą. W zasadzie nie muszę pisać o tym, w jak wielkim byłem błędzie, gdy żywiłem tak piękne i optymistyczne złudzenia. Przekonałem się o takim biegu rzeczy nie w trybie nagłym, w toku aktu przełomowego, uświadomienie – jak starość w ogólności – nadciągało powoli, stopniowo, ale konsekwentnie, to nie była sprawa jednego silnego uderzenia, które powodowało radykalne przekształcenie sytuacji. Teraz wiem, że starość i jej nadchodzenie to proces długotrwały, o wielorakich obliczach, nie można go zatem sprowadzać do poszczególnych zmian dekoracji, nawet częstych, jeśli wymaga tego prezentowany na scenie życia dramat.

Dawniej potrafiłem pracować przez wiele godzin bez przerwy, bez tych zakłóceń, których przyczyna znajduje się we mnie, umiałem zatopić się w robocie, tracąc – zdarzało się to niejednokrotnie – poczucie płynącego czasu. Tak działało się przede wszystkim, a może nawet wyłącznie, w godzinach wczesnych, przedpołudniowych, zabiegałem o to, by w tym przedziale dnia wykonywać to, co najtrudniejsze i zarazem dla mnie najważniejsze. Miałem ów bezcenny dar skupienia, który – zwłaszcza

w młodości – pozwalał mi skutecznie pracować w hałasie, w marnych warunkach lokalowych, wśród codziennego rozgwaru; owa umiejętność koncentracji malała stopniowo – i ku wielkiemu mojemu ukontentowaniu nie wygasła całkowicie, w każdym razie do tej pory. Zachowałem ten zwyczaj (ktoś być może mówiłby tu o narzuconych sobie rygorach) – i nadal usiłuję zadania, których się podejmuję, wykonywać w godzinach przedpołudniowych. Jakże one jednak różnią się od tych, które były moim doświadczeniem za młodu i w wieku średnim. Są właśnie nieustannie przerywane – nie tylko z tej racji, że uwaga ucieka od przedmiotu, którym w danym momencie powinienem się zajmować. Przede wszystkim dlatego, że ogarnia mnie zmęczenie w istocie wyprzedzające właściwą pracę, można tu mówić o swoistym szyku inwersyjnym, jest ono nie jej następstwem, ale swego rodzaju zapowiedzią, znalazło się w awangardzie. Zmęczeniu towarzyszy senność, nad którą nie jestem w stanie zapanować, muszę się jej poddać, nie rysuje się przede mną inna możliwość.

I się poddaję, jestem świadom, że jeślibym stawiał opór, usiłował się jej przeciwstawić, skazany byłbym na przegraną. A także narażał się na mękę zupełnie niepotrzebną, szczególnie że całkiem łatwo można do niej nie dopuścić, zdusić ją w zarodku. Robię to również po napisaniu tego zdania: odkładam pióro i kieruję się ku tapczanowi. O wczesnej porze dnia owo odpoczynkowe intermezzo nie trwa długo, ogranicza się zwykle do kwadransa, z rzadka tylko wykracza poza ten limit ustanowiony sam przez się, samoczynnie, bo przecież nie byłoby w mojej mocy wyznaczanie granic czasu przeznaczanego na drzemkę. Kładę się i po chwili zasypiam na krótko, ta mała dawka snu wystarcza, by energia umysłowa wróciła, a z nią zdolność do pracy. Tak było – przynajmniej z pozoru – i tym razem; na pierwszy rzut oka przypadek, o którym szczegółowo opowiem, nie wyróżniał się niczym na tle codziennej, w wysokim stopniu zrutynizowanej praktyki, stanowił jej – jak mogło się wydawać – zbanalizowaną do szczytu kontynuację. Było to jednak coś całkiem innego, niespodziewanego, zaskakującego. Kiedy znajdowałem się na pograniczu snu i jawy, a świadomość była już niemal w pełni wyłączona, przez moją głowę przebiegła myśl, która być może daje się określić jako senna zjawia.

– Nie, niczego takiego nie było, nic takiego się nie wydarzyło, wszystko to jest niemożliwe, ludzie, nie wiadomo, w jakim celu, to wymyślili.

Wytwór chorej wyobraźni – nie jestem świadom, czy ta formuła się pojawiła. Po chwili jednak napłynęła część druga, niejako polemiczna wobec tego, co ją poprzedzało, i równie zaskakująca, będąca uszczegółowieniem, ale również swojego rodzaju przykładem.

– Ale jednak jest faktem, że ją zabili, zabili też jej córkę starszą ode mnie o kilka lat, a może trochę więcej. Przyczynili się do śmierci jej męża, bo stworzyli rzeczywistość, w której w zasadzie nie zdarzało się umieranie naturalne; w świecie spotworniałym, upodobnionym do piekła, o czymś takim mówić nie sposób.

Zaimek osobowy w tej opowieści jest wysoce nieokreślony, brzmi tajemniczo, nie wiadomo jeszcze, do kogo się odnosi. W tej właśnie postaci się ujawnił, przywołuję go z wyprzedzeniem nie po to, by podgrzać atmosferę czy spotęgować zainteresowanie. W mojej świadomości zaimek ów skonkretyzował się po chwili. Uprzytomniłem sobie, że chodzi o siostrę mojego Ojca starszą od niego o kilka, a może kilkanaście lat. Kiedy to się stało, przewróciłem się na drugi bok i na parę minut usnąłem. Po przebudzeniu stwierdziłem, że ta momentalna przedsenna historia ze mnie nie uleciała, zapamiętałem ją, a mając wobec niej już pewien czasowy dystans, mogę, nie popadając w przesadę, zakomunikować, że utrwaliła się w mojej pamięci.

Rzecz wymaga wyjaśnienia. Niestety, będzie ono elementarne, by nie powiedzieć: szczątkowe, albowiem o tej mojej ciotce wiadomości mam niewiele, a nie ma nikogo wśród żywych, kto mógłby coś o niej powiedzieć. Gdyby ten świat nie został zagazowany, zmieciony z powierzchni ziemi, a więc gdyby to, co w przedsennej wizji zarysowało się jako tak straszne, że aż nieprawdopodobne, nie było realnością, zapewne żyłyby wnuki, od których mógłbym się czegoś dowiedzieć, a jeśli ich by zabrakło, o czymś poinformować by mnie mogli dalsi krewni, choćby najodleglejsze pociotki, dziesiąta woda po kisielu, a także znajomi, sąsiedzi, w istocie ktokolwiek. Czy po tym świecie pozostała pustka absolutna? Nie można na to pytanie odpowiedzieć w sposób prosty i zadowalający, w niektórych wypadkach zachowały się jakieś drobne, trudne do odczytania ślady. Jedyne, co jestem w stanie zrobić, to pozbierać owe resztki istniejące w rozproszeniu i usiłować z nich ulepić coś, co tworzyłoby pewną w swej istocie ułomną całość, pełną luk różnego rodzaju. Najdrobniejsze wyskrobki pamięci mogą okazać się przydatne.

Mój Ojciec mówił o niej Zosia. Niewątpliwie nie było to imię metrykalne, stanowiło spolonizowaną wersję jakiegoś imienia żydowskiego; córek urodzonych pod koniec XIX wieku w skromnych kupieckich rodzinach, nawet tych niezbyt ortodoksyjnych, tak nie nazywano. Zosia przed wojną mieszkała wraz ze swą rodziną w Poznaniu, a kiedy Wielkopolskę przemianowano na Warthegau, została wysiedlona – i znalazła się w warszawskim getcie. Nie umiem w szczegółach odtworzyć wydarzeń, które złożyły się na jej drogę, choć wiem, jaka była ostatnia stacja: to, że życie zakończyło się w Treblince, wątpliwości nie ulega. Jeśli w jakichś najogólniejszych zarysach tę moją ciotkę sobie przypominam, to właśnie w gettowym otoczeniu. Nie wiem nawet, jak brzmiało jej nazwisko po mężu, nie wiem, jakie imię nosiła jej córka, która w trakcie jedyne go zapamiętanego spotkania wydawała mi się osobą już niemal dorosłą. Utrwaliło się we mnie to jedno tylko spotkanie, zabrał mnie na nie Ojciec. Przestrzeń getta, ograniczoną, obmurowaną, z założenia szczelnie zamkniętą, postrzegało się w sposób swoisty; „daleko”, gdyby padło w innych realiach, nie musiało wskazywać na rzeczywiste oddalenie. Była to zatem cała wyprawa. Konieczność stanowiło przejście ulicą Karmelicką, uchodzącą za jeden z najstraszniejszych, najbardziej niebezpiecznych szlaków getta. Jestem pewien, było lato 1942 roku, a więc działo się to tuż przed ową fatalną datą, na którą Niemcy wyznaczyli początek wywózek, w czasie, w którym nikomu nieznaną nazwą Treblinka nie weszła jeszcze do gettowego języka, wnosząc z sobą trudną do opisanego grozę. Wdrukował się w moją pamięć obraz izby, w której siostra mojego Ojca o imieniu Zosia mieszkała ze swymi najbliższymi. Było to lokum bardzo małe, niemal puste w tym sensie, że brakowało w nim mebli – nawet tych najbardziej elementarnych, bez których trudno wyobrazić sobie życie codzienne. Ośrodek, główny punkt tej przestrzeni niby-mieszkalnej, a przecież, gdyby sytuacja była choć zbliżona do normalnej, do mieszkania się nienadającej, stanowiło legowisko wypełniające dużą jej część. Nie było to jednak łóżko, ale rozłożony na podłodze, zniszczony do cna materac lub może po prostu siennik. Leżał na nim mężczyzna, który wydał mi się starcem, choć nim niewątpliwie nie był. Panował upał, żadne przykrycie nie było potrzebne. Mężczyzna miał nocną koszulę, długą, ale nie sięgającą kostek, tak że widoczne były nogi. Tego widoku nie musiałem sobie przypominać w owej niezwykłej chwili, w której reaktywowały się wydarzenia i sytuacje ze strasznego czasu, ich obraz trwał

we mnie w mniej lub bardziej zamglonej postaci przez lata. Były spuchnięte chyba do granic możliwości, ogromne, przekrwione, jednocześnie zszarzałe, takie, jakie widziało się u tych, którzy dogorywali na ulicach getta. Nawet dziecko musiałyby zauważyć, że był to człowiek ciężko chory, który ledwo cokolwiek mógł powiedzieć i ledwo wykonywał na swym legowisku jakieś ruchy. Chodzić nie był w stanie. Zmarł wkrótce po naszej wizycie. Nie znam dokładnej daty jego śmierci, pewien jednak jestem, że stało się to przed granicznym dniem w dziejach warszawskiego getta, czyli przed 22 lipca 1942 roku. Do Umschlagplatzu dojść by nie mógł, byłby jednym z tych, których nie wieziono do Treblinka, ale mordowano – by tak powiedzieć – na miejscu. Był jednym z tych, o których mówiono, że im się poszczęściło, bo mieli ten przywilej czy luksus, że zmarli, zanim zostali zapędzeni na plac, który zapisał się w historii pod niemiecką nazwą, trudno tu zresztą w większości wypadków mówić o „łożu śmierci”, ten idiom, niewątpliwie sugerujący normalność czy naturalność, nie miałby w tym kontekście zastosowania, okazałby się nieodpowiedni w swej konwencjonalności. Nie wiem, czy Ojciec po naszej wizycie widział jeszcze swoją starszą siostrę, może do ostatniego spotkania doszło podczas pochówku jej męża. Świat getta ginął bez pożegnań.

Przyznać muszę, że rozbudowałem tę opowieść w porównaniu z tym, co niespodziewanie, bez żadnych wstępów, zapowiedzi czy przygotowań, przeleciało przez moją głowę, przeleciało w czasie zwykłym i codziennym, w którym nie powracałem myślą ku przeszłości, nie wywoływałem wspomnień, zajmowałem się jakimiś aktualnymi sprawami, zapewne niezbyt ważnymi i niezbyt absorbującymi. Ów niespodziewany moment wyzwolił coś, co było we mnie głęboko ukryte czy zakotwiczone, spowodował przyływ pamięci. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego nakierowała się ona ku tym właśnie osobom, choć ich prawie nie znałem, i na ich losach się skoncentrowała. Zdziwiły mnie, a nawet zaskoczyły, okoliczności, w których te wspomnienia wypłynęły na powierzchnię. Jeśli zaznało się Zagłady nawet w dzieciństwie, to nie można się od niej zdystansować. Naznacza ona na całe życie.

Kaszanka i śnieg

Dzień ten, ową pierwszą datę, o której nie można niczego wiedzieć (i powiedzieć) z własnego doświadczenia, lubię od czasu do czasu wspominać, obecnie ma on wszakże dla mnie niewielkie znaczenie, nie świętuję go, nie zapraszam rodziny i przyjaciół na upamiętniające przyjęcia, choć o nim pamiętam jako o punkcie ważnym w moim osobistym kalendarzu. Z owym tajemniczym, ale nie dającym się zakwestionować momentem łączą się przywołania najwcześniejszego dzieciństwa, przerwane przez wypadki, których nie ogarniałem i z początku nie pojmowałem, choć stosunkowo szybko zdałem sobie sprawę z ich straszności, z tego, że mają wpływ także na moje dopiero rozpoczynające się życie. Wtedy, dawno, dawno temu, w innej epoce, o której wiedziałem, że została bezwzględnie i bezpowrotnie zakończona, ten listopadowy dzień był dla mnie świętem, dostawałem prezenty, a to, że obdarzali mnie zainteresowaniem wszyscy wokół, zaspokajało – być może – oczekiwania i potrzeby wynikające z dziecięcego egotyzmu, nieświadomionego, to oczywiste, ale już wyraźnie się zaznaczającego. Wspomnienia tych najdawniejszych urodzin we mnie się zachowały, choć tylko w najogólniejszych zarysach, bez szczegółów i konkretów; nie umiałbym ich odtworzyć, ulotniły się dość szybko, pozostała pamięć o samych wydarzeniach i towarzyszącej im atmosferze.

Myślę o tym, jak inaczej przebiegały urodzinowe dni w czasie okupacji. W pierwszych latach nie było tego klimatu, tej beztroski, wiedziałem, że to inna epoka i nie ma warunków na takie jak dawniej świętowanie, być może już go nawet z taką niecierpliwością nie oczekiwałem, rodzice dbali jednak o to, by jakoś dzień ten wyróżnić z szarego potoku czasu, nasiąkającego w coraz większym stopniu grozą. Całkiem inaczej było w ostatnich latach okupacji, kiedy ukrywaliśmy się po aryjskiej stronie. O urodzinowym dniu Anno Domini 1943 przypominałem sobie niedawno, zaważył na tym czysty przypadek. Zaproszono mnie na wieczór autorski w rodzinnym miasteczku. Przed rozpoczęciem imprezy rozmawiałem z kilkoma nieznanymi osobami, w tym z mężczyzną nieco starszym ode mnie, który powiedział, że jest architektem. Moje nazwisko przypomniało mu człowieka zapamiętanego z lat wojny. Chodziło o kuzyna z obywatelstwem amerykańskim, którego w rodzinie ze względu na wzrost nazywano Długi (przedstawiłem jego barwną postać w osobnym wspomnieniu). Szybko okazało się, że w czasie okupacji przez kilka miesięcy przebywaliśmy w tej samej wsi; z Matką ukrywałem się od wiosny do początków grudnia 1942 roku w Radziwiłowie

u państwa W. – byliśmy tam do momentu, w którym wieś ta stała się szczególnie niebezpieczna, bo ktoś doniósł, w konsekwencji Niemcy nakryli i rozstrzelali kilkanaścioro szukających schronienia Żydów. Więcej, państwo W. mieszkali w tym samym domu co państwo O., były w nim bowiem dwa lokale. Ściśle zresztą od siebie odseparowane, z osobnymi wejściami, także podwórze przedzielone było płotem na dwie równe części. Państwo W., którzy nas przygarnęli, nawet jeśli nie pochodzili z tych stron, to zamieszkiwali we wsi od dawna – pan Kazimierz W. był kolejarzem, doszedł do stanowiska zawiadowcy stacji; konspirował, został zamordowany przez Niemców jakiś czas po naszym wyjeździe.

Ich sąsiedzi trafili tutaj już za okupacji; była to ziemiańska rodzina z Poznańskiego, której Niemcy odebrali majątek i wypędzili ją, skazując na tułaczkę. Choć nie miałem z tymi ludźmi bezpośredniego kontaktu, o ich istnieniu nie zapomniałem. Było to małżeństwo, jak mi się wówczas wydawało ludzie starzy, choć z pewnością nie przekroczyli granicy wieku średniego, z dwojgiem dzieci: chłopcem, który miał kilka lat więcej niż ja, i dziewczynką, chyba moją rówieśnicą, a także ze służącą, bardzo młodą osobą, zapewne tylko niewiele starszą od dzieci gospodarzy. Tak się składało, że to ją właśnie widywałem najczęściej, bo wykonywała na podwórzu różnego rodzaju roboty konieczne nawet przy rodzinie, którą pozbawiono dziedzicznych włości. Unikałem – podobnie zresztą jak Matka – wychodzenia z tego kąta kuchni, który stał się przydzieloną nam przestrzenią; ukrywający się Żydzi mieli naturę ślimaków niechętnie wychylających głowę ze swych skorup, które – jak im się prawdopodobnie wydawało – chroniły przed niebezpieczeństwami i agresją, podobnie jak ma chronić awansowane do rangi czynności przysłowiowej chowanie głowy w piasek. Z sąsiadami znajomości nie zawaraliśmy, widywałem ich z daleka.

Oni, oczywiście, o naszym istnieniu wiedzieli, nie mogli nas nie dostrzec, tym bardziej że wychodzić na podwórze musieliśmy, bo ubikacja, wytwornie nazywana wygodką, znajdowała się na jego krańcu. Wtedy każde przyglądające się oczy, zwłaszcza gdy nieznajome, budziły lęk, nie wiadomo, jakie to mogło mieć konsekwencje; denuncjatorstwo było rozpowszechnione, a czasem o życiu i śmierci człowieka decydowało gadulstwo, nawet wyzbyte złej woli, wynikające z nieodpowiedzialności, braku orientacji, głupoty wreszcie. Ostrzegano we wsi przed kobietą, którą wszyscy dobrze znali, nazywano ją starą Jagną, to ona była znaną całej gminie plotkarką,

odwiedzała kolejne chałupy i roznosiła wioskowe nowiny. Podobno nawet jej syn Maniuś, mający opinię największego w tych okolicach uwodziciela, narzekał na nieopanowaną, rwącą jak potok po deszczu, gadatliwość swej matki, która najwyraźniej nie była w stanie pojąć, że w czas okupacji nie wszystkim należy wszystko mówić. Złych intencji zapewne nie miała, ale mogła ściągnąć największe nieszczęście. Pani Wandzie W. zależało, by stara Jagna nie wiedziała o naszym ukrywaniu się, zaleciła więc, by się jej nie pokazywać, choć to trudne, bo jak przystało na prymuskę w wiejskim plotkowaniu, nieustannie krążyła po terenie i węszyła sensacje. Inaczej było z państwem O., pani Wanda zapewniała nas, że możemy się ich nie obawiać; to porządni ludzie – zwykła dodawać.

Co jednak cała ta opowieść ma wspólnego z urodzinami sprzed ponad półwiecza? Ma! W ów dzień urodzinowy nie stało się nic nadzwyczajnego, wydawało się, że nie mogę się niczego spodziewać, Matka, która też, oczywiście, o tym dniu szczególnym pamiętała, tłumaczyła mi, że w warunkach, w jakich się znaleźliśmy, nie może być inaczej, nie ma żadnego sposobu, by nie tylko dzień ten uczcić, ale choćby nieznacznie wyróżnić. Nie musiała zresztą używać szczególnie mocnych środków perswazji, rozumiałem nasze położenie i chyba żadnych specjalnych przyjemności nie oczekiwałem, wiedziałem, że ważne jest jedno: by trwać, żyć, nie dać się zabić, nie wpaść w szpony Niemców, cała reszta nie miała w zasadzie żadnego znaczenia. Tego ponurego listopadowego dnia zdarzyło się jednak coś, czego nikt przewidzieć nie mógł. Późnym popołudniem przyszła służąca państwa O. (nie pamiętam jej imienia) i powiedziała, że ubito świniaka, przynosi zatem dla mnie w prezencie od gospodarzy kawałek kaszanki – i podała mi go na talerzyku. Matka gorąco podziękowała, a ja oniemiałem, może ze zdziwienia, a może z zachwyty, przypuszczam po dziesięcioleciach, że z obydwu powodów łącznie. W czasie, kiedy żyło się na skraju głodu, wszystko, co nadawało się do jedzenia, stanowiło jeśli nie skarb, to przynajmniej wielką atrakcję; tym bardziej w tak niezwyklej sytuacji było manną zrzuconą przez dobrego ducha prosto z nieba, choć stanowiło nie drobną kaszę, lecz materię o ścisłej konsystencji. Chodziło wszakże o coś więcej niż o przysmak. Nagle poczułem się tak, jakby na moment świat wrócił w swoje właściwe koleiny, odzyskał te formy, jakie znałem z najwcześniejszego dzieciństwa – przyjazne i sensowne. Nie umiem po latach stwierdzić, czy od razu pojąłem, że działał tu czysty przypadek. Sympatyczni sąsiedzi, którzy mnie tak niespodziewanie

obdarowali, nie mogli wiedzieć, że na ten ciemny i deszczowy dzień w znaku Skorpiona przypadają moje urodziny. Miałem wówczas papiery na inne nazwisko, a w nich z pewnością data mojego przyjścia na świat różniła się od prawdziwej. Zresztą nawet gdyby była autentyczna, w niczym by to nie przeczyło temu, że nastąpił szczęśliwy dla mnie zbieg okoliczności, trudny lub wręcz niemożliwy do przewidzenia. Dodam jeszcze, że po latach, nie wiem zresztą od kogo i w jakich okolicznościach, dowiedziałem się, iż owa młoda służąca, którą zapamiętałem niczym dobrą wróżkę, była ukrywającą się Żydówką. I żeby spuentować tę część mojej opowieści, dorzucę: nie ma w tym nic dziwnego, że spotkanie z nieznanym architektem, mieszkającym w moim rodzinnym miasteczku, ożywiło pamięć i przywołało drobne z pozoru wydarzenie, tkwiące na jej trudno dostępnym dnie.

Na tym wszakże nie poprzestałem. Ożyła we mnie ochota do przypominania sobie choćby drobiazgów sprzed wielu lat. Owo zapuszczanie żurawia w to, co minione, w odległą przeszłość, nie ograniczało się do tego jednego wyizolowanego zdarzenia; miałem ochotę na dalsze poruszanie sznurkami pamięci tak, by spoza mgieł i niejasności wyłoniło się coś jeszcze choćby w niezbyt precyzyjnych zarysach, w formie zamazanej czy niedopowiedzianej, ale jednak zawierającej pewne treści, które dla mnie są ważne – również dlatego, że pozwalają wypełniać umykającą, ginącą w czarnych otchłaniach dawność konkretami. A one są cenne w swej niepowtarzalności, nawet jeśli nie przekraczają rozmiarami łebka od szpilki. Wyciągnąłem z głębokiej warstwy pamięci to, jak przeżywałem swoje następne – już dziesiąte – urodziny. Byłem od wielu miesięcy w Turkowicach u sióstr – i niczego nie oczekiwałem, wiedziałem, że dnia tego nic stać się nie może, tym bardziej że miałem wówczas dokumenty na jeszcze inne nazwisko niż przed rokiem, nie pamiętam, jaką podano w nich datę urodzenia, ale niezależnie od tego, jaka była, z pewnością różniła się od tej prawdziwej. A gdyby nawet stanowiła jej powtórzenie, nie miałoby to w tej perspektywie większego znaczenia. W Turkowicach nie obchodziło się urodzin wychowanków nawet nie dlatego, że nie było takiej tradycji; nie świętowało się także imienin, choć tradycja niewątpliwie istniała. Po prostu było nas zbyt wielu, by takie fety w ogóle były możliwe, a poza tym żyło się czym innym, trudnościami dnia codziennego, który bynajmniej nie był spokojny, wciąż myślało się i mówiło o jedzeniu, bo nadal dramatycznie go brakowało; w takiej sytuacji najlepszym prezentem dla solenizanta byłaby najzwyczajsza

kromka czarnego chleba. W okolicy pokój nie zapanował, choć Niemcy zostali przepędzeni przed kilkoma miesiącami. W dalszym ciągu wiele się działo, o czym świadczyły dochodzące niekiedy z oddali odgłosy strzałów i wybuchów. Wciąż trudno było o poczucie bezpieczeństwa, choć ja zdawałem sobie niewątpliwie sprawę z wielkiego komfortu: minęło zagrożenie najstraszniejsze, dotarło w zasadzie do mojej świadomości, że już chyba nie różnię się tak strasznie od innych.

Dzień, który wspominam, nie zaznaczał się niczym szczególnym, był dniem naszym powszednim w najdosłowniejszym słowa tego znaczeniu. Nie wiem, w jaki sposób zdołałem ustalić, że urodziny moje przypadają nań właśnie, nie miałem kalendarzyka, życie nasze toczyło się bez dat. Byliśmy świadomi dni tygodnia, bo od nich wiele zależało, również to, jakie modlitwy się odmawia; nie trzeba dopowiadać, że szczególnie zaznaczona była niedziela, to ona tworzyła ośrodek czasu, jego potężne centrum – jeśli oczywiście na okres ten nie przypadało ważne święto, to wizję czasu wyznaczał ostatni dzień tygodnia. Codzienne daty nie budziły zainteresowania, nie przywiązywano do nich wagi, obowiązywał kalendarz liturgiczny. Pierwszy listopada – dzień Wszystkich Świętych – miał w nim, oczywiście, swoje miejsce. Dzięki niemu – jak mi się po latach wydaje – zdołałem ustalić, kiedy dokładnie wypada ta moja data początkowa. Pamiętałem ją, nie było sztuką obliczyć, że nadchodzi w czwarty dzień po Wszystkich Świętych, myślę, że ustaliłem ją bez trudu, choć nie mogłem przewracać kartek kalendarza.

Ten zwykły czas był jednak dla mnie niezwykły, a to z tej racji, że pamiętałem o tym, co się niegdyś stało. Nic mnie nie skłaniało do radości, przeciwnie, byłem jeszcze bardziej przygnębiony i osowiały niż zazwyczaj. A także zamknięty w sobie; nie było nikogo, komu mógłbym powiedzieć: słuchaj, słuchaj, kończę już dziesięć lat, życz mi wszystkiego najlepszego! Samotność i przygnębienie odczuwałem jeszcze silniej niż zwykle. W pewnym momencie zbierało mi się na płacz. Z pozorów bez żadnej konkretnej przyczyny, byłby to jednak, gdybym nie zdołał go powstrzymać, płacz nad sobą, nad własnym losem i położeniem. A przede wszystkim nad terażniejszością, nad tym, co jest tu i teraz, bo o przyszłości nawet w takim czasie, który sprzyja nie tylko podsumowaniom, ale także patrzeniu przed siebie, nie myślałem, prawdopodobnie nie wyłącznie z powodu zubożenia czy wręcz otepienia, lecz także dlatego, że ogromnie się jej bałem.

Przytłoczony doświadczeniem, byłem pewien, że cokolwiek mnie czeka, będzie niepomysłne i nieuchronnie przeciw mnie się zwróci.

Pamiętam, że w dzień ten przed południem siedziałem w naszej sali na twardej ławie; w pewnym momencie położyłem ręce na stole, jedna na drugą, i oparłem na nich głowę, tak jakbym chciał usnąć lub coś ukryć, co zaznacza się na mojej ponurej twarzy – może w ten sposób tałem smętną minę, którą w ukryciu łatwiej mi było złagodzić bądź zneutralizować. Niczego nie robiłem, o niczym – przynajmniej z pozoru – nie myślałem, bardziej wegetowałem, niż żyłem. Było chłodno, złota polska jesień już dawno minęła, a także ciemno. Na niebie rozciągały się chmury ciężkie, jakby wielowarstwowe, wyjątkowo ponure; niewykluczone, że one jeszcze bardziej obniżały mój i tak marny nastrój, a jeśli nie miały bezpośredniego wpływu, to były z nim w harmonii. Ten świat dookolny naprawdę był obrzydliwy, nie pojawiło się nic, co mogłoby nawet nie tyle sprawić radość, ile dać moment wytchnienia. Kiedy wszakże podniosłem głowę i skierowałem spojrzenie ku oknu, zobaczyłem, że zaczął padać śnieg. Pierwszy tamtego roku! W latach okupacji zimy trwały długo, rozpoczynały się wcześnie, były surowe – tak jakby natura świadomie chciała ludziom przysporzyć cierpienie, bo w ogólnym rozrachunku było ich zbyt mało, a więc trzeba się dołożyć – i przyłożyć. Bóg, jeśli w ogóle istnieje, a wtedy jeszcze żadnych w tej materii wątpliwości nie żywiłem, i tutaj pokazał, że jest starym złośliwcem.

Stało się jednak coś dziwnego, trudno dla mnie zrozumiałego także teraz, po tylu latach. Ten śnieg niespodziewany w okresie, w którym do kalendarzowej zimy względnie daleko, wczesny, a może nawet przedwczesny, nagle mnie zafascynował. Nie wiem dlaczego, przecież zapowiadał rychłe nadejście zimy, która w tamtych warunkach pozbawiona była wszelkich uroków. Pomyślałem: o tym urodzinowym dniu nikt poza mną nie pamięta, nikt mi niczego nie życzy, nie dostanę żadnych prezentów, ale może ten pierwszy śnieg prószony właśnie po to, by dzień ten jakoś zaznaczyć czy wyróżnić. I jest podarunkiem dla mnie! Może pomyślałem o zmianie zabarwienia: wszechogarniająca, przytłaczająca szarość zastąpiona zostanie bielą, a to zawsze lepsze i ładniejsze. Poczułem się inaczej, jeśli nie świetnie, to przynajmniej trochę lepiej. Świat wydał mi się nagle mniej straszny.

Urodziny następne spędzałem już w innych okolicznościach. Nic nie pozostało mi z nich w pamięci. Może przestały być dla mnie ważne?

Zabójczy chleb

Ten skromny budynek stał na uboczu, był niewielki, od frontu osłaniały go zarośla, które zapewne za dawnych spokojniejszych lat stanowiły część uprawianego z troską i ze znanstwem ogrodu, zadbanego i – jak mówiono – prezentującego się całkiem inaczej niż w czasie, o jakim opowiadam, bo trudno hodować róże, lilie, tulipany, gdy wokół świat się wali, zagrożenia nadciągają ze wszystkich stron, a ich pomruków nie można lekceważyć, uciekając w piękny, dekoracyjny świat ogrodowej ułudy. Znajdował się na krańcach terenów należących do sióstr, na jego tyłach rozpościerała się przestrzeń inna, dzika, chciałoby się powiedzieć, od zawsze i z natury, nigdy nieuprawiana i nieporządkowana, skazana na samą siebie, niczyja. W tych okolicach nie było wyróżniających się pagórków i wzgórz, można jednak powiedzieć, że jak na równinę teren opadał dość radykalnie ku rzece. W tym miejscu nie było drogi, nigdy jej nie przebito, nie widziano takiej potrzeby, skoro wiodła w stronę rzeki ścieżka całkiem przyzwoita, przemieniająca się w błotnisty szlak lub wręcz w rwący potok tylko wtedy, gdy nastawał czas ulewnych deszczów; zdarzało się to rzadko, raz na kilka, a może nawet kilkanaście lat. Przy takiej pogodzie zresztą mało kto z niej korzystał, bo raczej nie było amatorów kąpieli w rzece i wylegiwania się na jej brzegach. Do zabudowań czy pól uprawnych nie prowadziła, tam ich nie było.

Przycupnął z boku, od wschodniej strony. Zarośnięty, mógł pozostać niezauważony, choć stał pomiędzy dwoma głównymi budynkami Zakładu. Kiedyś zapewne był pięknie pobielony i tak jak rozpościerająca się od frontu roślinność zadbane. Wchodziło się przez niewielki drewniany ganek, budynek składał się z kilku, może trzech, może czterech pokoi, jak wszystko w nim małych. Miał przynajmniej niegdyś ściśle wyznaczoną rolę, o tym, jaką, mówi jego nazwa. Przyjęło się nazywać go izolatką. Miano w nim umieszczać dzieci, które zapadły na jedną z chorób zakaźnych, by ułatwić leczenie i sprawić, by nie infekowały innych. W przypadku pozostałych różnego rodzaju poważnych chorób przewożono pacjentów do szpitali w jednym z okolicznych miasteczek. Za dawnych pokojowych czasów nie stanowiło to większego problemu, działała kolej wąskotorowa, między wsiami i miastami krążyły chłopskie furmanki. Wozy drabiniaste nie stanowiły z pewnością luksusowego środka lokomocji, a dla chorego były niewątpliwie szczególnie uciążliwe, bo trzęsąc w czasie jazdy po polnych drogach bądź traktach wybrukowanych kocimi łbami, przysparzały cierpień, jednakże swą zasadniczą rolę spełniały. Rzeczy miały się o wiele gorzej w czasach,

o których opowiadam, tak wtedy, gdy wojna trwała i wreszcie zbliżała się do kresu, jak wówczas, gdy w zasadzie się skończyła, ale w tych stronach epoka spokoju wciąż jeszcze nie nadeszła, wszelkie zaś wyprawianie się w drogę nadal narażało na niebezpieczeństwa, niekiedy nawet na śmierć. W takiej sytuacji domek zwany izolatką musiał zmienić charakter, stał się namiastką szpitala, choć takie określenie w istocie nie jest właściwe, posłużyłem się nim tylko dlatego, że brak innych, co charakterystyczne dla czasów, które radykalnie odbiegają od norm utrwalonych w tradycji i w języku. Oczywiście, nie sposób mówić o szpitalu, gdy nie kierował nim lekarz, a najbliższy w tamtym czasie pan doktor znajdował się w odległości co najmniej dwudziestu trudnych do przebycia kilometrów. Nie muszę, rzecz jasna, wspominać, że brakowało wszelkiego rodzaju leków, w tym najczęściej stosowanych. Gdybym chciał jakoś nazwać ową izolatkę w tej postaci, w jakiej ją z tamtych czasów zapamiętałem, mógłbym powołać do życia neologizm „chorowalnia”. Nowotwory językowe dają piszącemu ten przywilej, że można im nadawać pożądane w danym kontekście znaczenie i w miarę swobodnie nimi operować.

Do tej chorowalni mnie także w pewnym momencie skierowano. Nie pamiętam, z powodu jakiej przypadłości siostry mnie do niej zakwalifikowały, prawdopodobnie ze względu na czyraki, wrzynające się głęboko ropne rany, jakimi obsypane było moje ciało. Nie chcę tu jednak opowiadać o sobie, tym bardziej nad sobą się rozczulać, zwłaszcza że jestem świadom, iż w tym wojennym i tużpowojennym czasie każdy wychowanek Zakładu mógł być potraktowany jako chory i zostać posłany na kurację, która ze względu na warunki i okoliczności kuracją nie była i być nie mogła. Trafiłem do pokoju, gdzie było już kilku chłopców, jednakże to nie o nich zamierzam opowiadać, tym bardziej że nie utrwalili się w mojej pamięci.

Pewnego dnia siostra opiekująca się chorowalnią i jej pensjonariuszami przyniosła do naszej izby dziecko znacznie od nas młodsze, chłopaczka może trzyletniego, może liczącego sobie lat trochę mniej, może trochę więcej, nie potrafię po kilkudziesięciu latach precyzyjnie określić jego wieku, nie ma to zresztą większego znaczenia. W tym okresie nie było w Zakładzie dzieci tak małych, nie wiedzieliśmy zatem, skąd on się wziął, można przypuszczać, że sam się nie przyplątał, to po prostu byłoby nieprawdopodobne tak ze względu na jego wiek, jak opłakany stan zdrowia; od razu gdy się na niego spojrzęło, było wiadomo, że jest źle. Chłopiec cały czas spędzał w dostawionym,

z trudem wciśniętym łóżku, chyba nie umiał chodzić. Starsi chłopcy, zainteresowani pojawieniem się nowego, snuli rozmaite przypuszczenia – i najczęściej skłaniali się do opinii, że nasz niespodziewany współlokator jest podrzutkiem, dzieckiem, którego matka nie chciała, a może obydwójce rodzice postanowili się go pozbyć, co prawda, ze znacznym opóźnieniem, bo przecież niemowlęciem już nie był (wśród dzieci, jakie u sióstr znalazły schronienie, pojawiały się także podrzutki). Z tego wszakże, co w ten lub inny sposób do nas dotarło, wynikało niezbicie, że ich domysł jest fałszywy. Dziecko pochodziło z jednej z okolicznych wsi, wciąż jeszcze po walkach i rzeziach w dużej części wyludnionej, jego rodzice – bardzo młodzi ludzie – byli sąsiadom znani, nie wiedziano jednak, gdzie są, a nawet nie było pewności, czy żyją. Ktoś się chłopcem zaopiekował, może osoba z dalszej rodziny, może z sąsiadów lub znajomych. Po jakimś czasie nadeszła do wsi straszna wieść: matka zginęła – prawdopodobnie od zabłąkanej kuli, bo chyba nie w trakcie bezpośredniego starcia dwóch nienawidzących się społeczności. Dzieciak zaś cierpiał na różne choroby, wobec których wszyscy na wsi byli bezradni. Uznano, że jedynym miejscem w okolicy, gdzie może go wyleczą, jest prowadzony przez zakonnice Zakład.

Chłopiec był chory, chory bardzo poważnie, w tej materii nie mogliśmy mieć wątpliwości także my, nieletni obserwatorzy, z którymi znalazł się w tym samym, do granic możliwości zatłoczonym pomieszczeniu. Była to choroba spektakularna, by ją dostrzec, niepotrzebne były żadne przyrządy, zbyteczna była jakakolwiek wiedza, wystarczały nieuzbrojone oczy, no i nos, bo jej następstwem był roznoszący się po wszystkich kątach odór. Nie wiem, jaką ta przypadłość ma medyczną nazwę, a polegała ona na tym, że kilka razy dziennie wysuwało się na zewnątrz jelito. Nie jestem świadom, jaka w tego rodzaju przypadkach obowiązuje lekarska procedura, w każdym razie ono samo nie wracało na właściwe miejsce, trzeba było je wciskać. Przykre to zadanie wykonywała siostra Leontyna, która zajmowała się chorowalnią, a zanim wstąpiła do zakonu, podobno ukończyła kursy przygotowujące do zawodu pielęgniarki. Miała ogromnie dużo pracy, dziecku jelito wysuwało się coraz częściej, siostra nie była w stanie odpowiednio szybko zareagować, poinstruowała zatem dwóch starszych chłopców, jak mu pomoc i powierzyła im ten niezwykle obowiązek. Wywiązywali się z niego całkiem sprawnie. Po kilku dniach przyzwyczailiśmy się do tego, co się dzieje, nawet uporczywy mimo otwartych o tej pięknej porze roku okien smród przestał nam

przeszkadzać, chyba już go nie czuliśmy. Przypadłość tego dziecka stała się częścią naszej codzienności, niespodziewanie wyzwoliła w chłopakach instynkt opiekuńczy. Dodam, że przez długie lata nie słyszałem o tej chorobie, uciążliwej również dla otoczenia, jakże naiwnie zatem sądziłem, że był to kazus jednostkowy, a jeśli nawet nie jednostkowy, to taki, który zdarza się raz na miliony istnień ludzkich. Musiałem zmienić zdanie po przeczytaniu kilkadziesiąt lat później jednego z tekstów napisanych przez Janusza Korczaka w warszawskim getcie. Nie pozostaje mi nic innego, jak zacytować słowa Starego Doktora:

Jak informują skromni szeregowcy opieki, prawie wszystkie dzieci mają rozwolnienie – z tego powodu u wielu wypada kiszka stolcowa. W tragicznym internacie pod Kijowem w czasie wojny domowej miałem takich pacjentów dwóch tylko – tu podobno jest parę dziesiątków – jedno podobno umarło z powodu owrzodzeń i gangreny jelita grubego^[*].

Trudno mi powiedzieć, czy siostry żywiły nadzieję, że wyleczą chłopca i uratują go, czy takich złudzeń nie miały i jedyne, co w tych warunkach było realne, a może w ogóle przy tym schorzeniu, to starania, by ulżyć w cierpieniach. Przygotowywano dla dziecka jakieś specjalne dietetyczne pożywienie, co też nie było łatwe; zapewne wyciągnięto ze świecącej pustkami spizarni resztki jakiejś choćby w przybliżeniu odpowiedniej kaszki, przechowywanej na czarną godzinę. Ta nastąpiła, skoro niczego innego chłopczyk jeść nie mógł. Jego stan nie upoważniał do optymistycznych rokowań, z dnia na dzień, a może nawet z godziny na godzinę się pogarszał. To, co się z nim i wokół niego działo w ciągu tych kilku dni, kiedy był z nami, stawało się przedmiotem codziennej rutyny, przyzwyczailiśmy się do niego i zachowywaliśmy się tak, jakby wpychanie wysuwającej się kiszki stolcowej było czynnością zwyczajną i oczywistą, niewymagającą komentarzy, a być może nawet zastanowienia. Coś nadzwyczajnego i całkiem niespodziewanego zdarzyło się w pewien niedzielny poranek, ciepły, letni, słoneczny. Całkiem nieoczekiwanie zjawił się ojciec chłopca. Powstało poruszenie, bo w tym czasie nikt prawie z zewnątrz do Zakładu nie przychodził, a już zwłaszcza do naszej chorowalni, byliśmy od świata odcięci, wszystko zatem, co docierało z miejsc choćby minimalnie oddalonych,

budziło wielkie zainteresowanie, nasycone silnymi emocjami. Ojca wprowadziła do naszego pokoju siostra Leontyna. Nie trzeba było wskazywać mu syna, poznał go od razu, choć – jak się zdaje – nie widział go od dawna. Ale nikt inny w tej sali jego potomkiem być nie mógł, mężczyzna był bowiem zdumiewająco młody, można było sądzić, że jeszcze nie przekroczył dwudziestego roku życia. Robił takie wrażenie, mimo że był zdrożony i zmęczony. Chłopiec ojca nie poznał, nie wiedział, co się dzieje i czego od niego chciał. Prawie w ogóle nie mówił, a w sytuacji, która powinna skłaniać go do radości, był przerażony, bo niczego nie pojmował – i gaworzył jeszcze bardziej niewyraźnie niż zwykle. Jestem pewien, że znaczenia słowa „ojciec” i jego zdrobniałych odpowiedników nie rozumiał, znajdowało się ono poza granicami jego mentalnego świata. Można było od razu dostrzec, że ruch, jaki wokół niego panował, spowodował wielki lęk, a to, że ktoś, kto był w jego odczuciu nieznanym, chciał go wziąć na ręce, wydał mu się działaniem nieprzyjaznym lub wręcz wrogim. Wybuch głośnego płaczu raczej nikogo ze świadków wydarzenia nie zdziwił, był naturalny w przypadku tak małego dziecka.

Staliśmy się mimowolnymi słuchaczami rozmowy niespodziewanego gościa z siostrą Leontyną. Wynikało z niej, że poszukiwał syna od jakiegoś czasu, a dowiedział się, gdzie przebywa, gdy wrócił do swej rodzinnej wioski. Postanowił w niej osiąść na stałe i zaopiekować się dzieckiem. Tego, jakie były jego losy, w istocie się nie dowiedzieliśmy, nie opowiadał, co się z nim działo, nikt go zresztą o to nie pytał, wypadało się domyślać, że walczył w jednym z oddziałów partyzanckich, których we wspaniałych okolicznych lasach nie brakowało. Przybył do nas pieszo, pokonał trasę liczącą kilkanaście kilometrów. Zamierzał wyruszyć w drogę powrotną tego samego dnia, dziecko postanowił zabrać ze sobą, choć nie wiadomo, jak to sobie wyobrażał. Może zresztą zdecydował, że pozostanie ono jeszcze czas jakiś u siostr, wydarzenia tak się jednak potoczyły, że jego decyzja w tej sprawie nie miała żadnego znaczenia. Stała się rzecz straszna: dziecko zmarło na rękach ojca. Nie byliśmy świadkami tego nieszczęścia, wydarzyło się ono, gdy mężczyzna z synem udał się na zewnątrz, w miejsce, które niegdyś było pięknym ogrodem. Wiadomość szybko dotarła do chorowalni i zrobiła na nas wielkie wrażenie, mimo że chyba wszyscy byliśmy ze śmiercią całkiem dobrze oswojeni, stykaliśmy się z nią w różnych sytuacjach i nieustannie o niej słyszeliśmy. Siostry zgonem chłopca były zaskoczone i głęboko

przejęte, może przypuszczały, że jednak uda się go jakoś uratować. Niewątpliwie wszyscy zauważyliśmy, że z podartej parcianej torby młodego mężczyzny wystawał duży, może dwukilogramowy, może większy bochen chleba. Nie świadczy to o naszej spostrzegawczości, wszystko, co nadawało się do jedzenia, przyciągało uwagę i budziło pożądanie. Nie mogło być inaczej w przypadku chleba, zwłaszcza że wydawał się świeży, jakby dopiero co wyjęty z pieca, może jeszcze ciepły. Dotarli do nas słowa mężczyzny: wystarczył się o chleb, co z pewnością nie było łatwe, by karmić nim swego odnalezionego syna. Siostra Leontyna ostrzegała, by tego nie robił, tłumaczyła, że w ten sposób może mu tylko zaszkodzić. Przybysz z pozoru słuchał uważnie, obiecał, że postąpi stosownie do tego, co usłyszał, ale czy rozumiał dane przez siostrę wskazania? Nie można było mieć w tej materii pewności, zachowywał się tak, jakby wypowiedziane przez zakonnice słowa burzyły jego obraz świata, kwestionowały sensy, jakie od dawna mu towarzyszyły. Modlimy się do Boga, by chleba naszego powszedniego nam nie szczędził, a więc chleb nie może zaszkodzić! Zwłaszcza dziecku, któremu chcemy dać to, co mamy najlepszego. Przez jakiś czas po wyjściu z chorowalni mężczyzna zapewne powstrzymywał się od tego, co było jego pragnieniem i wydawało się zgodne ze zdrowym rozsądkiem, jednak w pewnym momencie, jak się dowiedzieliśmy, zaczął karmić syna rozdrobnionym chlebem. Nikt poza nim nie był świadkiem tego, co się stało. Z relacji, jaka do nas dotarła, wynikało, że chłopiec zmarł niemal natychmiast.

Czy zastanawialiśmy się nad kruchością życia ludzkiego, którego utratę spowodować może kilkanaście nieopatrnie podanych kawałeczków chleba? Jestem przekonany, że takie refleksje nie pojawiały się w naszych głowach, także w mojej, mimo że byłem świadom, co to jest umieranie; widziałem przecież zwłoki ludzi w różnym wieku, w tym moich rówieśników, leżące na ulicach getta, i zdawałem sobie sprawę, że stracić życie można w każdym momencie za sprawą jednego przypadkowego gestu czy niewiele z pozoru znaczącego przypadku. Liczyłem sobie wówczas około dziesięciu lat.

Po tym, co się stało, mężczyzna nie miał już u nas nic do roboty. Wyruszył w drogę powrotną. Powiedział, że pochowa syna w rodzinnej wsi. Czy tak uczynił, nie wiem.

[*] Janusz Korczak, *Pamiętnik i inne pisma z getta*, s. 168, Warszawa 2012
(przyp. red.).

Pokutnik

„Przeszłość jest bezdena” – napisał Gombrowicz w *Dzienniku*, obwarowując to ogólne stwierdzenie wywodzącymi się z własnych doświadczeń zastrzeżeniami. Wkrótce potem, jak paleontolodzy bądź archeolodzy ujawniają światu coś, co wydaje się bezwzględnie czy wręcz absolutnie najstarsze, pojawia się rzecz jeszcze bardziej archaiczna, wydobyta z jeszcze głębszych pokładów naszego naturalnego bądź ludzkiego świata. Czy tak będzie się działo bez końca? Trudno przyjąć, że kiedykolwiek zniknie zainteresowanie tym, co najdawniejsze, ułożone w warstwach najniższych, dostępne tylko dzięki uporczywemu przebijaniu się ku temu, co jeszcze stosunkowo niedawno było całkowicie nieosiągalne lub nawet niewyobrażalne, ale trudno uznać także to, że ciekawość będzie wiecznie zaspokajana, że jakieś znalezisko znowu pozwoli przesunąć początki życia na Ziemi o miliony lat, a jakieś odkopane ślady pozwolą stwierdzić, że na tym terenie życie społeczne toczyło się wiele wieków wcześniej, niż dotąd przypuszczano.

Kiedy jednak mowa o bezdennej przeszłości, chodzi nie tylko o jej elementy należące do uporządkowanego chronologicznie czasu natury czy skromnego w zestawieniu z nim czasu historii, czasu dającego się przedstawić za pomocą odpowiednio zmetaforyzowanych wyobrażeń przestrzennych. W inny sposób bezdena jest przeszłość indywidualna, jednostkowa, podmiotowa. Nie ma możliwości jej zrekonstruowania w tej postaci, w jakiej mogła występować w okresie prenatalnym i w pierwszych dniach życia. Jako doświadczenie osobiste przeszłość jest pochodną świadomości; by zaistnieć, musi być percypowana. Jej swoista bezdenność ujawnia się w bogactwie składników, często w żaden sposób nieuporządkowanych, niepoddających się bezwzględnym regułom chronologii, wyłaniających się w niespodziewanych okolicznościach i w nieoczekiwanych, niekiedy zaskakujących sytuacjach, zdarza się zresztą, że bez żadnych konkretnych przyczyn. Z tych względów, mówiąc o niej, użyłbym innej metafory, wspomniałbym o wielkim kotle przeszłości, którego posiadaczem jest każdy z nas, jeśli nie cierpi na amnezję, kotle, w jakim współżyją najróżniejsze ingrediencje, i to one się ujawniają, gdy miesza się w nim wielką metalową łyżką lub drewnianą kopyścią. W ten sposób wypływają na powierzchnię jakieś cząstki przeszłości, raz dawniejszej, raz nowszej. I czynią to w różnych formach, niekiedy w miarę pełnych i zamkniętych, to znów fragmentarycznych, pozwalających na

rekonstrukcje wysoce ułamkowe, skłaniających do mnożenia wątpliwości i znaków zapytania.

Snuję te ogólne rozważania, by się wytłumaczyć z tego, że w mojej opowieści dotyczącej zdarzenia wydobytego z lat dzieciństwa wskutek mieszania w kotle przeszłości tak wiele będzie wahań w stwierdzaniu i przedstawianiu faktów, a także w ich komentowaniu. Przeszłość, którą tu wydobywam na powierzchnię, tak jest skromna, by nie powiedzieć: uboga w to, co pewne, może dlatego, że drobiny, które się na nią złożyły, nie dotyczyły mnie bezpośrednio, byłem jedynie świadkiem czy widzem, jednym z wielu chłopaków, ciekawych, co się dzieje, być może czekających, że wyklaruje się coś niebywałego i sensacyjnego, coś, co stanowiłoby urozmaicenie życia monotonnego, pozbawionego rozrywek, pod każdym względem biednego.

Nadeszła pełnia lata, wydarzenie to miało miejsce tuż przed moim wyjazdem; po nim na długo utraciłem kontakt z okolicą, w której przeżyłem końcową fazę okupacji, będącą już epoką zamkniętą, ale wciąż odciskającą na każdym, kto przetrwał, zwłaszcza gdy stał się jej ofiarą, swoje piętno. Moja polityka pamięci była dwojaka, by nie powiedzieć: kontrastowa – z jednej strony chciałem zarysować wyraźną linię graniczną, oddzielającą dwa światy, taką, której nie mógłbym przekraczać, by zagłębiać się w nie tak jeszcze dawne wydarzenia, w moim przypadku bez wyjątku bolesne, z drugiej zaś strony, powracając do nich myślą w najróżniejszych sytuacjach, także w przedsennych majakach, chciałem je w sobie utrwalić, niejako wgrać, tak żeby we mnie istniały dopóty, dopóki będę wśród żywych. Oczywiście, takiej konserwacji poddawane były przede wszystkim doświadczenia dla mnie najważniejsze, o wielkiej doniosłości i z reguły najbardziej traumatyczne. Te inne, które w tym rejestrze się nie mieściły, czasem roztopiały się w podgrzewanym nieustannie kotle przeszłości i w ogóle zanikały, czasem zaś pozostawały w postaci chaotycznie rozproszonych drobin, z których trudno byłoby złożyć całość. W takiej właśnie formie pozostała historia, jaką zamierzam opowiedzieć. Byłem tylko skromnym i chyba niezbyt gorliwym, jeśli w ogóle nie raczej obojętnym widzem tego, co się działo, nie mam nawet pewności, czy szczególnie interesowałem się tym, co przynajmniej dla niektórych moich kolegów mogło być pasjonującym lub choćby intrygującym spektaklem.

Pamiętam niewielki drewniany kościółek, stojący nieopodal głównych budynków sierocińca, tuż przy drodze prowadzącej ku rzece. W tamtych czasach burzliwe były jego losy, na terenie narodowo i religijnie niejednolitym służył na przemian obydwu chrześcijańskim wiarom, ja go zapamiętałem przede wszystkim, gdy znajdował się – by tak powiedzieć – w stanie uśpienia, przez dłuższy czas był zamknięty; wrócił do życia w tym okresie, jaki tutaj wspominam, a więc krótko przed moim wyjazdem. Kiedy po półwieczu odwiedziłem te tak ważne dla mnie, łączące się z tyloma wspomnieniami miejsca, z nieukrywanym zdziwieniem skonstatowałem, że kościółka nie ma. W Polsce Ludowej usuwano symbole religijne z miejsc publicznych, świątyń jednak nie burzono. Ta, stojąca na uboczu, niewielka, niepozorna, nie mogła zaważać nikomu, nawet osobistym nieprzyjaciołom Pana Boga. Zapewne – myślałem – spłonęła. Okazało się jednak, że jej los był mniej dramatyczny, rozebrano ją i przeniesiono w inne miejsce, tutaj była niepotrzebna, bo we wsi, a więc w pobliżu, stał duży kościół murowany, który w czasach pokoju doskonale spełniał swą funkcję, w tamtym okresie jednak dostęp do niego, podobnie jak do przylegającego cmentarza, był wciąż trudny, łączył się z niebezpieczeństwami; na tej ziemi nadal tliły się konflikty – i wybuchały raz z większą, raz z mniejszą mocą.

W tym właśnie małym, niejako zastępczym kościółku wydarzyło się to, co jedynie szkicowo zapisało się w mojej pamięci. Pewnego dnia, niewątpliwie powszedniego, ujrzano leżącego na podłodze mężczyznę z szeroko rozłożonymi rękoma i z twarzą zwróconą ku dołowi. Kiedy wśród chłopców rozeszła się wieść, że coś się w kościele dzieje, zainteresowali się, była to nowina wywołująca zaciekawienie tym większe, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widzieli. Chłopcy byli doskonale obznajomieni z praktykami katolickimi, przystępowali do spowiedzi, byli świadomi, że należy żałować za grzechy, a potem w pełni wykonać to, co ksiądz zadał jako pokutę. Była ona na ogół niewielka, zadośćuczynienie za przewinienia to zazwyczaj zmówienie kilku modlitw. Tutaj jednak musiało chodzić o wielkie winy, skoro ów mężczyzna przez długi czas, chyba kilka godzin, leżał krzyżem, czy też jak mówili niektórzy bezceremonialnie – plackiem. Niezwykła sytuacja ożywiała wyobraźnię i skłaniała do mnożenia domysłów. Kierowały się one w różne strony, także ku księdzu, który na tym terenie pojawił się niedawno, może dwa, może trzy tygodnie wcześniej, najwyżej miesiąc. Jego poprzednika, młodego i sympatycznego, dobrze znano i lubiano, zapracował sobie na

powszechne uznanie, zyskał spory autorytet, wyjechał jednak, postawiono przed nim jakieś inne, zapewne jeszcze trudniejsze i poważniejsze zadania. Ten nowy znacznie się od niego różnił, był o wiele starszy, grzmiał na marność tego świata, potępiał grzechy popełniane zarówno przez nastolatków, jak i dorosłych, udzielał pouczeń w tonie ostrym i bezwzględny. Szybko wszakże zauważono, że sam nie jest bez grzechu, widziano go podpitego lub wręcz pijanego. Widok zataczającego się duchownego, który winien być wzorem i przykładem, oczywiście szokował i wywoływał komentarze, nie ukrywano w nich zdziwienia i zgorszenia, a także jawnej dezaprobaty. Byli też tacy, co się zastanawiali, skąd ów ksiądz odznaczający się pociąganiem do kieliszka bierze bimber (innych napojów wysokowych wówczas w tych stronach nie znano), w okolicy nie funkcjonowały przecież sklepy, nadal była to przestrzeń w dużej mierze wyludniona. Najpierw chłopcy zaczęli rozważać, czy ta pokuta niebawem trudna, odbywana w takich warunkach, że jej świadkiem może być każdy, kto do tego wioskowego kościółka zajrzy, nie wynika z surowości nowego księdza, który wprowadzie pozwala sobie na pijaństwa i – być może – zesłany do nas został za karę, ale jest srogi i od wszystkich wymaga wiele; ów ksiądz, co nas opuścił, łagodny, dobry i wyrozumiały, zapewne takiego leżenia krzyżem przez kilka godzin by nie zadał.

Wkrótce jednak chłopcy o księdzu jakby zapomnieli, coraz bardziej interesował ich sam pokutnik leżący nieruchomo w pozie także dla nich niecodziennej, bo choć za opiekunów mieli osoby duchowne, dbające o to, by ich wychowywać zgodnie z zasadami wiary i skłaniać do wszelkich praktyk religijnych, czegoś takiego nigdy nie widzieli, nie słyszeli też o takiej formie żalu za grzechy. Przyglądali się nieznajomemu tak intensywnie, jakby mieli nadzieję, że w ten sposób czegoś się dowiedzą, przenikną i na jaw wydobędą jego tajemnice, a zatem poznają jakąś bogatą w wydarzenia historię; jeden z chłopaków, będący miłośnikiem Trylogii, której pokaźne tomy czytał od początku do końca wielokrotnie, spodziewał się chyba, że zapozna się z przygodami przypominającymi te, jakie zostały przedstawione w jego ulubionych księgach. Chodzili wokół leżącego, starali się dojrzeć jego obróconą ku podłodze twarz. Czasem zagadywali, on jednak na nic nie reagował, leżał krzyżem, jakby zastygł w takiej pozie po odejściu od konfesjonału; klęczał w nim podobno bardzo długo, jego spowiedź – jak ktoś twierdził – rozciągała się na godziny, choć można się domyślać, że była dla

niego tak ważna, iż nie umiałby jej zmierzyć za pomocą żadnego, nawet najbardziej precyzyjnego zegarka i podporządkować realnemu czasowi. W zasadzie milczał. W zasadzie, bo czasem coś pomrukiwał, coś szeptał niezmiernie cicho i niewyraźnie, trudno było stwierdzić, czy wypowiadał funkcjonujące w powszechnym obiegu słowa, czy też wydobywały się z niego pomruki, nad którymi nie panował albo wręcz nie był świadom, że one bez jego wiedzy i woli ulatują. Dopiero po pewnym czasie młodociani, ale uważni i zainteresowani sprawą obserwatorzy, utwierdzili się w przekonaniu, że pokutnik się modli, może błaga Boga o wybaczenie, a wydawane dźwięki nie stanowią bełkotu, nie są zwrócone do siebie samego, choć początkowo mogło się tak wydawać, są skierowane tam, wysoko, do nieba. Dopiero po pewnym czasie rozpoznano powszechnie znane modlitwy, także te, które każdego dnia rano, w południe i wieczorem w sierocińcu odmawiano.

Chłopcy obchodzili rozpostartego na kościelnej podłodze mężczyznę z różnych stron, można by powiedzieć, że go obwąchiwali, co zresztą miało sens nie tylko metaforyczny, musieli to robić mimo woli, bo rozchodziła się od niego nieprzyjemna woń, ów odór, jaki wydziela zastygły brud. Niektórzy zastanawiali się nad tym, kiedy mężczyzna tę uciążliwą pokutę zakończy. Któryś stwierdził, że wtedy, jak odmówi wskazaną przez spowiednika liczbę zdrowasiek, inny ujął rzecz z nieskrępowaną otwartością, wręcz brutalnie: będzie tak leżał, aż mu się szczać zachce. Żaden nie miał zegarka, nie można było zatem wskazać momentu, w którym pokuta się rozpoczęła, ani też określić ile godzin trwa. Po dziesięcioleciach skłonny byłbym przyjąć, że zajęła mniej czasu, niż wówczas się wydawało. Interesowało jednak to przede wszystkim, skąd i jakim sposobem człowiek ten znalazł się w tym miejscu nieodwiedzanym wówczas niemal przez nikogo, odciętym od świata, zamkniętym, choć nie odgraniczały go mury, płoty, wypełnione wodą fosy. Kim był? Właśnie: kim był? Co do jednego nikt nie miał wątpliwości, był „nasz”. No bo gdyby „nasz” nie był, toby nie przyszedł tutaj, gdzie wyznajemy jedyną prawdziwą wiarę i gdzie wszyscy bez wyjątku należymy do naszego narodu. Bo gdyby „nasz” nie był, to udałby się do cerkwi, dołączył do tych, co inaczej się żegnają, inaczej modlą, inaczej Panu Bogu na chwałę śpiewają – i są całkiem niemądrzy, bo nie wiedzą, że takich modłów i takich śpiewów, choćby były najpiękniejsze, nigdy On nie wysłucha. A skoro jest „nasz”, to co uczynił, że na taką pokutę zapracował? Zabił? Zapewne tak, bo chyba nikogo nie okradł, w tamtym czasie na tej ziemi, wyniszczonej

i zdominowanej przez nędzę, niewiele było do zagarnięcia, może bochenek chleba zabrany siłą bądź podstępem właścicielowi, by opędzić pierwszy głód, lub kilka kartofli. Żadne inne wielkie grzechy chłopcom na myśl nie przychodziły. Ale gdyby tylko coś do żarcia sobie przywłaszczył, toby nie leżał krzyżem na kościelnej podłodze. A jeśli zabił, to z pewnością naszego, bo gdyby się rozprawił z kimś, kto jest wrogiem, nie tylko nie popełniłby grzechu, ale stałby się jednym z bohaterów, jak choćby ci wspaniali nasi rycerze, co walczyli pod Grunwaldem. Na pewno spowiadać by się z takiego czynu nie musiał. A więc kim był ten tajemniczy mężczyzna?

Na to intrygujące pytanie chłopcy nie dostali odpowiedzi. Gdy wreszcie się podniósł, a potem opuścił kościół, zobaczyli go w całej okazałości. Był wysoki, mocno przygarbiony, przeraźliwie chudy, zarosnięty, trudno jednak byłoby mówić o brodzie, było to nieuporządkowane owłosienie, świadczące o tym, że człowiek ów nie miał warunków, by się ogolić i ostrzyc. Nie umieliby określić jego wieku, na pewno był dorosły, im, wciąż jeszcze dzieciom, wydawał się raczej stary, bo czyż starym nie jest każdy dorosły? Nosił łachmany, któryś powiedział dosadnie: obdartus, ale nie to przyciągało szczególną uwagę, tutaj obdarci byliśmy wszyscy i wszyscy poza księdzem i siostrami latem chodziliśmy boso. Kiedy był już na zewnątrz, ten i ów próbował do niego zagadać, zadawano pytania, wszyscy czym prędzej chcieli zaspokoić ciekawość, nie usłyszeli jednak od niego ani słowa; milczał tak konsekwentnie, jakby był niemową. Długimi rękoma robił takie znaki, jakby chciał się opędzić od nagabujących go dzieciaków, jakby chciał ich odegnąć niczym natrętne muchy. Wyciszył się i najwyraźniej pragnął tego tylko, by dano mu święty spokój. Nie rozglądał się po okolicy, można było pomyśleć, że zna ją dobrze od lat i nie kryje ona przed nim tajemnic. Szedł przed siebie, kroku nie przyspieszał, zachowywał się tak, jakby nie było dla niego istotne, kiedy cel swój osiągnie, nie wiadomo zresztą, czy go miał, może szedł przed siebie, bo nic innego robić nie mógł. Dotarł do skrzyżowania wiejskich dróg, do tego miejsca chłopcy ciągnęli za nim, musieli jednak wracać, robiło się późno, a ponadto nie wolno im było oddalać się od sierocińca, bo choć wojna przed kilkoma miesiącami się skończyła, na tej ziemi bywało niebezpiecznie. Interesowało ich, którą drogę mężczyzna wybierze, czy tę do lasu, czy tę do odległego o kilka kilometrów miasteczka. Wszystko wskazywało na to, że wątpliwości nie żywił i wybrał tę drugą. Zapewne z lasu przyszedł, ale wracać tam nie zamierzał.

Tego lata opuściłem okolicę, w której przeżyłem końcowy okres okupacji i pewien czas po jej zakończeniu. Nie wiem, czy któryś z chłopców zapamiętał pokutującego mężczyznę, zapewne nigdy już w ich świecie się nie pojawił, podobnie jak nie pojawił się nigdy w moim. Widok pokutnika nagle jednak wyłonił się z mojego wciąż gotującego się kotła przeszłości. Uznałem, że warto mu poświęcić kilka słów, nawet gdy jest się świadomym, że niektóre z nich są pochodną zmyślenia.

Carska filizanka i inne truwanie

1

Nie, nie jestem zbieraczem, nie kolekcjonuję filiżanek wyprodukowanych w różnych miejscach na świecie przez sławne firmy, pięknych, efektownie się prezentujących, tak się jednak złożyło, że mam ich kilka i jestem do nich przywiązany, lubię tę czy inną wziąć do ręki, przyjrzeć się jej kształtom, popatrzeć na ornamenty. W powszednim biegu oglądać ich nie mogę, są zamknięte obok naczyń użytkowych, które żadnej wartości estetycznej czy zabytkowej nie mają, a jeśli któreś z nich się stłucze, nie jestem skłonny nie tylko do lamentu, ale na ogół nawet do żalu. W moim do granic możliwości zagraconym niewielkim mieszkaniu nie ma miejsca na mebel charakterystyczny dla mieszczańskich saloników, który nazywa się serwantka. Jeden ze słowników wyrazów obcych, ten, który akurat mam pod ręką, informuje, że serwantka to „niewielka szafka, oszklona z trzech stron, przeznaczona do przechowywania szkieł, porcelany oraz drobnych przedmiotów artystycznych”. Nie ma jednak powodu, bym się nad tym usługowym i zazwyczaj zgrabnym mebelkiem rozwodził, skoro świeci nieobecnością w moim skromnym mieszkaniu i siłą rzeczy nie może być pomocny i stać się miejscem, w którym wystawiam filiżanki na widok codzienny, tak by można było na nie rzucić okiem, gdy przechodzi się z pokoju do kuchni.

Komplet filiżanek z serwisu przetrwał za sprawą przychylnego zbiegu wypadków lata okupacji i Zagłady, odziedziczyłem go po Rodzicach; zapędzeni do getta, poprosili znajomych o jego przechowanie. To do niego właśnie żywię szczególny sentyment. Pozostałe filiżanki dostałem w prezencie z rozmaitych okazji. Jedna z nich wyróżnia się tym, że trafiła tutaj w inny sposób, można zresztą powiedzieć, że charakteryzuje ją to, iż się niczym specjalnym – przynajmniej na pozór – nie odznacza, nie przyciąga uwagi ciekawym kształtem, o ornamentach w istocie trudno mówić, w tym zakresie jest wyrazem zaawansowanej powściągliwości. Składa się na nie sześć wąskich jasnoniebieskich szlaczków, biegnących dookoła i obrysowanych dwiema złożonymi linijkami, trochę już wytartymi. Być może za ozdobę uznać należy uszko o dość frymuśnej formie, powyginane, wzbogacone o elementy zdecydowanie nadmiarowe, jeśli oceniać je ze względu na funkcję, jaką ma pełnić; prawdopodobnie lepiej by ono spełniało swoje

podstawowe zadanie, gdyby było prostsze. Ta filizanka, najbardziej ze wszystkich niepozorna, jest swego rodzaju Kopciuszkiem w moim zbiorze, ale też – właśnie jak Kopciuszek w bajce – w pewnym momencie budzi moje największe zainteresowanie. Warto zapytać, skąd się wzięła.

Zanim wszakże podejmę próbę odpowiedzi na to pytanie, a więc będę usiłował zrekonstruować po części tylko prawdopodobną, ale po części rzeczywistą historię tej filizanki w mojej rodzinie, nie mogę pominąć znaku firmowego, umieszczonego – jak zwykle w tego rodzaju porcelanowych wyrobach – na denku. W pierwszej kolejności moją uwagę przyciąga napis grażdanką. Jego początkowe litery zatarły się, nie jestem w stanie ich odczytać. Po nich następuje: MS Kuzniecowa, R.F. (niewątpliwie nie chodzi o formę żeńską nazwiska, występuje tu ono w dopełniaczu). Nie orientuję się w dziejach rosyjskiego przemysłu ceramicznego (ani żadnego innego), nie wiem, czy przedsiębiorstwo, którego szczęśliwym posiadaczem był niejaki pan Kuzniecowa, to była wielka i znana fabryka, czy też jakaś pokątna wytwórnia, o której mało kto słyszał, nie wiem – i nie mam pojęcia, gdzie mógłbym na ten temat zdobyć jakąś choćby szcątkową, ale wiarygodną informację. Z pomocą przychodzi M., który w internecie znajduje odpowiednie materiały. Dowiaduję się, że Kuzniecowa to była sławna firma, istniejąca od roku 1832, rozgałęziona, przechodząca w tej rodzinie z pokolenia na pokolenie, nieustannie rozbudowywana, a w jej nazwie zmieniały się tylko inicjały przed nazwiskiem. Na mojej filizance widnieją litery MS, a one należały do Kuzniecowa działającego pod koniec XIX wieku. To on otworzył wiele filii i tak już wielkiego rodzinnego przedsiębiorstwa. Przyglądam się z zaciekawieniem znakowi graficznemu pełniącemu funkcję logo. Przypomina herb carskiej Rosji, przedstawia ptaka w koronie o rozpiętych szeroko skrzydłach, jakby chciał ogarnąć nimi całe imperium. Jest to wszakże tylko mój domysł, pewności nie mam. Przypuszczam, że na umieszczenie herbu imperium na produktach skierowanych do zwykłej sprzedaży, a nie przeznaczonych na potrzeby dworu i Najjaśniejszego Pana, trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie, tak jak w państwie, w którym na tronie zasiadał Franciszek Józef, trzeba było mieć permisję, by na produkcie bądź opakowaniu zaznaczyć, że firma jest tak zwanym hof-liferantem. Sprawa ta sama w sobie ma zresztą w tej opowieści mniejsze znaczenie, ważna jest dlatego, że wskazuje, iż ta moja kopciuszkowa filizanka wyprodukowana została w słynnej firmie za carskich czasów,

zapewne wówczas, gdy miały się one ku końcowi, a więc za panowania cara Mikołaja II.

Spróbuję zrekonstruować jej rodzinną prehistorię, opierając się nie na niekwestionowanych faktach, bo niby z jakich źródeł mam o nich czerpać wiedzę, ale na domysłach. Przypuszczam, że nie była pojedynczym egzemplarzem, zakładam, że stanowiła część kompletu złożonego zapewne z sześciu części, bo pół tuzina to liczba do dzisiaj częsta w tego rodzaju zestawach, ponadto nie wykluczam, że filiżankom towarzyszyły spodki; wydaje mi się, że to domniemanie jest słuszne, po nich wszakże żaden ślad nie pozostał, powiem z nadmiernym, niewątpliwie niezbyt stosownym patosem, że zagubiły się w toku dramatycznych wydarzeń XX wieku, przechodząc zaś do prostej powieści, stwierdzą, że się wytłukły, los nie okazał się dla nich przychylny, a przypadek – łaskawy, nikt o nie nie zadbał (i zadbać nie mógł). Może istniały, a może nigdy ich nie było, pozostawmy je w spokoju, nie mają przecież dla naszej opowieści większego znaczenia. Ma znaczenie natomiast odwołujący się do carskiej symboliki znak firmowy, bo świadczy o tym, że moi dziadkowie w tę filiżankę, znajdującą się teraz u mnie, zaopatrzyli się w młodym wieku, gdy wkrótce po ślubie, a więc w okolicach Roku Pańskiego 1900, instalowali się w Miasteczku. Rozwijało się ono wówczas całkiem dobrze, ale wciąż było małe i na dorobku, a ponadto leży w niewielkiej odległości od Warszawy, która wydawała się metropolią i je przytłaczała, nie sądzę zatem, by w nim znajdował się sklep, gdzie można byłoby nabyć przedmioty z porcelany. W tym celu trzeba było udać się do wielkiego miasta – i zapewne skierować swe kroki w stronę któregoś z kwartałów handlowych (być może Nalewek?). Czy w sklepach w dzielnicy żydowskiej, a także w polskim handlu w ogólności, dużo było wyrobów rosyjskich? Na pytanie to odpowiedzieć nie potrafię, choć przypominam sobie, że w okresie moich studiów w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych marksistowscy badacze w swych uczonych komentarzach, zwłaszcza zaś w interpretacjach powieści Prusa i Reymonta, rozwodzili się szeroko o znaczeniu handlu z rosyjską centralą także dla literatury. Chodziło jednak tym jakże dociekliwym analitykom o kierunek odwrotny do tego, o jakim świadczy filiżanka z logo przypominającym carski herb i z niebieskim szlaczkiem. Ponadto ulubionym przedmiotem ich dywagacji były perkaliki, nie porcelana.

Jedno wydaje mi się pewne: opiewana przeze mnie filiżanka, podobnie jak cały komplet, do którego ani chybi należała, nie była przeznaczona do codziennego użytku, herbatę pito w szklankach, niewątpliwie bardziej pojemnych, posługiwano się też wyrabianymi z fajansu kubkami (w Miasteczku bodaj od połowy XIX wieku funkcjonowała spora fabryka, która w tym się specjalizowała, nazywano ją Fajansowa; na wypuszczanych przez nią produktach rosyjskich napisów oczywiście nie umieszczano). Jakie było zatem przeznaczenie tego zachowanego pojedynczego przedmiotu? Z pewnością nie trzymano go dla ozdoby, do tego – skromny i niepozorny – raczej się nie nadawał. Uzasadnienie jego obecności miało charakter rytualny. Moi dziadkowie, choć raczej dalecy od ortodoksji, pozostali wierni judaistycznej tradycji, przestrzegali obowiązujących w niej zasad, czynili to zresztą w formie złagodzonej, zliberalizowanej, niewątpliwie jednak nie mieli żadnego powodu, by rezygnować z nakazu wymiany zastawy stołowej zależnie od obrzędowych okoliczności. Na tym stwierdzeniu zamykam prehistorię, z której niestety nie mogłem wyeliminować domysłów i przypuszczeń.

2

Filiżanka przeżyła różne wstrząsy historyczne, przetrwała, oparła się kataklizmom i znalazła się wśród dziwnych i niespotykanych, by nie powiedzieć: zaskakujących, przedmiotów odnalezionych, a właściwie wygrzebanych po wojnie z jednego z zakamarków na strychu w domu moich dziadków. Dach był tam spadzisty, a raczej jest, bo dom ten istnieje, choć w stanie zupełnego rozkładu czy upadku, spadzistość owa sprzyjała powstawaniu różnego rodzaju załamania i kątów, do których dostęp był trudny, tak że mogło się wydawać, iż są one nieosiągalne. Jeden z zakamarków był szczególnie niedostępny, nie sposób było do niego dotrzeć nawet w pozycji głęboko pochylonej, trzeba było niemal się wczołgiwać. Ale też ten właśnie, niebywale tajemniczy, pobudzał dziecięcą wyobraźnię, był nad wyraz kuszący. Jakie krył sekrety? Pytanie to absorbowало również Elżbietę i Piotra, moich o kilka lat młodszych kuzynów. Strych znajdował się w tej części domu, która pozostała we władaniu rodziny, a więc mogliśmy w miarę swobodnie po nim buszować – i znajdować rozmaite dziwne przedmioty, choćby liczydła, którymi posługiwano się przed wojną w tak zwanym kantorku, czyli w jednopokojowym biurze, stanowiącym część

przedsiębiorstwa Dziadka. Nie wiem, co się z nimi stało; nikomu niepotrzebne, gdzieś się zagubiły, czego żałuję, bo w epoce kas fiskalnych byłyby zabytkiem ułatwiającym demonstrowanie młodym ludziom, jak kupcy w dawnych czasach rachowali i rozliczali się z klientami. Były też przedmioty inne, które zastanawiały mnie wówczas, a także niepokoją dzisiaj, bo ich pojawienie się w tym miejscu wydawać się musi nieoczywiste, odpowiedź na pytanie z pozoru proste: skąd się wzięły, jakim cudem tu zawędrowały, bynajmniej łatwa nie jest.

Miejsce owo pociągało mnie, choć było ciasne, ciemne i niedostępne, pociągało może dlatego, że odnalazłem w sobie niespodziewanie duszę poszukiwacza skarbów. Już wtedy ta fascynacja mnie zdziwiła i dziwi nadal, bo dobrze pamiętam, że od dzieciństwa towarzyszył mi psychiczny uraz, który – jak miało się okazać – naznaczył mnie na całe życie: paniczny lęk przed wszelkiego rodzaju zamknięciami. Nie osłabł on wraz z nastaniem czasów pokoju, kiedy nie miał już realnego uzasadnienia, bo pomiędzy tymi, wśród których się obracałem, nie było nikogo, kto chciałby wyrządzić mi krzywdę ani – tym bardziej – wyprawić na tamten świat. Przed nikim nie musiałem już się ukrywać w miejscach trudno widocznych, nieosiągalnych i od świata odciętych, a zatem szafa mogła być odtąd tylko szafą, a nie schowkiem, gdzie zamykało się Żydów, by ich chronić przed Niemcami, szmalcownikami, a także przed wścibskimi sąsiadami, bo nie wiadomo było, kto się okaże nieodpowiedzialnym gadułą i zdradzi tajemnicę, albo też „patriotą” przekonanym o tym, że dla dobra ojczyzny trzeba tępić tych, których uważa się za obcych czy innych, bo niechybnie są wrogami naszego ukochanego kraju. Szczęśliwe czasy, zakamarki mogły być już tylko zakamarkami, w moim przypadku wszakże nadal budziły lęk i grozę.

Nagle pobudzone zaciekawienie osłabiało, bo oczywiście nie w pełni neutralizowało, reakcje lękowe, było jednak dostatecznie silne, by mnie powstrzymać od porzucenia tej części strychu (lub strychu w ogólności). Nie, nie byłem poszukiwaczem skarbów – również z tego prostego powodu, że nie wierzyłem, iż tam zostało ukryte coś, co byłoby piękne, niezwykle, drogocenne zwłaszcza dla kogoś, kto liczył sobie wówczas lat dwanaście lub trzynaście. Nie salwowałem się ucieczką, choć serce prawdopodobnie biło szybciej niż zwykle. A więc wyciągaliśmy jakieś papierzyska nikomu niepotrzebne, książki handlowe sprzed wielu lat, z częścią stron zapisanych kolumnami cyfr, które oczywiście kiedyś miały jakieś znaczenie, stanowiły

dokumentację transakcji zawieranych w przedsiębiorstwie Dziadka, czasem dużych, czasem detalicznych, niemal groszowych, dotyczących kilku sprzedanych desek, komuś niezbędnych, by przeprowadzić niewielki remont. Te zestawienia były nam obojętne, moich kuzynów, którzy wtedy rozpoczynali naukę szkolną, uczęszczali do klasy drugiej, może trzeciej (dzieli ich różnica zaledwie kilku miesięcy), zainteresowały strony puste, na nich można było swobodnie rysować, mazać, pisać. Mnie – o kilka lat starszego – zajęły papiery inne, budziły się wówczas moje zainteresowania literaturą i muzyką. Zobaczyłem jakieś druki, nie chciałem, by znalazły się na śmietniku. Nie orientowałem się w ich charakterze, to prawda, ale jednak odłożyłem je na bok. Przeleżały w idealnym spokoju przez lata, kiedyś do nich zajrzałem – i wtedy pojąłem, czym są, zdziwiony, bo ich obecności na strychu w domu moich dziadków właściwie nic nie tłumaczyło. Nasuwało mi się natarczywie powracające pytanie: skąd się tam wzięły? A teraz mogę je uzupełnić pytaniem następnym: co się z nimi stało? Na nie odpowiedzieć łatwiej: niewątpliwie zapomniane, podniszczone, nikomu niepotrzebne, gdzieś się zapodziały kilkanaście lat później, gdy opuszczaliśmy Miasteczko, przeprowadzając się do Warszawy. Przykro stwierdzić, ale przeznaczeniem tych papierów okazał się, choć ze sporą zwłoką, właśnie śmietnik. Dobrze się stało, że zapamiętałem przynajmniej częściowo, co wśród nich było.

Na pierwszym miejscu wymienię to, czego obecność w zakamarkach dziadkowego strychu zdziwiła mnie szczególnie. Myślę o obszernym wydawnictwie nutowym, na którego karcie tytułowej można było przeczytać: Robert Schumann, *Gesammelte Werke für Klavier, vol. 2*. Nazwy oficyny nie zapamiętałem, utkwilo mi jednak w pamięci, że ukazało się ono w Lipsku pod koniec XIX wieku. To pytanie intryguje mnie do dzisiaj, a także złości, bo nie jestem w stanie znaleźć na nie racjonalnej, choćby tylko w przybliżeniu prawdopodobnej odpowiedzi: jakim cudem ta nutowa edycja trafiła tutaj? Trzy siostry, jak przystało na panny z mieszczańskiego domu, uczyły się gry na pianinie, żadna z nich nie wykazała się zdolnościami w tej dziedzinie i chyba nie wzniosła ponad poziom muzycznego elementarza. Gdzież im było do grania Schumanna?! Przypuszczam, że w grę nie wchodziły (w sensie jak najbardziej dosłownym!) nawet utwory składające się na album, któremu nadał on tytuł *Dla młodzieży*. Wiedziałem już wówczas, kim był Robert Schumann, ale z jego obfitej i różnorodnej twórczości znałem bodaj tylko miniaturę poetycko zatytułowaną *Marzenie*, emitowano ją często w radiu, na

ogół zresztą nie w wersji oryginalnej, ale w przeróbkach, które czyniły z niej kawałek o charakterze sentymentalno-salonowym. Z upływem lat poznałem jego kolejne utwory i upewniłem się, że z okazałej, może nawet monumentalnej ich edycji nikt nie mógł w tym domu korzystać, nawet jeśliby umiał odczytać z pewnością niełatwy dla amatora zapis nutowy. Chodzi tu nie tylko o wirtuozowską *Toccate*, demoniczną w swej motoryczności, będącą chyba zapowiedzią muzyki XX wieku, chodzi o wspaniałe cykle, noszące sugestywne literackie tytuły, a w istocie o wszystko, co kompozytor na fortepian przeznaczył. Nie wiem, kto zamieszkał w naszym domu po przesiedleniu rodziny do getta i w czasie, gdy – rozproszona w różnych miejscach – ukrywała się po aryjskiej stronie. Jest w tej niewiedzy pewien wyłom, wiadomo, że gdy dom stał się „mieniem pożydowskim”, zagnieździł się w nim na pewien czas z żoną i dzieckiem młody furman pracujący w lokalnej spółdzielni, której biura mieściły się w innej części domu. Nikt z tych ludzi nie mógł być posiadaczem wydawnictwa nutowego, nie ma zatem powodu, by podążać tym szlakiem w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: jakim sposobem, kiedy, w jakich okolicznościach ono na strychu się znalazło? Intrygująca mnie tajemnica pozostaje nierozwiązana.

W dalszej kolejności zatrzymam się nad drukami, które zapamiętałem, też zresztą w tym miejscu nieoczywistymi. Najpierw wspomnę o dwóch zdekompletowanych numerach (ale z zachowanymi stronami tytułowymi) raczej mało znanego czasopisma, które nazywało się „Wieś i Dwór” i adresowane było do ziemiaństwa. Sprawdziłem podstawowe dane, ukazywać się zaczęło tuż przed wybuchem pierwszej wojny, a przestało – w czasie jej trwania. Jestem pewien, że moi dziadkowie, żydowscy mieszczenie, nie zwykli tego miesięcznika czytać, to nie była ich problematyka, ani ze wsią, ani – tym bardziej – z dworem nie mieli nic wspólnego, to nie było ich środowisko. Choć znali jidysz i nim się posługiwali, czytali również, zapewne w dużej mierze, po polsku. I to może tłumaczyć, że wśród znalezionych druków wyróżniało się kilkanaście luźnych stron „Tygodnika Ilustrowanego”. Było to pismo i bardziej uniwersalne, i znacznie bardziej popularne niż to, które w tytule przywoływało wieś i dwór. Nie jestem po latach świadom, czy na którejś ze stron był kolejny numer i data, zapisał się jednak w mojej pamięci fakt, że jako o aktualnym wydarzeniu kulturalnym pisano o występie Edwarda Griega w Filharmonii Warszawskiej. Tu już nie było kłopotu z ustaleniem daty, z biogramu sławnego kompozytora dowiedziałem się (co

prawda wiele lat później), że dał on w Warszawie koncerty w roku 1903, a więc dwa lata po inauguracji filharmonii i trzy lata przed śmiercią. Mógłbym zapytać, jakim sposobem te karty lubianego i chętnie czytanego czasopisma się zachowały. Czy ktoś świadomie z jakichś względów je odłożył i po pewnym, bliżej niedającym się określić czasie zawędrowały na strych, czy też zdecydował przypadek, że trafiły w rejon, który można nazwać królestwem szpargalii?

Jedno jest pewne, te papierzyska, gdy je wyciągnęliśmy z zakamarka, były w nader marnym stanie. Osadził się na nich przez dziesięciolecia kurz niedający się usunąć, tworzący grubą warstwę, niekiedy pokrywający druk, tak że trudno niektóre słowa i litery odczytać, kurz, który istniał w swoistej symbiozie z dobrym, grubym, być może kredowym papierem, na jakim te eleganckie czasopisma drukowano. Zapewne niełatwo było je zaginać czy rolować, mimo to zdegradowane zostały do roli zapchajdziury. Czy jeszcze coś poza nimi się tu kryło, jakieś przedmioty w pewnym momencie uznane za zbyt cenne, a więc odstawione, albo też – już w strasznych czasach – jakieś rzeczy uznane z takich czy innych względów za wartościowe, a więc warte przechowania?

3

Czy skromnie się prezentująca, wyprodukowana w Rosji filiżanka do nich należała, czy też znalazła się w tym pełnym szpargałów zakątku przez przypadek? Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć, skłaniałbym się jednak ku tej drugiej ewentualności. Pewne było (i takie pozostało) to tylko, że także na niej osiadła gruba warstwa kurzu narastającego przez lata, nieniekuszonego dotknięciami szczotki czy szmaty ani tym, co sporo lat później w handlu i w reklamie nazwane zostało środkami czystości. Wyszorowana filiżanka odzyskała swą dawną postać (o odzyskanej świetności tu raczej mówić nie przystoi), choć niebieskie delikatne szlaczki były już mocno wyblakłe. Muszę przyznać, że rozpisuję się o niej nie dlatego, że na pierwszym miejscu zajmuje mnie jej fizyczność; filiżanka interesuje mnie jako ślad przeszłości, jako swego rodzaju świadectwo, a przede wszystkim – paradoksalnie – to, że w istocie nie wiadomo, o czym – podobnie jak przywoływane papierzyska – miałyby świadczyć. Wydobywane z zakamarków na strychu przedmioty najpierw są, a dopiero potem znaczą. Na pytanie „Co

znaczą?”, nie zawsze można odpowiedzieć, bo nie jest jasne, co mówią, jakim przekazem są ich dzieje. Tak właśnie sprawy się mają w tej mikrohistorii, jaką przedstawiłem.

Rusycysta Mordechaj

Historyjki o tym, co przytrafiło się w czasie, gdy odbywało się służbę wojskową, należą do folkloru męskiego, stanowią jego klasyczną formę. Nie zamierzam jej uprawiać – nie tylko dlatego, że moje doświadczenia w tej materii są niewielkie i wyzbyte wszystkiego, co mogłoby kogokolwiek zainteresować, a więc niewarte tego, by podjąć trud ich przedstawiania. Wspomnę tylko, że były dość specyficzne i raczej niekonwencjonalne, bo w moich latach studenckich istniało na uniwersytecie studium wojskowe, co pozwoliło nam odrabiać służbę bez przerywania nauki; zajęcia odbywały się raz na dwa tygodnie – od siódmej rano do siódmej wieczorem. Kazano nam wdziawać na własne ubrania brudne i w wielu przypadkach podarte kombinezony i w ten sposób przemieniano w rekrutów. Wspominam o tym nie po to, by przywoływać przykrości, jakich doznawałem, i nie tylko dlatego, że nie umiałem z siebie wykrzesać ani grama zainteresowania dla kwestii militarnych, nie było we mnie niczego, co mogłoby sprawić, że miałbym szansę stania się dobrym żołnierzem choćby w skali najmniejszej, toteż nieustannie – jak się mówiło w charakterystycznym studenckim stylu – podpadałem. Uczono nas nie tylko posługiwania się bronią, musztry i regulaminów (czyli tego, „co żołnierz może”), ogromnie dużo czasu poświęcano na tak zwane przedmioty ideologiczne, które w wersji, jaką nadawali im oficerowie – specjaliści w tej osobliwej dziedzinie – były jeszcze bardziej prymitywne, jeszcze bardziej nasycone agresją i złowrogie niż w ujęciu cywilnym.

Jednakże nie o tym chciałbym opowiadać, w ostateczności są to sprawy niezłe znane, a gdyby chcieć odtworzyć język, jakim do nas mówiono, powstałby efekt niezamierzenie groteskowy, nieliczni bowiem nasi mundurowi preceptorzy jedynie słusznej ideologii wypowiadali się choćby w miarę poprawną polszczyzną, większość posługiwała się jakąś dziwną, pełną błędów gramatycznych, w istocie wybuchową (także dlatego, że mogła prowokować wybuchy śmiechu) mieszaniną takiej lub innej gwary, najczęściej wschodniopolskiej, przede wszystkim z terenów, które znalazły się poza granicami, oraz nowomowy w jej postaci najskrajniejszej, wyjątkowo szkaradnej, takiej jaka dominowała nie tylko w prasie przeznaczony dla wojskowych, ale zapewne również na rozmaitych ideologicznych szkoleniach i odprawach, organizowanych gwooli pouczenia oficerów politycznych i ciągłego aktualizowania ich poglądów. Przyznaję, że choć to i tamto z owego osobliwego sposobu mówienia pamiętam, nie umiałbym go po

półwieczu z okładem odtworzyć. Ale – podkreślam – nie taki jest cel mojego skromnego narracyjnego przedsięwzięcia, pragnę bowiem przedstawić pewną ulotną sytuację, której byłem przypadkowym świadkiem. Zapamiętałem ją, mogę więc bez kłopotu do niej powrócić.

Ale żeby to uczynić, a także pozbawić moją opowieść ryzyka niejasności, muszę przywołać jeszcze trochę realiów. Rozpoczywałem studia w roku 1951, istniał wtedy Wydział Filologiczny, który – o ile wiem – z biegiem lat podzielony został na kilka jednostek odrębnych. Zajęcia wojskowe prowadzone były według roku studiów i wydziału. Nasza kompania składała się z filologów. Dominowaliśmy w niej ze zrozumiałych powodów my, poloniści, nas było najwięcej, no bo to była sekcja najliczniejsza, a nie uległa ona jeszcze – jak to się stało w następnych dziesięcioleciach – tak wielkiemu sfeminizowaniu. Grupy romanistów i anglistów, filologów klasycznych i orientalistów były nieliczne, a sławistów zapamiętałem trzech i chyba nie było ich więcej. Z widzenia znaliśmy się wszyscy, wszyscy mówiliśmy sobie „na ty”, choć nie mogę powiedzieć, że znałem każdego kolegę i z każdym zamieniłem choćby dwa słowa. Ostatecznie było nas prawie stu chłopca. Znałem polonistów, choć tworzyli grupę nie tylko najliczniejszą, ale też najbardziej zróżnicowaną; myśmy po prostu byli skazani na nieustanne kontakty, bo obowiązywała rygorystycznie przestrzegana dyscyplina studiów, a więc musieliśmy wysiadywać także na wykładach, które były skoncentrowaną nudą. Koledzy z sekcji neofilologicznych robili w większości wrażenie chłopców z dobrych inteligenckich domów, gdzie dbano o to, by od małego uczyć dzieci języków. W przyjmowaniu na studia ogromną rolę grały w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych tak zwane kryteria klasowe, w tym wypadku – jak się zdaje – stosowano je nieco luźniej, uznano zapewne, że znajomość francuskiego bądź angielskiego jest jednak dość istotnym argumentem przemawiającym za wręceniem indeksu.

Robiąc ten zdawkowy przegląd, nie wspominałem o germanistach i o rusycystach. Stało się tak z różnych powodów. Germanistyki wówczas – kilka lat po upadku hitlerowskich Niemiec – na Uniwersytecie Warszawskim nie wykładano, nie można zatem było oczekiwać, że jej adepci znajdą się wśród filologów wbitych w złachane, brudne kombinezony, pełniące funkcję mundurów, i będą odrabiać swe wojskowe obowiązki. Inaczej sprawy się miały z rusycystami, w naszej kompanii nie należeli oni do zbyt licznych, jednakże z łatwością dawało się ich dostrzec. Nie zapamiętałem zbyt wielu,

mam jednak przed oczyma kolegę o charakterystycznie litewskim nazwisku, pięknym basowym głósie, doskonałej dykcji, niewolnej zresztą od pewnego kresowego zaśpiewu. W dorosłym życiu umiał wykorzystać te walory, został rewiowo-komediowym aktorem, występował w jednym z warszawskich teatrów. Nigdy go na scenie nie widziałem, ktoś mi jednak kiedyś powiedział, że był ceniony i lubiany, cieszył się uznaniem stołecznej publiczności. Kiedy przed kilku laty przeczytałem jego nekrolog w „Gazecie Wyborczej”, ogarnął mnie smutek szczególny, bo pamiętałem z lat dawnych młodzieńca o wielkiej energii; dodam, że wiadomości o odchodzeniu rówieśników stają się swego rodzaju memento mori, choć w istocie tym, którzy osiągnęli pewien wiek, o śmierci nie trzeba przypominać, pamiętają o niej zawsze i wszędzie, chciałoby się powiedzieć: samoczynnie, niezależnie od okoliczności i kolejnych wydarzeń.

Rozpisałem się o tym raczej młodo zmarłym człowieku, którego zawodem stało się rozweselanie widzów żądnych rozrywki, choć to nie on awansuje na bohatera niniejszej opowieści. Pod pewnym względem był jednak reprezentatywny dla tej grupy: rosyjskiego nauczył się tam, daleko, za siedmioma rzekami, za siedzioma górami, na Sybirze, gdzie go wywieziono wraz z rodziną po czwartym rozbiórce Polski. Dobra znajomość rosyjskiego była jedynym darem, jaki w tym wypadku pierwszy kraj robotników i chłopów ofiarował swym polskim ofiarom. Niektórzy skorzystali z tego gorzkiego prezentu i skierowali kroki na rusycystykę, mieli na niej przywilej niewątpliwie godny pozazdroszczenia: języka uczyć się nie musieli. Myślę, że ci, którzy wówczas, kilka lat po wojnie, zdecydowali się na studiowanie tej właśnie filologii, nie wynosili znajomości rosyjskiego ze szkoły. Jego nauczanie, choć stał się obowiązującym językiem obcym, dopiero raczkowało, brakowało nauczycieli, a niekiedy do pracy angażowano starszych ludzi, którzy mowę Puszkina i Lermontowa posiadli jeszcze za czasów carskich – to ich właśnie mieli zastąpić młodzi absolwenci. Moich kolegów ze studium wojskowego rosyjskiej mowy niewątpliwie nauczyło życie. Niekoniecznie zresztą na Syberii czy w Kazachstanie, mogło to się stać gdzieś bliżej, po prostu – jak się wówczas zwykło mawiać – „za Bugiem”.

W taki zapewne sposób, a więc samoczynnie, nauczył się rosyjskiego ów słuchacz rusycystyki, o którym zamierzam opowiedzieć. Niewiele o nim wiem, nie dysponuję informacjami o jego przeszłości, nie mogę wykluczyć, że rosyjski znał lepiej od polskiego, zorientowałem się bowiem, że mówił

jeśli nie z trudnością, to z niewątpliwym akcentem. Właściwie nie zwracałby uwagi, gdyby nie jeden element, który ujawnię za chwilę; student ów niczym specjalnym się nie wyróżniał, średniego był wzrostu, zdecydowanie drobny, a jego twarz wydawała się nijaka, jakby pozbawiona znamion indywidualności, choć ci, co specjalizowali się w tego rodzaju poszukiwaniach, odkryliby być może rysy specyficznie semickie. Taki niepozornie szary wygląd na studium wojskowym stanowił swego rodzaju przywilej, prowadzący zajęcia oficerowie i podoficerowie przed szereg lub do odpowiedzi wzywali tych przede wszystkim, których powierzchowność czymś się odznaczała, choćby pewnego kolegę anglistę – był bardzo wysoki i bardzo szczupły, a do tego miał wielką płomiennorudą czuprynę – jego po prostu nie dało się nie zauważyć. Mój bohater nie odznaczał się niczym takim, można powiedzieć, że bliżej niż do owego dryblasza rudzielca było mu do człowieka bez zewnętrznych właściwości. Sytuacja ulegała radykalnej zmianie, gdy prowadzący zajęcia sięgali po listę, a na niej trafiali na studenta nazywanego się Mordechaj Chaim Płoskirowski. Nazwisko od biedy mogło ujść w tłoku, choć mimo polskiej formy też było typowo żydowskie, gdyż wielu Żydów nosiło nazwiska utworzone od nazw miast, a Płoskirów był względnie sporą miejscowością, położoną w tej części Podola, która już w okresie międzywojennym znalazła się poza polskimi granicami. Imiona nie pozostawiały wątpliwości co do pochodzenia i siłą rzeczy przyciągały uwagę. Myślę, że nie włączały się tu ani ze strony wojskowych, ani kolegów intencje antysemityczne, chodziło o coś całkiem innego: kilka lat po Zagładzie posługiwanie się imionami bezsprzecznie żydowskimi było w Polsce czymś niezwykle rzadkim. Z wielu względów, przede wszystkim dlatego, że wymordowano społeczność, dla której były one oczywiste i – by tak powiedzieć – naturalne, po prostu należały do codzienności, tak funkcjonowały, że nie wymagały komentarza, podobnie jak w kulturze polskiej nie wymagają wyjaśnień takie imiona, jak: Stanisław, Bolesław lub Tadeusz. Chodziło również o to, że wielu ocalałych zamieniało tradycyjne żydowskie imiona na polskie. Mordechaj Chaim Płoskirowski tego nie uczynił, nie ukrywał swojej żydowskiej tożsamości, ktoś nawet mógłby powiedzieć, że wręcz demonstracyjnie ją podkreślał. I nie przeszkadzało mu to, że dla większości osób, z którymi się stykał, jego imiona brzmiały obco i dziwacznie, były przejawem egzotyki.

A wydarzenie, o którym chciałbym opowiedzieć, miało miejsce, gdy byliśmy studentami drugiego roku, na przełomie lat 1952–1953. Jeden z wątków propagandowych na wszystkie sposoby rozpowszechnianych stanowiło wówczas demaskowanie i oskarżanie grupy pracujących na Kremlu lekarzy, których głównym i ulubionym zajęciem miało być przyspieszone wyprawianie na tamten świat wielkich postaci radzieckiego państwa i przewodzącej mu partii; lekarze ci nie zaprzestali zbrodniczej działalności, uprawianej od lat, szykowali nowe morderstwa, byli agentami międzynarodowego imperializmu, podstępnyimi zabójcami w białych fartuchach, trucicielami – jak w dawnych kronikach dworskich i w dramatach Shakespeare’a. Władza radziecka wreszcie ich zdekonspirowała, umieściła pod kluczem, szykował się wielki proces. Trudno było mieć wątpliwości, oskarżani o tak wielkie zbrodnie kremłowscy lekarze byli w większości Żydami. Ich pochodzenie nie mogło ująć uwagi tych zwłaszcza, którym sprawy żydowskie były z takich lub innych powodów nieobojętne. Czyżby kilka lat po tym, jak wygasły krematoria Auschwitz i Treblinka, Majdanka i Bełżca, szykowano nową rzeź? O tej historii z lekarzami, o której trąbiła prasa i nieustannie głośno w radiu, nie mogłem nie słyszeć, docierała do każdego, nawet tego, kto unikał kontaktu z aktualiami, zajmował się swoimi małymi sprawami, a informacje o tym, co się dzieje za kremłowskim murem, uznawał za opowieści o żelaznym wilku. Utrzymana w ostrym tonie, wpisująca się w ówczesną nachalną, brutalną i bezwzględną propagandę kampania zapowiadała straszne rzeczy, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy, wolałem o tym nie myśleć.

Inna była postawa Mordechaja Chaima Płoskirowskiego. W przerwie między jednymi a drugimi zajęciami całkiem głośno i donośnie powiedział coś takiego mniej więcej: O tych kremłowskich lekarzach mogą mówić i pisać, co chcą, a ja i tak w to nie wierzę, wszystko zostało zmyślane. Nie wiem, czy słowa te skierował do konkretnej osoby, czy też do grupy kolegów, w każdym razie wypowiedział je tak, że dotarły do wielu, jakby niczego się nie obawiał i niczym nie krępował. Było to zaskakujące nie tylko dlatego, że na przerwach w zajęciach wojskowych na ogół nie rozmawialiśmy o bieżących wydarzeniach politycznych, podejmowaliśmy zapewne bardziej nas dotyczące i mniej grząskie tematy. Było zaskakujące jako przejaw niezależności, rusycysta Mordechaj otwarcie, jawnie, bez niedomówień zakwestionował to, co tworzyło wówczas główny wątek propagandowy nie tylko w skali Polski,

ale w skali całego obozu sowieckiego. Zademonstrował niezwykłą odwagę, bo w tamtym czasie opinie tego rodzaju wypowiadało się szeptem i tylko w gronie tych, do których miało się pełne zaufanie. A on wyraził swoje, przeciwstawne temu, co głoszone oficjalnie, przekonanie tak, jakby nie brał pod uwagę, że jego słowa może usłyszeć ktoś niepowołany – i donieść. W tamtych ponurych czasach, będących wciąż apogeum stalinizmu, za taką wypowiedź można było zostać wyrzuconym z uniwersytetu, a nawet trafić do więzienia. Donosiciele wśród studentów nie brakowało, tak zwana Spółdzielnia Ucho działała sprawnie, jej aktywiści z pewnością nie mieli oporów i skrupułów w kablowaniu na kolegów; jedni robili to z ideologicznego fanatyzmu przekonani, że delując, przyczyniają się do budowania świetlanej przyszłości, inni – ze strachu, jeszcze inni – z powodu złego charakteru bądź głupoty. Idea czujności, z ogromną siłą rozpowszechniana, była swego rodzaju wezwaniem do donosicielstwa, traktowanego jako obowiązek moralny i obywatelski, w przypadku zaś członków Związku Młodzieży Polskiej – także organizacyjny. A wydarzenie, które relacjonuję, mogło zostać potraktowane jako szczególnie oburzające, wręcz budzące grozę: zakwestionowano prawdziwość opowieści nadanej z centrali; chodziło przecież nie o zwykły reakcyjny spisek o zasięgu lokalnym – ujawniono serię zbrodni, które miały zachwiać w posadach całym obozem pokoju i socjalizmu. Wszystko, co nadchodziło z Moskwy, traktowane było nie tylko jako obowiązujące, ale wręcz święte. Kwitła i rozrastała się swego rodzaju stalinowska dewocja.

O ile wiem, Mordechaj Chaim Płoskirowski miał szczęście, nikt na niego nie doniósł, nic mu się nie stało. Widywałem go na naszych zajęciach wojskowych aż do końca roku akademickiego i nadal nie przyciągałby mojej uwagi, gdyby nie żydowskie imiona i scena, która nie trwała dłużej niż kilka chwil, ale zapisała się w mojej świadomości. Ona w jakiś sposób zmuszała do myślenia – i zastanawia mnie do dzisiaj. Skłania do refleksji pewien paradoks, który obecnie dostrzegam wyraźniej niż w tamtych latach. Ów młody człowiek niewątpliwie znał z własnego doświadczenia sowiecką Rosję, wszystko na to wskazywało, że poznał jej uroki od środka, nie mógł mieć złudzeń co do mechanizmów działających w stalinowskiej rzeczywistości – i iluzji się nie poddawał, o czym świadczyła tak jednoznaczna ocena wydarzeń, które miały stać się pretekstem do kolejnego wzmożenia terroru. Ale owa wiedza wynikająca z własnego doświadczenia miała również drugą

stronę, nie mógł przecież nie być świadom, że głoszenie sądów niezgodnych z poglądami dyktatorskiej władzy nawet w sprawach bez porównania mniej ważnych narażało na surowe kary, na wieloletnie wyroki, zesłanie do obozu lub nawet na śmierć. Młody Mordechaj Chaim Płoskirowski nie był zachodnim lewicowym intelektualistą, który musiał czekać jeszcze ćwierć wieku na opublikowanie wspaniałego dzieła Aleksandra Sołżenicyna, by się przekonać, że sowiecki terror nie jest sprawą reakcyjnych wymysłów, ale że poddane mu zostały miliony ludzi. Można powiedzieć patetycznie: wybrał nie osadzone na strachu milczenie, ale prawdę. Nie wykluczam zresztą, że na tle tego, czego zaznał w kraju Lenina i Stalina, bierutowska Polska wydawała mu się krajem względnych swobód, w którym, narażając się na niewielkie ryzyko, można nawet w miejscach publicznych mówić to, co się myśli. Nie pomijam też przypuszczenia, że czynnikiem decydującym była młodsza lekkomyślność.

Nie ukrywam, że zdania, jakie padły z ust Mordechaja Chaima Płoskirowskiego, zrobiły na mnie duże wrażenie. Nawet nie sama ich treść, którą tak szczerze i dobitnie sformułował, nie sięgając po eufemizmy i formuły wywodzące się z tradycji mówienia ezopowego, ale to, że ją śmiało i bez ogródek wypowiedział. Zapytałem sam siebie: Czy zdobyłbym się na taką odwagę? Nie miałem trudności ze znalezieniem odpowiedzi, nie chciałem się okłamywać, musiałem przyznać: nie. Działo się tak z różnych względów. Na ogół nie wypowiadałem się na tematy polityczne, uznając, że nie moja to rzecz, nie muszę więc dorzucać swoich trzech groszy. Konformistycznie uznałem, że tak się mówi, nic w tym nie da się zmienić, o buncie nie myślałem, nie chciałem się narażać, uznałem zatem, że najlepiej milczeć. Świadomość jednak miałem rozdartą. Chciałem w to wszystko, co głosiła stalinowska propaganda, uwierzyć, ale jednak uwierzyć nie mogłem, trudno było aprobować i uznać za swoją tę wizję świata, w której buszowało tyle agresji i złych emocji, a przy tym pojawiało się tak wiele absurdów i sprzeczności nie do pogodzenia, wchodzących w konflikt ze zdrowym rozsądkiem. Zaznawałem czegoś, co za Orwellem nazwę po latach dwójmyśleniem. W zasadzie chciałem traktować jak szczerą prawdę tę bliską literaturze grozy opowieść o zbrodniczych lekarzach, ale wydawała mi się tak nieprawdopodobna i w tak wysokim stopniu podporządkowana stalinowskiemu rojeniom o złowrogich spiskach, a przy tym tak konwencjonalna, że trudno było w te wszystkie straszne czyny medyków trucicieli uwierzyć. Postawie

sceptycznej sprzyjało to, co słyszałem na ten temat w domu, w mojej rodzinie – na szczęście – takie propagandowe brednie posłuchu nie miały. Wiadomość o odwołaniu tej okrutnej fabuły i wypuszczeniu lekarzy z więzień przyjąłem – jak większość – z ulgą. Ogłoszona wkrótce po śmierci tyrana, świadczyła o tym, że jednak coś się zmienia. Wyobrażam sobie, że Mordechaj Chaim Płoskirowski przyjął ją ze szczególną radością i satysfakcją. Mógł być dumny, że nie uwierzył w opowieść o kolejnym zbrodniczym spisku, ale także z tej racji, że miał odwagę i nie bał się głośno mówić, co o tym myśli.

Jego postać kojarzy mi się jedynie z tym epizodem. Widywałem go do końca tamtego roku akademickiego, potem zniknął z mojego pola widzenia, choć ćwiczenia wojskowe nadal mieliśmy wspólnie z rusycystami. Nie zapytałem żadnego z nich o to, co się z nim stało, nie wiem zatem, z jakich powodów nie uczestniczył w zajęciach. Może trapiła go ciężka choroba i uznano, że do służby wojskowej się nie nadaje, może nie zaliczył roku i musiał go powtarzać, a może z jakichś przyczyn przerwał studia. Nie sądzę, by już wtedy wyemigrował, Polska pierwszej połowy lat pięćdziesiątych była krajem szczelnie zamkniętym, wyjazdy Żydów nasiliły się dopiero po roku 1956. Jakkolwiek potoczyły się dalsze losy Mordechaja Chaima Płoskirowskiego, w mojej pamięci pozostał jako odważny rówieśnik, który w czasach terroru nie ukrywał tego, co myśli.

Najstarszy

Była nas spora gromada, nie znałem wszystkich, tym bardziej nie potrafiłbym rozpoznać wielu kolegów dzisiaj, po wielu dziesięcioleciach, gdyby dziwnym, a nieprzewidywanym losu zrządzeniem zjawili się w jednym miejscu, żywi bądź martwi, w tej postaci, w jakiej wówczas egzystowali, bądź w postaci dzisiejszej, jako ludzie starzy, pochyleni ku ziemi, drżącym mówiący głosem. Piszę o mężczyznach, obecnie może już pradziadkach, bo myśmy mieli ćwiczenia wojskowe, a więc z natury rzeczy skazani byliśmy na częstsze ze sobą kontakty; z koleżankami rzeczy miałyby się jeszcze gorzej, nazwiska niektórych stanowiły dla mnie pusty dźwięk, niekojarzony z konkretną postacią, nie umiałbym też w pewnych wypadkach połączyć osoby, choć wygląd jej pozostał mi przed oczami, ze stosownym nazwiskiem. Jego zaś zidentyfikowałbym od razu – niezależnie od tego w jakim wcieleniu by się zjawił, choć nigdy nie miałem z nim bliższych relacji – był pod każdym względem charakterystyczny, wyróżniał się ze studenckiej masy początku lat pięćdziesiątych, szarej i zglajchsztowanej, spętanej wszystkim: obowiązującą, siłą narzuconą ideologią, biedą, obyczajowym rygoryzmem, zakłamaniem łatwo dostrzegalnym u wszystkich, także u tych, którzy żywili uczucia nasycone entuzjazmem dla nowego porządku, mieniającego się ludowym i demokratycznym.

Wyróżniał się tym przede wszystkim, że był od nas starszy, mocno starszy. Nie potrafię wyliczyć o ile, przypuszczam, że nawet o kilkanaście lat. Na tym roku było kilka osób przekraczających studencką średnią wieku, dla nich my, którzy kilka lat po wojnie normalnie uzyskaliśmy matury, byliśmy zapewne szczeniakami, jakich nie sposób traktować poważnie. Pamiętam panią Emmę, sympatyczną Węgierkę rzuconą przez los w nadwiślańskie strony, która właśnie tutaj, w Warszawie, postanowiła dokończyć rozpoczęte dawniej studia. Jak zza mgły lat i zapomnienia wyłaniają się dwaj panowie, którzy przychodzili na zajęcia tylko wtedy, gdy było to bezwzględnie konieczne, zapewne mieli jakieś oficjalne zwolnienia, pozwalające obchodzić sztywne reguły tak zwanej dyscypliny studiów, obydwaj też nie podlegali ćwiczeniom wojskowym, serwowanym co dwa tygodnie w dawkach dwunastogodzinnych. Obaj byli już wówczas ojcami rodzin, pracowali jako urzędnicy w poważnych instytucjach, prawdopodobnie zdecydowali się na podjęcie studiów, bo magisterskiego dyplomu wymagała ich biurowa kariera. Czy stali się jego posiadaczami, nie wiem, myślę, że nie. W każdym razie szybko zniknęli mi z oczu. Zresztą nigdy bliższych kontaktów ze swymi niby-kolegami nie

nawiazywali. I w życiu studenckiej wspólnoty nie uczestniczyli. Jeden z nich był podobno gorliwym działaczem partyjnym, swój ideologiczny zelotyzm przejawiał jednak w innym środowisku.

Franek, bo tak będziemy go w tej opowieści nazywać, to była całkiem inna historia. Nie pracował na urzędniczej (ani żadnej innej) posadzie, żył z mizernego stypendium, nie musiał odbębnić studiów tylko dlatego, że ich ukończenie było wymagane w związku z zajmowanym stanowiskiem. Chciał być studentem – i nim został niejako w pełnym wymiarze, ze wszystkimi przywilejami i obciążeniami. Można powiedzieć, że będąc już w wieku zbliżonym do średniego, odzyskał młodość, wstąpił w nią raz jeszcze. Myślę, że z powodu tej niezwyklej przygody był człowiekiem szczęśliwym. Nie szukał dla niej literackich wzorców, *Ferdydurke* niewątpliwie nie czytał, bo wówczas nie wchodziła w obręb lektur obowiązkowych, a jeśli Gombrowicza przywoływano, to jako przykład zwyrodniałej literatury burżuazyjnej. Wydaje mi się zresztą, że o nim w ogóle nie słyszał, przynajmniej wówczas. Niepotrzebne mu były żadne odwołania czy porównania, nie żywił w tej materii wątpliwości, wiedział, że to, iż przemienił się z wieśniaka, którego przeznaczeniem być miało – jak się wydawało – chodzenie za pługiem i doglądanie żywego inwentarza, w studenta, zawdzięcza władzy ludowej. Był jej wdzięczny, to wątpliwości nie ulega. Miał już za sobą spore doświadczenie, w czasie okupacji walczył w Batalionach Chłopskich w swoich rodzinnych stronach; nie umiem powiedzieć, jak nazywa się wieś, w której na świat przyszedł, wyrósł i się wychował, jednego jestem pewien – leży w południowo-wschodnich rejonach dzisiejszej Polski. Takie przestrzenne usytuowanie było słyszalne w jego wymowie, aczkolwiek nie posługiwał się śpiewną polszczyzną kresową; było w jego wysłowieniu coś osobliwego, co dla tych, którzy pochodzili z mazowieckiej równiny, brzmiało nieco dziwnie, a zdarzało się, że wręcz egzotycznie. To też go wyróżniało spośród studenckiego grona. Podobnie jak wygląd. Prezentował się staro, zapewne niejeden z tych, którzy z nim się stykali, gotów byłby mu przypisać więcej lat, niż miał w rzeczywistości. Zwracało uwagę, że jego twarz poryta jest zmarszczkami, można nawet mówić o głęboko wrzynających się bruzdach. To, że postarzał się tak wcześnie, w tempie znacznie przyspieszonym, sprawiało, że potem prawie się nie zmieniał. Kiedy w następnych latach czy dziesięcioleciach go spotykałem, nader rzadko zresztą, doznawałem wrażenia, że jego czas stanął w miejscu, zatrzymał się

tak, iż on na zawsze pozostał owym wprowadzie podstarzałym, ale jednak studentem, czyli niejako z definicji kimś młodym lub przynajmniej względnie młodym. Wtedy z jego wyglądu wnioskować można było, że jest człowiekiem niosącym bagaż ciężkich doświadczeń, po przejściach, które wyłobiły na nim swoje ślady, bolesnych, stygmatyzujących na całe życie. Jakie one konkretnie były, nie wiem, nie mam żadnych danych, by o nich pisać, Franek niewiele mówił o przeszłości, zwłaszcza w rozmowach z takimi jak ja kolegami, nienależącymi do jego przyjaciół; może ujawniał swoje tajemnice kumplom z domu akademickiego.

W mojej pamięci utrwalił się jako niezwykle przykładny student, niechcący uronić żadnej okruszyny z tego, co nam przekazywano; chłonał wiedzę z entuzjazmem i fascynacją, niezależnie od tego, jaki był to przedmiot, chyba nawet studium wojskowe, przez większość traktowane jako żmudna pańszczyzna, cieszyło się jego łaskami, bo przecież też należało do uniwersyteckiego programu, a więc nie przystoi nim gardzić. Był dumny z kondycji studenta. Nie jestem pewien, wydaje mi się jednak, że nie fantazjuję, ale na pierwszym roku będąc, nosił studencką czapkę z grubego sukna, białą, z daszkiem, bo taka właśnie była oznaką Uniwersytetu Warszawskiego, choć mało kto wówczas to czynił (już dawno temu uczelniane czapki wyszły z użycia, zostały doszczętnie zapomniane). Pewien jestem czego innego: na wykładach siadał z reguły w pierwszym rzędzie i skrupulatnie sporządzał notatki; wszystko, co dochodziło z katedry, stanowiło dla niego nowość, wszystko warte było zapamiętania.

Mimo że starszy, Franek należał do Związku Młodzieży Polskiej, ale też, jak większość tych, którzy przebyli podobną drogę edukacji, był członkiem PZPR. Nie wiem, w jakim czasie i w jakich okolicznościach do niej wstąpił, przypuszczam, że kiedy na uniwersytecie go immatrykulowano, od dawna był posiadaczem czerwonej legitymacji, przede wszystkim bowiem partyjnych na tak zwane studia przygotowawcze kierowano, nowa, wierna socjalizmowi inteligencja miała być posłuszna i dobrze ideologicznie wyposażona. Nie wiem, co zaważyło na tym, że zdecydował się na tego rodzaju krok, a nawet stał się ideowym komunistą, być może uwierzył, iż ustrój demokracji ludowej gwarantuje świetlaną przyszłość i do niej w prosty sposób prowadzi, być może uznał, że wstępując w jedynie słuszne szeregi, zapewni sobie lepsze życie, porzuci wiejską egzystencję, która go nie satysfakcjonowała, zasadniczo zmieni życie; może po prostu chciał się uczyć i – niewątpliwie zasadnie –

uznał, że bez takiego posunięcia nie będzie mu dane urzeczywistnienie tego gorącego pragnienia. Nie wiem, jak się zachowywał, gdy znajdował się wśród swych partyjnych towarzyszy, co mówił, gdy zabierał głos na partyjnych zebraniach, jednego jestem pewien: w przeciwieństwie do wielu z nich nie był fanatykiem, któremu totalitarna ideologia rzuciła się na mózg, ale nie był też cynikiem. Warto byłoby się zresztą zastanowić, czy osoba w sposób spontaniczny, niemal bezrefleksyjny przyjmująca postawę dobrego ucznia, bezgranicznie wierząca swym preceptorom, a więc będąca swego rodzaju prostaczkiem, może stać się bezwzględny fanatykiem, wydaje mi się, że nie, choć nie tyle za sprawą krytycznego podejścia do świata, ile naiwności; z podobnych powodów trudno byłoby jej stać się cynikiem. Wsłuchiwał się w słowa wykładowców, uważał ich bez wyjątku za wybitnych uczonych, niosących kaganek oświaty, można chyba założyć, że jednak bez tak zaawansowanej gorliwości przyjmował pouczenia swych politycznych szefów, towarzyszy, przyjaciół. Jedno jest pewne, nie było w nim agresji, w przeciwieństwie do nich nie wyruszał na ideologiczne boje, nie zabiegał o niszczenie tych, których wskazywano jako wrogów ludu pracującego miast i wsi, klasy robotniczej, socjalizmu, no i oczywiście Polski. Gdy wybuchały jakieś konflikty, nigdy ich nie podsycił, odwrotnie, próbował łagodzić. I często brał w obronę kolegów potępianych za czyny niemieszczące się w stalinowskim kodeksie lub – najczęściej – z powodu ideologicznych odchyień, o które trudno nie było, bo to system wyjątkowo sztywny i restrykcyjny. Nie mam pewności, czy PZPR-owscy i ZMP-owscy aktywiści brali całkiem poważnie to, co mówił i robił, liczyli się jednak z jego opiniami. Tego wiejskiego prostaczka nie mogli całkiem lekceważyć – nawet wtedy, gdy bronił tych studentów, w których oni widzieli wrogów, co to przeniknęli na socjalistyczną uczelnię, by knuć, psuć, a nawet spiskować.

Franek uczył się przykładnie, egzaminy zdawał w wyznaczonym terminie, nie zabiegał o ich przełożenie. Magisterium postanowił pisać z językoznawstwa. Trafił na seminarium Profesora. O tym wybitnym uczonym tak właśnie mówili jego współpracownicy, uczniowie, entuzjaści. Choć na wydziale było kilka czy może nawet kilkanaście osób, którym tytuł ten przysługiwał, Profesor był tylko jeden, każdy wiedział, o kogo chodzi, dodawanie nazwiska mogło być odczytywane jako swego rodzaju redundancja. Profesor zdobył świetną naukową pozycję w okresie międzywojennym, w młodym wieku, a wielką popularność, wykraczającą

znacznie poza środowisko akademickie, zyskał dzięki nadawanym w radiu w odstępach tygodniowych pogadankom poświęconym poprawności językowej. Wygłaszał je w sposób charakterystyczny, jakby z lekką zadyszka, nie można było nie rozpoznać jego wysokiego głosu, podobnie zresztą nim operował także podczas wykładów. Odznaczał się przy tym znakomitą prezencją, chciałoby się powiedzieć: królewską – dostojny, wielki, miał potężną posturę, również pod tym względem górował nad wszystkimi. Królewską niemal dosłownie, łatwo bowiem było wyobrazić go sobie w koronie, trzymającego w ręku berło; przedstawiałby się tak, jakby zszedł z historycznego obrazu.

Franek stał się wielkim, gorącym wręcz admiratorem Profesora, z lekką tylko przesadą można by powiedzieć, że jego wyznawcą, bo był on dla niego kimś w rodzaju jeśli nawet nie Boga, to ideału, najwyższego autorytetu, w istocie przekraczającego normalną ludzką miarę. Przemienił się w przedmiot kultu. Skromny student, a potem pracownik, przybysz z odległej, zabitej deskami wsi, był szczęśliwy, że los pozwolił mu się znaleźć na orbicie osoby tak niezwyklej i wspaniałej. Zawdzięczał mu niezmiernie dużo – także w wymiarze praktycznym. Dzięki Profesorowi zatrudniony został w jakiejś placówce zajmującej się problemami językowymi. Nie powołano go na asystenta, do którego obowiązków należało prowadzenie ćwiczeń z gramatyki opisowej bądź historycznej, nie został doktorantem, który musiałby przedłożyć w mniej lub bardziej odległym terminie liczącą kilkaset stron rozprawę. Zapewne jego zadaniem stało się zbieranie i porządkowanie jakichś materiałów, sporządzanie i układanie fiszek według precyzyjnie sformułowanych wskazań, należał zatem do tej grupy pracowników, których w biurokratycznych klasyfikacjach określano mianem dokumentalistów. Byli tacy, co utrzymywali, że zatrudniono go w Warszawie tylko dlatego, iż w sposób charakterystyczny dla okolic, z jakich pochodził, wymawiał pewne głoski, a więc dialektolodzy, którzy przedmiot swych dociekań mogli analizować na miejscu, nie musieli wyprawiać się w teren, wyruszać do wiosek leżących na południowo-wschodnich krańcach kraju. Był to chyba jednak tylko złośliwy żart.

Jak już wspominałem, w czasie studiów nie miałem z Frankiem bliższych kontaktów, w latach późniejszych widywałem go rzadko, od przypadku do przypadku. Utkwiło mi w pamięci spotkanie w zatłoczonym autobusie kilka tygodni po śmierci Profesora (odszedł w roku 1976). Zapytałem Franka, kto

teraz jest jego szefem i w ogóle kto przejął różne funkcje po zmarłym uczonym. Usłyszałem nazwisko i niejako na tym samym oddechu dodany komentarz: ale to już nie to, Profesor to był pan! Druga część tego zdania, wypowiedziana tonem pełnym uwielbienia i podziwu, zrobiła na mnie wrażenie, wydała mi się czymś tak niezwykłym, że nie tylko utkwiała w mej pamięci, ale do dzisiaj mam ją w uszach. Pomyślałem, że ktoś o innym zapleczu kulturowym nigdy takiego zdania by nie sformułował, powiedziałby: to był człowiek, to był uczony, to była indywidualność, to była osobowość, możliwości nie brakuje. Ostatecznie mógłby sięgnąć po słowo archaiczne, wyrażające podziw, ale nie bez dystansu: to było panisko! W krótkim zdaniu „To był pan!”, usłyszałem pogłos wielowiekowej historii pańszczyźnianych chłopów. Franek, już wykształcony i miastowy, nie mógł się od ciężenia tej tradycji wyzwolić, była od niego silniejsza.

Potem znikł mi z oczu, przyznam, że na długie lata zapomniałem o jego istnieniu. Niedawno dowiedziałem się od jednej z koleżanek, że po przejściu na emeryturę osiadł wraz z żoną w jednym z podwarszawskich miasteczek (w czasie studiów żonaty jeszcze nie był), zmarł przed kilku laty w wieku podeszłym. Czytam codziennie w „Gazecie Wyborczej” dział nekrologów, na doniesienie o jego śmierci nie natrafiłem. Zapewne go nie było, rodzina uznała, że to zbyt ciche, a w instytucji, w której przez lata pracował, nie pamiętano o skromnym, cichym człowieku, który status emeryta osiągnął w zamierzchłej epoce. Nastąpiło nowe pokolenie, niekultywujące wspomnień o postaciach, które niczym specjalnym się nie zapisały. Trudno mieć o to pretensję, tak już bywa na tym naszym świecie, wspaniałym i najpiękniejszym. Zapominanie kładzie się na nim nieustannie cieniem.

Helmut

(Z opowieści Dawida W.)

Znam obydwój państwa W. od dawna, od momentu, w którym – bodaj po raz pierwszy po wojnie – zawitali w połowie lat sześćdziesiątych do Warszawy. Najpierw poznałem panią Magdalenę (używała angielskiej wersji swojego imienia). Wkrótce po przyjeździe skontaktowała się ze mną, usłyszała bowiem od kogoś, że zajmuję się współczesną literaturą polską i mogę udzielić informacji przydatnych w pracy dziennikarskiej. Nie miałem wątpliwości, że zna polski, skoro postanowiła pisać w prasie amerykańskiej o naszej poezji i prozie, ale też – teatrze. Nie żywiłem obaw, że się nie dogadam, mój marny angielski pozwalał mi wprawdzie czytać nawet skomplikowane książki z dziedziny, którą się zajmuję, ale nie sprawdzał się w konwersacji; brakowało mi umiejętności, pewności siebie i doświadczenia. Niczego o pani Magdalenie nie wiedziałem. Jej nazwisko brzmiało typowo po amerykańsku, mógłby je nosić każdy z rodu tych, do których przylegają rytualne przymiotniki: *white, anglo-saxon*, protestant, początkowo sądziłem zatem, że to Amerykanka od wielu pokoleń, z dziwnych powodów zaciekawiona literaturą i językami narodów słowiańskich – i nie ograniczyła swych zawodowych planów do kultury rosyjskiej, jak to zwykli czynić nie tylko sławiści wywodzący się z tamtych rejonów świata, ale także dziennikarze. Wkrótce, po pierwszych zdaniach, jakie wymieniliśmy, miałem się przekonać, że moje domysły nie zmierzały we właściwym kierunku, pani Magdalena pochodzi bowiem stąd, z Polski, z okolic znajdujących się około stu kilometrów od stolicy, z północnego Mazowsza, które z sentymentem wspomina jako przestrzeń beztroskiego przedwojennego dzieciństwa. Typowo anglojęzyczne nazwisko okazało się poszlaką mylącą.

Ale – pomyślałem – mąż jest z pewnością niekwestionowanym Amerykaninem z dziada pradziada. Dlatego właśnie opierałem się długo i konsekwentnie, gdy nalegała, bym się spotkał w kawiarni z nimi obojgiem. Obawiałem się kłopotów językowych – nawet mimo tego, że wiedziałem, iż pani Magdalena mogłaby się podjąć zapewne niezbyt trudnej roli tłumacza. Opór mój był dla niej bez wątpienia niezrozumiały, a gdy po kolejnym ponowieniu propozycji powiedziałem, o co naprawdę chodzi, wybuchnęła śmiechem. Jej mąż jest wprawdzie *white*, ale ani *anglo-saxon*, ani protestant, pochodzi z jednego ze średniej wielkości miast galicyjskich i oczywiście doskonale zna polski, który był jego pierwszym językiem. Nazwisko zmienili wkrótce po przybyciu do Stanów Zjednoczonych. Nie trzeba mi było tłumaczyć motywów takiej decyzji: po strasznych doświadczeniach z lat Zagłady nie chcieli niczym się wyróżniać, zapragnęli być tacy jak wszyscy.

O pani Magdalenie z początku wiedziałem niewiele ponad to, że pochodziła z Polski, w czasie okupacji została wywieziona do Niemiec na roboty, po wojnie do kraju nie wróciła i kilka lat po jej zakończeniu osiadła wraz ze świeżo poślubionym mężem w Ameryce. Ale kiedy go ujrzałem, wątpliwości się nie pojawiły, jest małym gettowym Żydem, pochodzenie miał wypisane na twarzy. Okupację przeżył cudem, z całej dość licznej rodziny, od pokoleń zasiedziałej w owym galicyjskim mieście, tylko jemu udało się ocaleć. Z tamtejszego getta trafił do Auschwitz; podczas selekcji uznano, że nadaje się do pracy – i nie skierowano go do komory gazowej. Miał wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat; maturę zdażył zdać przed wojną i w roku akademickim 1938–1939 rozpoczął studia na jednym z wydziałów warszawskiej politechniki. Bieg wypadków sprawił, że po roku zaledwie musiał je przerwać, wyniósł z nich jednak urazy głębokie, pamiętał dobrze ekscesy żyletkarzy, był ich ofiarą. Szybko spostrzegłem, że nie zatarły się one w pamięci, nie ulotniły z jego świadomości, mimo że doświadczenia późniejsze – z getta i z obozu koncentracyjnego – były o wiele gorsze. Na uczelni prześladowcami byli współobywatele, ci, którzy w istocie powinni stać się kolegami, za okupacji w roli tej wystąpili najeźdźcy, a to ogromna różnica.

Dawid W., tak zresztą jak pani Magdalena, jest osobą rozmowną, lubiącą opowiadać, nie dziwiłem się przeto, gdy spostrzegłem, że przynajmniej niekiedy ze sobą konkurują, bo oboje chcą daną historię zrelacjonować, walczą zatem o pierwszeństwo, co nie jest zjawiskiem rzadkim nawet pośród

małżeństw udanych i harmonijnych, mających za sobą wiele lat wspólnego bytowania. Szybko się zorientowałem, że szerokim łukiem obchodzą swoje przypadki okupacyjne, nie chcą o nich mówić, choć przy różnych okazjach, jak ukryty tekst w palimpseście, przebijają się one na powierzchnię. Najchętniej przedstawiali mi w czasie kolejnych spotkań bieżące wydarzenia polityczne w Stanach Zjednoczonych, nie szczędząc ocen i komentarzy, w tej materii mieli bowiem zdanie wyrobione, jak na warunki amerykańskie byli lewicowi, sympatyzowali z najbardziej liberalnym skrzydłem Partii Demokratycznej, o aferze Watergate mówili w takim tonie, jakby była zbrodnią przeciw ludzkości. Żyłem w państwie opresyjnym, w którym wszystko niemal opierało się na nieprawości i z niej wynikało, niezbyt mnie więc poruszały utrzymane na wysokim poziomie emocjonalności opowiadania o amerykańskich naruszeniach porządku demokratycznego. A niezmiernie szczegółowe opowieści o intrygach i konfliktach w redakcji, w której pracowała pani Magdalena, po prostu mnie nudziły. Dla nich obydwojga były to ważne sprawy, ja zaś nie znałem nikogo z protagonistów tych z niechęcią i z dezaprobatą przedstawianych poczynań, opisy postaci i ich marnych charakterów były dla mnie czystą abstrakcją, w konsekwencji z wielkim trudem zwalczałem naturalny w takich sytuacjach odruch: skłonność do ziewania. Nazwisk nawet nie starałem się zapamiętać, od początku były dla mnie pustymi dźwiękami.

W istocie drażniło mnie, że i Dawid W., i jego żona, choć doświadczyli w swoim życiu tylu okropieństw, z tak emocjonalnym zaangażowaniem opowiadają mi o błahostkach niemających żadnych danych, by mnie zainteresować; może zresztą w ten właśnie sposób bronili się przed wspomnianiem tego, co dla nich ważne i bolesne, utwierdzali w tym, co zwykle, codzienne, nieznaczące, może dla celów nieustającej terapii psychicznej rozwodzili się o konfliktach, w których stawką nie jest ludzkie życie. W czasie jednego ze spotkań Dawid W. opowiedział mi historię, która wprawdzie w głównej części działa się już po wojnie, ale była następstwem tego, co stało się w czasach nazizmu.

W Auschwitz Dawid W. zaprzyjaźnił się z pewnym Niemcem, swoim rówieśnikiem, o imieniu Helmut. Trzymali się razem, pomagali sobie. Helmut trafił do obozu koncentracyjnego nie za działalność polityczną, nią bowiem się nie zajmował, nie z tego powodu, że miał domieszkę nieczystej semickiej krwi; rosły blondyn o niebieskich oczach był rasowo nieposzlakowany

i żadnego niedobrego przodka w jego genealogii nie można byłoby się doszukać nawet przy najlepszych chęciach. Trafił z tej racji, że był homoseksualistą, a tę ludzką kondycję w hitlerowskich Niemczech uważano za zbrodnię i surowo karano tych, których egzystencję ona określała i wyznaczała. Nie wiem, w jaki sposób jego seksualne ukierunkowanie zostało zdemaskowane, faktem pozostaje, że wylądował w tym strasznym miejscu. Dawid W. wspominał go jako człowieka wielkiej przyzwoitości, zachowującego się wzorowo w sytuacjach krańcowych, wspominał tak, jak się przywołuje z przeszłości osobę bliską. Czy łączyło ich coś więcej niż przyjaźń w najgorszej niedoli? Tego, oczywiście, nie wiem, nie jest to zresztą ważne dla tej historii. Znam Dawida W. od wielu lat, spotykałem go w czasie jego pobytów w Warszawie, a w pewnych okresach, gdy panią Magdalенę do odwiedzania Polski skłaniały względy zawodowe, zdarzało się to dość często.

Ważne jest, że Dawid W. (jeszcze wtedy zresztą nie W., jego rodowe nazwisko zaczynało się od innej litery) i Helmut byli przyjaciółmi, co niewątpliwie w jakiejś, choćby niewielkiej mierze zwiększało szansę przeżycia. Przynękli sobie, że jeśli jeden z nich zginie, ten, któremu dane będzie ocaleć, odszuka rodzinę drugiego, powiadomi o jego śmierci i jej okolicznościach. Wbrew temu, czego można było się spodziewać, przetrwał o wiele bardziej zagrożony Żyd Dawid, zatracie uległ Helmut, homoseksualista rodem z Westfalii. Gdyby było odwrotnie, ów porządny Niemiec nie miałby kogo szukać, skoro cała rodzina Dawida została wymordowana, nie przeżył nawet nikt spośród dalszych krewnych. Helmut zginął krótko przed końcem wojny, kiedy obóz w Auschwitz był likwidowany, a jego więźniowie – pędzeni na Zachód w strasznych marszach śmierci. Zginął z wycieńczenia i od zakaźnej choroby. Dawid W. pamiętał o swoim zobowiązaniu i chciał się z niego wywiązać, gdy tylko będzie to możliwe.

Nie było natychmiast po wyzwoleniu, Dawid W. był bowiem w marnej kondycji, na progu śmierci, najpierw więc musiał zadbać o to, by doprowadzić się do stanu, który umożliwiałby mu dalszą egzystencję. Znalazł się w amerykańskiej strefie okupacyjnej, zadbano o niego, poddano wielomiesięcznej kuracji, w trakcie której stopniowo powracał do siebie, nadal wprawdzie okropnie wyniszczony, ale wciąż jeszcze młody (gdy wojna się kończyła, miał dwadzieścia siedem lat). Stał przed zasadniczymi decyzjami, musiał postanowić, co z sobą zrobić, jak pokierować swoim

życiem. Do kraju wracać nie chciał, bo wiedział, że bliscy zostali wymordowani, a znalezienie się w rosyjskiej sferze wpływów, pod nadciągającą komunistyczną dyktaturą, nie było dla niego perspektywą kuszącą. Z konieczności zajęty swoimi sprawami (kontynuował w Niemczech politechniczne studia), nie zapomniał jednak o tym, co obiecał Helmutowi. Próbował skontaktować się z jego matką.

Szybko miał się przekonać, że nie należało to do zadań łatwych. Helmut pochodził z niewielkiego miasteczka, leżącego w rejonie przemysłowym, który w ostatnim okresie wojny był przedmiotem intensywnych alianckich bombardowań. I ono także nie zostało oszczędzone, zniszczenia były pokaźne, w konsekwencji część mieszkańców przeniosła się w inne miejsca. Należała do nich również matka Helmuta. Nikt z tych, co pozostali, nie potrafił wskazać, gdzie się udała, zapewne osiadła gdzieś w okolicy, ale nie było to pewne, nikogo nie poinformowała o swych życiowych planach. W jakimś momencie Dawid W. dowiedział się o nowych komplikacjach: ta jeszcze niestara kobieta wyszła po raz kolejny za mąż, przyjęła mężowskie nazwisko, ale jak ono brzmiało, tego nie wiedziała żadna z osób, z którymi się kontaktował. Wydawało mu się, że jego starania, by ją odnaleźć, równały się szukaniu wiatru w polu. Ale nie zrezygnował. I dopiął swego.

Jak to się konkretnie stało, nie wiem, bo Dawid W. opuścił tę część historii, uważając ją zapewne za mniej ważną, dokładnie zaś i ze szczegółami opowiedział o spotkaniu z matką Helmuta. Natychmiast, od pierwszego zetknięcia, zorientował się, że jest przyjmowany z niechęcią lub nawet wrogością, której nie potrafiła ukryć, a właściwie nawet się nie starała. Pierwsza myśl, jaka mu się nasunęła, tuż po wojnie wydawać się musiała oczywista: Niemka dojrzała w nim Żyda i – do gruntu zindoktrynowana w czasach hitleryzmu – potraktowała go nie tylko jako kogoś przychodzącego z nienawistnego świata, ale po prostu jako wroga. To też zapewne miało swoje znaczenie, chodziło jednak o co innego.

Dawid W. sądził, że – zgodnie z naturalną kolejną rzeczy – przychodzi do tej kobiety z wiadomością, na jaką czekała; był pewien, że nawet jeżeli wieści o tym, co się stało z synem, dotarły do niej wcześniej, zareaguje wybuchem rozpacz, da się ponieść lamentom – i gdy choć trochę się uspokoi, zacznie wypytывать o szczegóły. Rzeczy jednak potoczyły się inaczej, wbrew wszelkim spodziewaniom. Najpierw kobieta usiłowała zachować spokój, demonstrowała obojętność tak, jakby straszna opowieść, z którą przyszedł

nieznajomy, nie dotyczyła kogoś, kto musiał przecież ją interesować. Nie trwało to długo, po chwili wybuchła, nie bólem jednak czy rozpaczą, ale – w sposób urągający wszelkim regułom ludzkiego zachowania – wielką, niedającą się opanować radością, przechodzącą w histeryczny śmiech. Niespodziewanie zaczęła biegać po pokoju, wymachując rękami i wykrzykując poszczególne słowa, czy wręcz monosylaby: Tak, tak... dobrze, świetnie, nareszcie, chwała Bogu...! Nieświadomy rzeczy obserwator mógłby się domyślać, że widzi reakcję kogoś, kto niespodziewanie wygrał na loterii i nagle, za sprawą dziwnego zrządzenia losu, stał się milionerem.

Dawid W. na początku nie wiedział, o co chodzi, zastanawiał się, czy to on oszalał i ma przywidzenia, czy też jego rozmówczyni postradała zmysły pod wrażeniem tego, co usłyszała o losie Helmuta. I natychmiast się przekonał, że jeśli wdało się tu szaleństwo, to w całkiem innym sensie. Gdy kobieta powróciła do względnej równowagi, wyjawiała, z jakich powodów cieszy się ze śmierci syna. Helmut – powiedziała to dobitnie, cedząc słowa tak, by podkreślić, że każde z nich ma wagę szczególną – był obrzydliwym pedałem, zbrojeńcem, a zbrojeńcy są niegodni tego, by chodzić po naszej wspaniałej niemieckiej ziemi. Nieustannie kompromitował rodzinę, przynosił nam wstyd, cieszę się, że tego już nie będzie robił. Führer miał świętą rację, że z takimi jak on chciał zrobić porządek, jestem mu za to wdzięczna. Kobieta wypowiadała te słowa tak, jakby ich nie sprowokowała śmierć jej własnego syna.

Zaskoczony tak niezwykle biegiem wypadków Dawid W. szybko się zorientował, że nie ma powodu, by dokładniej opowiadać o tym, co się działo z Helmutem w ostatniej fazie jego życia – że w strasznych warunkach obozu koncentracyjnego zachowywał się przyzwoicie i starał się pomagać współtowarzyszom – nie ma powodu mówić o tym, na co chorował i jak umierał. Po takiej eksplozji nienawiści przedstawianie jakichkolwiek szczegółów byłoby pozbawione sensu, nie wiadomo zresztą, czy kobieta w ogóle chciałaby słuchać. Dawid W. czym prędzej opuścił miejsce, które wydało mu się straszne, zainfekowane skondensowaną nienawiścią.

Po latach powiedział mi, że zetknięcie się z tą kreaturą wywarło na nim wielkie wrażenie. Nie tylko ze względu na pamięć o przyjacielu, z którym los związał go w czasie najgorszym. Także z tej racji, że mu uświadomiło, jak wielkie spustoszenia poczynił hitleryzm w ludzkiej psychice, jak głęboko określił zachowania, skoro sprawił, że matka mogła w ten sposób zareagować

na wiadomość o śmierci syna. Przedtem wydawało mu się, że dzikość hitleryzmu wpływała przede wszystkim na stosunek Niemców do Żydów, ale po tym incydencie przekonał się, że zjawisko miało zasięg szerszy. Choć z reguły oszczędny w słowach i powściągliwy w ocenach, zakończył swoją opowieść w sposób ostry i dobitny:

– Żyję długo, spotykałem rozmaitych ludzi w miejscach, gdzie rzucał mnie los, ale taką sukę widziałem tylko raz. Mam nadzieję, że już nigdy na nikogo takiego się nie natknę.

Rysunek

Nie przypuszczałem, że zetknę się z nim bezpośrednio właśnie wtedy, w okolicznościach nieprzyjemnych i niesprzyjających, nie przypuszczałem też, więcej, stało się to dla mnie sporym zaskoczeniem, że inicjatywa wyjdzie od niego. Byłem przekonany, że w ogóle nie zauważa mojego istnienia, traktuje mnie jak anonimowego osobnika, nieciekawego i niczym się niewyróżniającego, takiego, na którego zwracać uwagi nie warto, bo z pewnością nie ma żadnych danych, by stał się dobrym kolegą, ponurego i dziwnego. A ja już wówczas wiedziałem, co mnie wyróżnia, byłem swą kondycją przerażony i cały wysiłek inwestowałem w to, by nikt się o niej nie dowiedział, by mnie nie przeniknął i nie zdemaskował; wstydziłem się siebie. Byłem niemal pewien, że całe swe życie przebiegnę w skrajnej samotności i nigdy nie zaznam tych rozkoszy, o których tyle gadają moi koledzy (w większości przypadków też nie mieli jeszcze doświadczeń, ale mieli niekwestionowaną pewność, że one ich nie ominą). Zawsze znerwicowany i spięty, przyglądałem się jednak ładnym chłopcom, niejako samo oko ku nim się kierowało – i starałem się to robić tak, by nie dostrzeżono, że moje spojrzenie ma osobliwy charakter i nie różni się od tego, jak oni patrzą na dziewczyny; nie wlepiąłem więc wzroku, a jeśli zorientowałem się, że spojrzałem w specyficzny sposób, natychmiast tę swoją kamerę kierowałem na inny punkt, z reguły obojętny – i zachowywałem się tak, jakby nic się nie stało, jakby chodziło o coś ze swej istoty nieważnego i przypadkowego. Nie wiem, czy to moje zafascynowane patrzenie, które starałem się maskować, zostało przez kogokolwiek dostrzeżone, miałem nadzieję, że tak się nie stało, choć żadnej pewności. W każdym razie nikt mnie nie wyśmiał, nikt mi niczego nie powiedział. Nie dlatego – jestem o tym przekonany – że z nikim z rówieśników nie byłem w takim stopniu blisko, by mógł mi mówić o tego rodzaju rzeczach. W uczniowskim świecie subtelności i skrupuły nie mają racji bytu, a już zwłaszcza, gdy idzie o dokuczenie koledze, który z jakiegoś względu nie odpowiada normie czy wyróżnia się innością.

Swój wzrok kierowałem ku niemu, gdy tylko nadarzała się okazja, mimo że nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, a ja byłem tak speszony i onieśmielony, że patrzyłem ukradkiem, niewykłuczone, iż sądziłem, że samo spoglądanie ku niemu jest jeśli nie czymś grzesznym czy zdrożnym, to przynajmniej nagannym. Chodził klasę niżej, nie sądzę wszakże, iżby młodszy był ode mnie choć trochę, bo to mnie z racji dziwnych przypadków i zbiegów okoliczności udało się wyprzedzić kolegów, niemal z reguły byłem

najmłodszy, choć jeśli się zważy, jak układały się moje losy, powinno być akurat odwrotnie. Dostrzegłem go od razu, gdy tylko w szkole się pojawił. Ciemny blondyn o dużych oczach, wyróżniał się urodą; rysy miał regularne i interesujące, był rostry, zgrabny i kształtny, a do tego wysportowany; nie mógłbym zaprzeczyć, że to właśnie jego wizerunek ukształtował moje ideały erotyczne. Niewiele o nim wiedziałem, byłem jednak świadom, że nazywa się Karol Bross. Koledzy wołali go po imieniu, ale też posługiwali się przezwiskiem: „specjalność – serce”. Wydawało mi się ono bezsensowne, dziwiło, zanim doszło do moich uszu, skąd się wzięło. Otóż Karol głosił wszem wobec, że po maturze będzie studiował medycynę, chce zostać lekarzem, a jego domeną stanie się leczenie serca (określał swoją zawodową przyszłość zawsze za pomocą formuły: „lekarz, specjalność – serce”). W dzisiejszych czasach powiedziałaby zapewne, że pragnie być w dojrzałym życiu kardiologiem, ale wówczas słowo to jeszcze się nie spopularyzowało, w ustach ucznia brzmiałoby obco lub wręcz egzotycznie. Powtarzał zatem: specjalność – serce.

Nie było tajemnicą, dlaczego w projektach czy marzeniach takiego właśnie dokonał wyboru: jego ojciec był ciężko chory na serce. Znałem go – jak wszyscy bodaj uczniowie – z widzenia; państwo Brossowie bowiem angażowali się w prace szkoły, często do niej przychodzili, stanowili podpórę komitetu rodzicielskiego. Nie wiem, co ich do tego skłaniało, może sądzili, że tak jest lepiej dla ich ukochanego jedynaka, może czuli potrzebę społecznego działania i tu właśnie znaleźli właściwe pole jej realizacji, a dysponowali przy tym odpowiednią dawką wolnego czasu. Wyraźnie różnili się od reszty rodziców, którzy przychodzili do szkoły wyłącznie na wywiadówki lub gdy zostali specjalnie wezwani. Z perspektywy kilkunastoletków wszyscy dorośli są na ogół postrzegani jako starzy, gdy się jednak patrzyło na rodziców Karola, nie można było nie dostrzec, że różnica wieku jest kolosalna. Ojciec, wysoki mężczyzna, zniszczony i przygarbiony (gdy się było blisko, stwierdzenie, że oddycha z trudem, nasuwało się samo), należał niewątpliwie do pokolenia dziadków, a matka sprawiała wrażenie osoby wyjątkowo młodej; przystojna i elegancka blondynka lepiej się prezentowała niż większość naszych matek. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że pan Bross przed wojną był zawodowym oficerem, w przywoływanych czasach od lat już na emeryturze. I pomagał żonie, właścicielce sklepu z artykułami żelaznymi, mieszczącego się w centralnej dzielnicy Miasteczka, ale na jednej z bocznych

ulic. Gdyby nawet Karolowi udało się skończyć medycynę ze „specjalnością – serce”, nie mógłby pomóc swojemu ojcu, zmarł on bowiem jeszcze za jego lat szkolnych. Przez jakiś czas Karol był poważny i chodził w żałobie, szybko jednak – jak zwykle w tym wieku – wrócił do normy, choć śmierć ojca, do którego przywiązanie ujawniał w różnych okolicznościach, była dla niego ciężkim przeżyciem.

Karol Bross fascynował mnie niemal od pierwszej chwili, gdy go ujrzałem. Nie pociągali mnie koledzy z mojej klasy, byli mi obojętni; może dlatego, że nieźle ich znałem, sporo o nich wiedziałem, wydawali mi się więc mało interesujący, fascynowali mnie zaś chłopcy uczęszczający klasę niżej, wyróżniający się urodą, wśród nich on właśnie, na którym od razu spoczęło moje oko. W większości ich nie znałem, z wyjątkiem niepozornego, ale sympatycznego Sławka, którego czasem spotykałem, idąc do szkoły. Im bardziej mnie interesowali, tym bardziej onieśmielali, nie robiłem niczego, by ich poznać, nawet nie śmiałem marzyć o zaprzyjaźnieniu się, zamykałem się w sobie, choć nie zamykałem oczu, bo moim nieustannym pragnieniem było widzieć jak najwięcej. Dotyczyło to, oczywiście, także Karola, a w istocie jego przede wszystkim. Bałbym się jednak do niego zagadać, a gdybym takie działanie podjął, byłbym tak speszony i przerażony, że w konsekwencji powstałoby jakieś trudne do opisanego dziwne, niewykluczone zresztą, że mimo najszczerzych chęci nie umiałbym z siebie wydobyć głosu. Obawiałem się takiej kolei rzeczy – i narażenia się na śmieszność.

Po raz pierwszy (i niemal jedyny) zderzyłem się z Karolem bezpośrednio w okolicznościach niespodziewanych, ale jakże dla tamtego okresu charakterystycznych. W czasie uroczystości pierwszomajowych. Tego roku były one w Miasteczku szczególnie długie i rozbudowane, bo nie tylko – jak kazała rutyna, świeża zresztą, bo był to rok 1949, może 1950 – trzeba było wysłuchać z głośników transmisji z obchodów centralnych, a więc przemówienia otwierającego pochód, skierowanego do całego narodu polskiego. Zaszczycił nas wizytą jakiś dygnitarz, który miał coś powiedzieć do obywateli Miasteczka. Nie pamiętam, kim był ów dostojny gość, chodziło o osobistość niezmiernie ważną, wówczas mnie to jednak niezbyt interesowało, gazet – z wyjątkiem powieści w odcinkach, jakie publikowało „Życie Warszawy” – nie zwykłem czytać, a więc nic mi nie mówiły (albo całkiem niewiele) nawet te nazwiska, które pojawiały się na pierwszych stronach. Byłem zwierzęciem apolitycznym, choć uległem propagandzie

w tamtych latach niezwykle intensywnej, chciałoby się powiedzieć: zmasowanej, i, jak niemal wszyscy w szkole, należałem do Związku Młodzieży Polskiej.

Owa uroczystość pierwszomajowa utkwiałaby w mojej pamięci, mimo że nie potrafię precyzyjnie umieścić jej w czasie, nawet gdyby zabrakło epizodu z Karolem, epizodu niespodziewanego, zaskakującego wręcz, takiego, który zrobił na mnie wrażenie, mimo że pozostałem bierny. Utkwiłaby, bo trwała kilka godzin, kazano przyjść wcześniej i trzymano nas na stadionie wśród ryczących głośników niezmiernie długo, tak jakby stanie w szeregach stanowiło najlepszą formę uczczenia oficjalnego święta. Ale to jeszcze nie wszystko. Była straszna pogoda, zimno, zaledwie dwa–trzy stopnie powyżej zera, wiał lodowaty wiatr, od czasu do czasu siąpił deszcz. A nam, członkom ZMP, nakazano przyjść na obchody w tym, co nazywano strojem organizacyjnym, a więc w zielonej koszuli i w czerwonym krawacie, noszenie marynarek, swetrów czy wiatrówek było surowo zakazane, młodzież, która buduje socjalizm, powinna być zahartowana jak stal i stawiać czoło wszelkim przeciwnościom, a cóż dopiero marnej pogodzie. Marzliśmy, trzęśliśmy się z zimna i zazdrościliśmy starszym; tych szczęśliwców, nawet gdy byli gorliwymi działaczami partyjnymi, stroje organizacyjne nie obowiązywały, bo po prostu ich nie wprowadzono.

Na stadion zagnano wszystkich, a w każdym razie kogo tylko się dało, w tym oczywiście szkoły, a w Miasteczku było ich sporo. Każdą ze szkół ustawiono klasami, obok naszej znalazła się ta, do której chodził Karol. A więc staliśmy w szeregach, coraz bardziej przemarznięci i coraz bardziej znużeni, dochodzące z głośników przemówienia nas nie interesowały, puszczało się je mimo uszu, nie ciekawiły gędzenia sprawozdawców opowiadających, jak wygląda pochód centralny w Warszawie, a nadawane w antraktach pieśni masowe i grane przez orkiestry dęte dziarskie wojskowe marsze też raczej nikomu nie sprawiały przyjemności. Staliśmy, bo nic innego nam nie pozostało, mieliśmy pewność, że jesteśmy pod ścisłym nadzorem – raczej zresztą nie ze strony nauczycieli, choć i oni musieli w fecie majowej uczestniczyć, lecz aktywistów ZMP-owskich i partyjnych, a także – ale tego chyba nie byliśmy świadomi – kręcących się w cywilnych strojach facetów z wiadomej instytucji.

Stałem jak wszyscy znudzony, przygnieciony ciężarem dłużącego się czasu, z poczuciem takiej beznadziei, że nawet myśl, choć – jak wiadomo – ulatuje,

gdzie chce, nie miała żadnych danych, by kierować się ku jaśniejszym rejonom. W naszych szkolnych szeregach zapanowała apatia, nikt już nie myślał o wyłuskaniu z siebie choćby ziarna obowiązkowego przecież entuzjazmu. Coś w nich jednak się działo, bo spędzonej z Miasteczka i okolic młodzieży, a w wielu przypadkach jeszcze dzieciom, trudno było ustać w spokoju przez czas tak długi. A to, co się działo, niewiele miało wspólnego z uroczystym czczeniem święta, które niegdyś było robotnicze, a w Polsce Ludowej, jak tyle innych rzeczy, zostało upartyjnione i upaństwowione.

Gdy tak staliśmy, zmarznięci i wymęczeni, nastąpiło coś, co mnie naprawdę zaskoczyło. Podbiegł do mnie Karol Bross z jakimś drugim chłopakiem, małym i nieefektywnym brunetem, którego nie znałem, nie wiedziałem nawet, jak się nazywa (nie wiem zresztą do dzisiaj) – i położył rękę na moim ramieniu, jakby w ten sposób dawał mi znak, bym obrócił się w jego stronę. Gdy to się stało, niezwykle szybko powiedział: „Patrz” i przed moimi oczami, bardzo blisko, tak jakbym już za młodu był krótkowzroczny, rozwinął kartkę papieru i pokazał rysunek: przedstawiał fallusa w stanie erekcji oddanego niezwykle plastycznie i szczegółowo, tak że mogłaby to być ilustracja w podręczniku anatomii. Spojrzałem – i zamarłem ze zdziwienia. Była to chwila, wszystko się działo w tempie łącznie galopującym. Trudno było mi pojąć, dlaczego kolega, z którym nie zamieniłem dotąd ani słowa, choć zawsze z przyjemnością (i z lękiem) ku niemu spoglądałem, wybrał akurat mnie, by podsunąć przed oczy ten drastyczny rysunek, mógł przecież, licząc na pewny efekt, skierować się w stronę kogoś innego.

Kiedy poczułem rękę Karola na ramieniu, przeszył mnie dreszcz, ale na to, co stało się po sekundzie, zareagować odpowiednio w żaden sposób nie umiałem. Spojrzałem i milczałem, być może nawet skromnie i bezradnie spuściłem oczy niczym panienka z dawnych czasów, której na rzeczy nieprzyzwoite patrzeć nie przystoi. Miałem w sobie tyle hamulców, byłem tak wewnętrznie spętany i tak spięty, że inne zachowanie graniczyłoby z nieprawdopodobieństwem. Zaskoczony, okazałem brak jakiegokolwiek zainteresowania, stało się tak z tego przede wszystkim względu, że spontanicznie, w istocie bezrefleksyjnie uznałem, iż to, co się wydarzyło, jest aktem skierowanym przeciw mnie i stanowi prowokację. Dzisiaj myślę, że sprawy wyglądały inaczej. Karol Bross nie miał żadnego powodu, by cokolwiek robić na moją szkodę. Nie wiedziałem wówczas o istnieniu *Ferdydurke*, mogę jednak dzisiaj, po latach, rozważyć to wydarzenie

w kategoriach zaczerpniętych z dzieła Gombrowicza. Otóż Karol, który znał mnie tylko z widzenia, ocenił, że jestem kimś w rodzaju Syfona, i chciał zgwałcić nie tyle przez uszy, ile przez oczy. To właśnie temu celowi służyć miała ta osobliwa historia; był ciekaw, jak zareaguję, chciał sprawić, bym się ożywił i uwolnił od swej syfonowatości.

Możliwe jest wszakże wyjaśnienie inne. Po latach wydaje mi się wielce prawdopodobne, że Karol, chłopiec inteligentny, spostrzegawczy i bystry, zorientował się, że patrzę na niego w sposób szczególny, inaczej, niż się to czyni między kolegami, intuicja podpowiedziała mu zatem, że za takimi spojrzeniami kryje się coś ciekawego i niezwykłego. Rysunek przedstawiający fallusa sztywnego jak drut, gotowego do seksualnego czynu, miał być jakimś danym mi znakiem, choćby pretekstem do nawiązania koleżeńskich kontaktów. Znaku nie zrozumiałem, gry nie podjąłem. Nie wiem, z jakim poczuciem – po chwili – Karol odchodził, może był niezadowolony, że intryga spaliła na panewce, a może całe to wydarzenie traktował jak papierek lakmusowy, który miał ujawnić moją reakcję. Był jej ciekaw niezależnie od tego, jaka była.

Gdy minęło przerażenie wywołane tym, co odczuwałem jako dziwny incydent, miałem poczucie utraconej szansy. Nie liczyłem, bo liczyć nie mogłem, na wielką miłość, czymś cennym byłyby dla mnie zwykłe koleżeńskie relacje z Karolem. Nigdy one się nie nawiązały. Ciągająca się godzinami uroczystość pierwszomajowa wreszcie się skończyła, rozeszliśmy się do domów, wielu z nas pochorowało się i w dni następne na lekcje nie przychodziło, choć zbliżał się koniec roku szkolnego. Władza ludowa, zmuszając nas do występowania w strojach organizacyjnych, najwyraźniej nie dbała o stan zdrowia swych potencjalnych janczarów. Nie wiem, czy Karol należał do tych, których zmogło zaziębienie. Już się znaliśmy, choć nic z tego nie wynikało, nie tylko nie zbliżyła nas przyjaźń, ale nadal nic się między nami nie działo, może od czasu do czasu wymienialiśmy jakieś zdania w czasie przerwy na długim i wąskim szkolnym korytarzu. A ja od okazji do okazji patrzyłem na niego z sentymentem, ale wciąż tak, żeby się nie zorientował, że w moich ukradkowych spojrzeniach kryje się coś istotnego.

Nie widziałem Karola Brossa od półwiecza, wiem, że żyje. Gdybyśmy mijali się na ulicy, z pewnością bym go nie poznał. Kiedy przed kilkoma miesiącami odwiedziłem jednego z moich szkolnych kolegów, wspominaliśmy różne osoby znane nam w czasach młodości, zapytałem więc,

czy coś słyszał o jego losach. Jest żywą kroniką Miasteczka, więc wiedział, choć Karol Bross już w nim od dawna nie mieszka, osiadł gdzieś w okolicy. Lekarzem nie został. W owym czasie medycyna była obleganym kierunkiem studiów. Wiele wskazuje na to, że zdecydowały stosowane wówczas kryteria klasowe i polityczne: syn przedwojennego oficera i właścicielki sklepiku z artykułami żelaznymi był obcy klasowo, a więc należało go odrzucić, mimo że należał do ZMP. Nie mogę jednak wykluczyć, że na egzaminach mu się nie powiodło, gdyż Karol do nauki raczej nie zwykł się przykładać. Po maturze był przez jakiś czas człowiekiem bez przydziału, przymierzał się do różnych zawodów, podejmował rozmaite prace i podobno miał rozliczne afery z kobietami, które często zmieniał, wdawał się w równoległe romanse, co prowadziło do konfliktów, a nawet skandali. Ale szybko odnalazł swoje miejsce w świecie. Zaangażował się w zakładzie dla trudnych, wchodzących w konflikt z prawem chłopców. Jak słyszałem, studia skończył wiele lat później, ale inne niż te, o których marzył w czasach szkolnych – pedagogiczne. Okazało się, że praca wychowawcy stanowi jego prawdziwe powołanie i życiową pasję, odnosił w niej duże sukcesy, stał się w tej dziedzinie znakomitością i autorytetem.

Mariusz

W pierwszym okresie swojego istnienia osiedle, na którym od kilkunastu lat mieszkam, było spokojne, chciałoby się powiedzieć wręcz – cnotliwe, awantury niemal się nie zdarzały, a jegomościów, którzy latem na ławkach, a zimą w holach i korytarzach sobie popijają, było raczej niewielu. Tych, co to robili, policzyć można było na palcach, a więc się ich znało, stali się niezmiennym składnikiem tutejszego pejzażu. Nigdy mnie nie interesowali, nie przyglądałem się im, widywałem ich jednak o różnych porach dnia na mojej trasie z przystanku autobusowego do domu. I rzeczywiście, niektórych zapamiętałem, mimo że natura nie obdarzyła mnie pamięcią wzrokową, między innymi dość nobliwie prezentującego się starszego pana, mającego kłopoty z chodzeniem, wspierającego się laską; to nad nim właśnie czuwała żona, która zjawiała się zwykle wtedy, gdy przekraczał już pewną normę, i odprowadzała go do domu, zresztą bez protestów z jego strony. Zwróciłem też uwagę na permanentnie podpitego, mizernie wyglądającego człeczyne, który był – wszystko na to wskazywało – pracownikiem osiedlowej administracji. Na picie i gadanie z kompanami wykorzystywał chyba wszystkie przerwy w robocie i – oczywiście – czas wolny. Nie wiem, czym się zajmował, ale też niezbyt mnie to ciekawiło, domyślałem się jednak, że wykonywał usługi najpośledniejsze, z pewnością nie był złotą rączką, zwłaszcza że od pewnego momentu – co łatwo było zauważyć – ręce mu się trzęsły. I nie był to jedyny objaw przepicia, oznak było wiele, choćby czerwień nalanej twarzy. Moje zdumienie nie miało miary, gdy któregoś popołudnia do mnie podszedł. Sądziłem, że zapyta o godzinę lub poprosi o ogień. Jeszcze bardziej się zdziwiłem, gdy usłyszałem co innego:

– Pan jest z P., nie? Pamiętam pana...

Tak jest, oczywiście, jestem z P., spędziłem w nim młode lata. Spieszyłem się do domu, nie miałem ochoty na konwersację, a tym bardziej na zawieranie bliższej znajomości, nie mogłem jednak nie podjąć rozmowy i nie zapytać: Skąd się znamy? Może chodziliśmy do tej samej szkoły lub nawet do tej samej klasy? Nie, w P. było wówczas sporo szkół podstawowych i dwa licea; nie sądziłem, że mój dziwny rozmówca miał cokolwiek wspólnego z którymś z nich, po chwili jednak się dowiedziałem, że był uczniem starszego, z dużymi tradycjami, lepszego, ja trafiłem do gorszego, tego, które powstało, kilka lat po wojnie; obowiązywała w tamtych odległych czasach rejonizacja szkół, jak w wielu innych dziedzinach odebrano możliwość wyboru. Dostrzegając zapewne moje zaciekawienie, po chwili stwierdził, że pamięta

mnie z pociągu, on wówczas jeździł rano na zajęcia na politechnice, a ja zapewne na uniwersytet. I dopiero kiedy to powiedział, zaczęło coś świtać w mojej głowie, bo wcześniej nie kojarzyłem go z nikim ze znajomych z czasów młodości, jego przeszłość była dla mnie pustym znakiem. Czyżby to był ten chłopak, którego znałem tylko z widzenia, często jednak spotykałem w pociągu – i lubiłem mu się dyskretnie przyglądać, wyglądał bowiem nadzwyczaj atrakcyjnie; po prostu jakby sam przyciągał mój wzrok. Wydawało mi się to wręcz nie do wiary, ale wykluczyć takiej ewentualności nie mogłem. Pamięć moja, nie tylko wzrokowa, okazała się zawodna, nigdy zresztą nie miałem do niej nadmiernego zaufania.

Natykaliśmy się na siebie właśnie w pociągu, bo często jeździliśmy na zajęcia o tej samej porze. Nie miałem wówczas wątpliwości, że jest – tak jak ja – na pierwszym roku. Świadczyła o tym jego lśniąca nowością studencka czapka, brązowa, bo takie właśnie były czapki politechniki, wtedy jeszcze niektórzy je nosili, dopiero w latach następnych wyszły z użycia. Ja jednak nie miałem białej czapki uniwersyteckiej, już w tamtych czasach z nakryć głowy uznawałem jedno – beret – jemu też pozostałem wierny do dzisiaj, a więc zrezygnowałem z tak wyrazistej oznaki swej studenckości. Wiedziałem jeszcze jedno: chłopak ów na imię miał Mariusz. Z imieniem tym zetknąłem się wcześniej raz tylko, gdy jako kilkunastoletni pochłaniacz powieści czytałem *Nędzników* i tylko z tym dziełem Victora Hugo, które wydawało mi się arcydziełem nad arcydziełami, je kojarzyłem. Kiedy przypadkiem usłyszałem, że tak właśnie ma na imię mój piękny rówieśnik, miałem wrażenie, iż imię zeszło z literackich wyżyn na ziemię, nabrało realności, w jakiś sposób się zmaterializowało. I – by tak powiedzieć – dobrze trafiło, w tej materii wątpliwości nie miałem, bo nieznajomy konsekwentnie przyciągał moją uwagę i budził może ulotną, ale jednak fascynację.

W pociągach, w tamtych czasach z reguły zatłoczonych, zawsze stałem, a kiedy było to możliwe, bo ścisk był mniejszy, coś czytałem, najczęściej przygotowywałem się do zajęć lub egzaminów, po gazety, wówczas niezmiernie nudne, sięgałem rzadko... Często jednak czytać mi się nie chciało i owe dwadzieścia minut, które zabierała jazda z naszego miasteczka do stolicy, poświęcałem na obserwowanie towarzyszy podróży. I w takich sytuacjach wzrok mój zatrzymywał się na Mariuszu, jeśli akurat znalazł się w pobliżu. Był piękny i młody. Nie to zresztą – być może – go wyróżniało, ostatecznie w tamtych odległych czasach wszyscy byliśmy jeśli nie piękni (ja

nie byłem z całą pewnością), to młodzi. Wyróżniała go ruchliwość, zachowywał się tak, jakby przez tych kilkanaście minut nie mógł w pociągu ustać bądź usiedzieć, kipiała w nim niewątpliwie jakaś wewnętrzna dynamika, wyrażająca się także w wyglądzie, ale przede wszystkim w ruchach, jakie wykonywał; choćby w energii, z jaką otwierał drzwi oddzielające przedziały podmiejskiego pociągu elektrycznego. Wyróżniała go też towarzyskość, widać było, że się cieszy, gdy spotyka kolegów, a jest już całkiem szczęśliwy, gdy towarzyszą mu ładne dziewczyny; wtedy wstępowało w niego jakby spotęgowane życie.

Mówił zwykle dość głośno, tak że nie musiałem się wysilać, by się zorientować, że jest człowiekiem rozgarniętym i bystrym. Zdarzało się jednak niekiedy, że swą rutynową krótką podróż odbywał w samotności. Właściwie mógłbym do niego zagadać, nie ryzykowałbym wiele, nie zrobiłem tego jednak, choć miałem niemal pewność, że rozmowa dobrze by się potoczyła, ale – jak w wielu podobnych sytuacjach – paraliżowała mnie nieśmiałość. Wydawało mi się zresztą, że Mariusz nie zauważa mojego istnienia – i nie dostrzega, że wzrok mój kieruje się ku niemu jednak trochę częściej niż ku innym, obawiałem się więc, że weźmie mnie za całkiem obcego człowieka, który z niewiadomych powodów zawraca mu głowę. Czyżbym teraz – zastanawiałem się – po tak długim czasie miał się dowiedzieć, że mnie rozpoznawał, czyżby wymagało to aż trzydziestu lat?

Ta dziwaczna znajomość-niezajomość szybko się urwała, w latach następnych nie spotykałem go już w pociągu, kiedy rano jeździłem do Warszawy, by spłacić dań swym studenckim powinnościom (obowiązywała wówczas surowo przestrzegana dyscyplina studiów). Czasem, ale też rzadko, widywałem go w drodze powrotnej. Nie nosił już studenckiej czapki, zrezygnował zatem z tego emblematu, ale to o niczym nie musiało świadczyć, czapki takie lubili przede wszystkim pierwszorocznicy, były dla nich, tak jak palenie papierosów, bezdyskusyjną oznaką dorosłości. Po jakimś czasie zorientowałem się, że Mariusz już nie studiuje. Nie wiem, jak to się stało, czy nie przykładał się do nauki i uczelnia się go pozbyła, czy też sam podjął decyzję, uznając, że studia politechniczne i zawód inżyniera nie są dla niego atrakcyjne. Chociaż widywałem go rzadziej, jedno zauważyłem – zaszły w nim jakieś zmiany, nawet zewnętrzne; to nie był już ten energiczny, towarzyski młodzieniec, otwarty na świat, nadal pozostał jednak bardzo przystojny. Niekiedy sprawiał takie wrażenie, jakby był na lekkim rauszu lub

nawet ową miarę przekroczył; wielokroć nie ulegało dla mnie wątpliwości, że jest podпиты czy wręcz pijany. Powoli znikał ze sfery mojego postrzegania, wreszcie zapomniałem o jego istnieniu. Nic dziwnego, był jednym z wielu towarzyszy codziennych podróży, przygodnym nieznanym, choć bynajmniej nie obojętnym. Także wtedy, gdy obserwowałem go zachłannie spod oka, nie stał się bohaterem moich snów, nie przekształcił w herosa potajemnych fantazji.

Nawet jednak po latach zrobiło mi się przykro, kiedy pomyślałem, że osiedlowy pijaczek to nikt inny jak ów Mariusz – w młodości bystry, dynamiczny, urodziwy. Naprawdę trudno byłoby mi uwierzyć, że to ten sam człowiek. Ale może przecież to inna osoba! Nie chciałem o nic wypytywać, nigdy nie znałem nazwiska Mariusza, nie wiedziałem, co studiuje, a kumple pijaczka zwracają się do niego per Maniek. Może to być wersja tego samego imienia, ale w żadnym wypadku nie musi. Wykluczyć jednak nie mogę, że elegancki i nobliwy Mariusz przemienił się w obscurnego Mańka. Owej wielkiej metamorfozy, jeśli to rzeczywiście ta sama osoba, nie można przypisać jedynie bezwzględnemu i okrutnemu działaniu czasu, wdały się tu także inne czynniki. Czy rzeczywiście chłopak, który w młodości wszystko miał przed sobą, zszedł na poziom lumpa, będącego w stanie wybełkotać swym chrapliwym zapijaczonym głosem kilka niezbyt zbornych zdań? Widuję go niemal codziennie, zwłaszcza latem, teraz już nawet nie udaje, że coś robi, zapewne jest rencistą, cały więc czas może poświęcić na popijanie z kumplami. Nadal mnie rozpoznaje, wymieniamy uprzejme ukłony. Ale czy jest to ów atrakcyjny w młodości Mariusz, ku któremu podążał w zatłoczonym pociągu mój wzrok, tego nie wiem. Wydaje mi się, że jednak nie. Zakładam mimo wszystko, że ów Maniek pijaczek jest kimś całkiem innym, kimś, na kogo nigdy nie zwróciłem uwagi, choć jako rówieśnicy z tego samego miasteczka musieliśmy się widywać. Po tylu latach trudno dojść do ładu ze wspomnieniami nawet tak osobistymi, zacierają się wizerunki postaci, które kiedyś darzyło się sympatią.

Rapsodia rumuńska

Wtedy już od dawna wiedziałem o swojej kondycji, zdawałem sobie sprawę z inności, jaka tak dramatycznie i bezwzględnie mnie dotknęła. Wstydziłem się jej, a w istocie – wstydziłem się samego siebie, uznałem, że odmienność, która spadła na mnie tak nieoczekiwanie i w żaden sposób nie dawała się przezwyciężyć, sprawia, że jestem gorszy i nie mogę nawet aspirować do równania się z innymi. Bałem się wszystkich, którzy znajdowali się obok i w taki czy inny sposób oddziaływali na mój świat, przede wszystkim jednak bałem się przyszłości, byłem przekonany, że przyjdzie mi ją przeżyć w samotności absolutnej, sądziłem, że będę wzgardzony i poniżony, że stanę się pośmiewiskiem, a złośliwi i niechętni zaczną mnie wydrwiwać, wytykać palcami, piętnować. Żyłem w strachu przed powszechnym ostracyzmem tym bardziej, że z nauk, jakie wyniosłem od turkowickich zakonnic, wynikało, że wszelki seks łączy się z ciężkim przewinieniem, a cóż dopiero tak grzeszny, z istoty rzeczy daleki od tego, co naturalne i aprobowane. Nie mogłem liczyć na niczyją duchową pomoc, w domu moim o tego rodzaju sprawach się nie mówiło, to była sfera tabu, tak ją – jak myślę – postrzegą zwłaszcza moja Matka. Żyłem w strachu, przerażony zarówno brakiem perspektyw, jak spodziewanymi potępieniami, ale też – a w istocie przede wszystkim – własną grzesznością, z której nigdy się nie oczyszczę, w konsekwencji bardziej dbałem o to, by nie ujawnić swojej natury, by nie zostać zdemaskowanym, niż o zaspokojenie elementarnych potrzeb i skłonności, jakich przecież nie wybierałem, zostały mi narzucone wraz z urodzeniem. Byłem świadom, że nigdy nie miałem, nie mam i mieć nie będę wyboru, to wszakże nie umniejszało mojego wstydu. Skrywałem ukierunkowanie tak dla mnie ważne, bezwzględnie określające moje istnienie, czyniłem to jednak nie w ten sposób, że udawałem kogoś innego, niż jestem, wszelkie aktorstwo w dniu naszym powszednim jest mi zdecydowanie obce. Nawet nie próbowałem symulować uganiania się za dziewczynami, a na wszelkie formy zainteresowania z ich strony (zdarzało się to czasem) reagowałem podszytą lękiem obojętnością, prześladowało mnie widmo sytuacji, którym nie będę mógł sprostać, a więc pośrednio – także zdemaskowania. Wcześniej przyjąłem zasadę: zachowuję się tak, jakbym znajdował się poza tą sferą życia, jakby wszystko, co z niej wynika, mnie nie dotyczyło. I sobie wmawiałem, że tak właśnie sprawy się mają. Nie muszę dodawać, jak wielki i jak psychicznie niszczący krył się za tym fałsz. A stylizacja była zapewne w dużej mierze udana, skoro wiele lat później pewna znajoma, łącząca w sposób zaiste

paradoksalny cechy drobnomieszczańskiej kołtunki z manierami kobiety obyczajowo wyzwolonej, całkiem poważnie mnie zapytała: „Panie Michale, dlaczego jest pan taki bezpłciowy?”.

Przyglądałem się jednak kolegom z fascynacją, zapewne w tym samym stopniu i z tą samą energią, z jaką oni przyglądali się panienom, tylko że mogli to robić jawnie, ja zaś – z ukrycia, w konspiracji, tak, by nikt się nie zorientował, co się za moimi spojrzeniami kryje, że nie jest to zwykłe, mniej lub bardziej obojętne patrzenie (czwarty tom Prousta przeczytałem trochę później; to jego bohater, baron de Charlus, posiadał wspaniały kunszt spoglądania na młodych chłopców tak, by dla osób postronnych było niezauważalne). Sprawiało mi przyjemność, gdy niespodziewanie znalazłem się tak blisko któregoś z rówieśników, że choćby przez moment możliwy był dotyk. Było to jednak zainteresowanie wynikające z ogólnej orientacji; oczywiście, jedni podobali mi się bardziej, inni mniej, a byli tacy, którzy nie podobali mi się wcale, żaden jednak nie budził we mnie większych namietności, żaden nie wyzwał gorących uczuć. Sytuacja zmieniła się wtedy dopiero, gdy byłem studentem. Spadło to na mnie z siłą wodospadu, z tak niezwykłą energią, że nie mogłem nad emocjami zapanować, nie mogłem ich ogarnąć i powściągnąć. Miałem wówczas osiemnaście, dziewiętnaście lat, zrozumiałem, że nie ominie mnie to, co wpisane jest w kondycję każdego człowieka. Preczytałem gdzieś zdanie: „Natury nie da się oszukać” – i z niemal masochistycznym zapamiętaniem sobie je powtarzałem. Z jednej strony popadłem w egzaltację spowodowaną nagłą eksplozją namietności, z drugiej zaś byłem załamany, bo wiedziałem, nie żywiąc żadnych złudzeń, że los skazuje mnie na klęskę, że niczego nie osiągnę poza rozczarowaniem i cierpieniem. Całkiem poważnie obawiałem się, że popadnę w szaleństwo, zwłaszcza że nie mogłem zapomnieć o świeżym przypadku strasznej choroby w najbliższej rodzinie. Jeśli choć raz w życiu poważnie myślałem o samobójstwie, to właśnie wtedy, gdy erotyczna fascynacja wspięła się do punktu kulminacyjnego, szybko jednak, mimo że nie rysowało się przede mną nic dobrego, myśl tę odłożyłem ad acta, by nigdy już do niej nie powrócić.

A więc stało się to, co stać się musiało, bo nie ma schronienia przed tym, co wyznaczają determinizmy natury, w żaden sposób nie można uchylić się od ich działania, dopadną człowieka wszędzie i zawsze, nie patrząc na jego życzenia, dążenia, wolną wolę. Mnie dopadły wtedy właśnie, gdy byłem

studentem drugiego roku. Namiętność skierowała się ku Adamowi w jakiejś mierze dlatego, że ku komuś skierować się musiała, nie mogła być przesłaniem wysyłanym w personalną pustkę, zwracającym się ku abstrakcyjnym figurom. A on właśnie znajdował się w pobliżu i miał wiele zalet. Był dobrze ułożony, spokojny, serdeczny, w zasadzie koleżeński, a przy tym darzył mnie niewątpliwą sympatią. Szybko się zorientowałem, że ma ona całkiem inne podłoże niż te moje emocje, które zwracają się ku niemu; powiedział mi przy jakiejś okazji, że ma dziewczynę we Wrocławiu, ale – niestety – rzadko ją widuje ze względu na odległość. Wiedziałem niemal od początku tej historii, że nie mogę na nic liczyć, bo jest on – jak się wtedy mawiało – normalnym mężczyzną, niemającym nic wspólnego z potępiania godnymi zbroczeniami. Świadomość ta nie stała się jednak ostrzeżeniem, nie przekształciła się w hamulec, który pozwoliłby mi opanować wewnętrzną sytuację. Brnąłem coraz bardziej, choć dbałem równocześnie, by to, co się we mnie działo, nie wypływało na powierzchnię, by nie domyślano się, kim dla mnie jest Adam i jak dramatyczne przeżycia mnie trapią.

Był niewątpliwie sympatyczny i kulturalny, tym właśnie się wyróżniał. Pochodził z dobrego inteligentckiego domu, chyba nieźle prosperującego. Jego ojciec był dziennikarzem związanym przed wojną z prasą PPS-owską, ojczym zaś – rodzice rozwiedli się i założyli nowe rodziny – znanym adwokatem, słynącym z ostrego języka i ciętych ripost; matkę widziałem bodaj raz tylko, była to wówczas pani w średnim wieku, zadbana i dobrze się prezentująca. Adam zawsze starannie ubrany, czysty, pachnący, z wzorowo ułożoną fryzurą i w wypucowanych butach, przypominał – jak stwierdził pewien skłonny do rzucanych na prawo i lewo złośliwości kolega – mecenasa Kraykowskiego z opowiadania Gombrowicza. Odznaczał się nie tylko elegancją stroju, także – zachowania, w sposobie bycia i mówienia niewątpliwie kultywował dobre przedwojenne tradycje. I tą swoją dostrzegalną we wszystkim inteligentnością się wyróżniał. A były to czasy, które jej nie sprzyjały, obowiązywał tak zwany styl proletariacki, wyrażający się nader często w usankcjonowanym, podniesionym do rangi cnoty chamstwie.

Czy Adam był przystojny? Na naszym roku znaleźć było można bez trudu młodzieńców bardziej urodziwych, jednakże moje spojrzenia skierowały się właśnie ku niemu, to on bez żadnego starania mnie przyciągnął. Był raczej wysoki, ale pierwsze, co się rzucało w oczy, to zażywność, niewątpliwie już

wtedy ujawniała się skłonność do tycia. Można powiedzieć, że był okrągły, niezwykle kulistością odznaczała się jego głowa. Miał w sobie coś sfeminizowanego tak w kształtach, jak w rysach (pamiętam, jak w czasie zajęć z musztry na studium wojskowym podoficer ni z tego, ni z owego zwrócił się do niego: „Wy to jesteście śliczni jak panienka”, wywołując konsternację). Nie sądzę jednak, by mnie zafascynowała ta domieszka kobiecości, która spodobała się kapralowi, myślę, że sprawy wyglądały inaczej. Wpływ miało i to, że był blisko, i to, że delikatność łączył z sympatycznością, korzystnie odstając od studenckiego tła i bezwzględnie narzucanego stalinowskiego stylu.

Zależało mi na tym, by jak najczęściej być w jego towarzystwie – i rzeczywiście przebywałem z nim w czasie zajęć, bo tak je wówczas organizowano, że studenci należący do jednej grupy (znaleźliśmy się w niej od drugiego roku) musieli, czy chcieli czy nie chcieli, przebywać ze sobą. To mi jednak nie wystarczało, pragnąłem między innymi, by poszedł ze mną na koncert. Chodzenie na koncerty było wówczas moją główną przyjemnością, biegałem na wszystko niemal, co wydawało mi się warte słuchania. Gorąco pragnąłem słuchać muzyki w jego towarzystwie. Z początku nie dawał się namówić, z muzyką nie miał żadnych kontaktów, chyba niewiele o niej wiedział, jego pasją był teatr, marzył o tym, by zostać krytykiem teatralnym, w tej profesji widział swoją przyszłość; podobno w latach szkolnych myślał był o aktorstwie, musiał jednak z góry zrezygnować, wiedział, że nie ma żadnych szans ze względu na lekką wadę wymowy, niebędącą zresztą utrudnieniem w życiu codziennym. I raz dał się skusić, wybraliśmy się wspólnie na koncert symfoniczny. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie on się odbył (wówczas gmach filharmonii nie został jeszcze odbudowany). Koncerty dawano w różnych miejscach: w sali Roma, w Teatrze Nowym, a przez czas jakiś nawet w Hali Gwardii. Dyrygował – jeśli się nie mylę – Witold Rowicki, z programu zapamiętałem tylko pierwszą pozycję, była nią efektowna i popularna *Rapsodia rumuńska* George Enescu. Ów niezmiernie wszechstronny muzyk od niepamiętnych czasów rezydował w Paryżu. I choć w okresie stalinowskim wykreślano z życia kulturalnego emigrantów, ten utwór wykonywano może dlatego, że nawiązywał do melodii i rytmów ludowych, a wszelkie związki z folklorem wówczas premiowano. Całkiem spora liczba utworów, których słuchałem za młodu, utrwaliła się w mojej pamięci, mam zatem w uszach kilka motywów tej barwnej i luźno

skomponowanej rapsodii, przede wszystkim grany przez klarnety fragment początkowy, po którym następuje efektowne tutti. Piszę o niej w opowieści o mojej fascynacji Adamem nie dlatego, by wprowadzić dygresję na tematy muzyczne, zatrzymałem się nad tym z tej racji, że odtąd kojarzył mi się on z motywem dźwiękowym, a mianowicie z inicjalnym epizodem rapsodii, którą George Enescu napisał na początku XX wieku, u progu swej działalności kompozytorskiej. Nie wiem, z jakiego powodu tak się stało, w każdym razie fragment ten uformował się w mojej świadomości w reprezentację Adama, przekształcił w jego sygnał, stał się na swój sposób wciąż powracającym motywem przewodnim. Działo się tak za młodu, kiedy wciąż się spotykaliśmy, ale także później, gdy straciliśmy wszelką łączność nie na dziesięciolecia, ale po prostu na zawsze. Kiedykolwiek wracałem pamięcią do tego mojego kolegi, w mym niemym wewnętrznym koncercie zaczynały rozbrzmiewać klarnety podające wyraźnie ku górze zmierzającą melodię. Nastąpiło dziwne zrośnięcie, trwające do dzisiaj, mimo że Adama, który tak mnie oczarował, nie ma już wśród żywych.

W tamtych latach, jeśli mówiło się publicznie o sprawach seksu, to w sposób skrajnie konwencjonalny, można było zresztą deliberować tylko o sytuacjach jasnych, niebudzących wątpliwości, niewywołujących tego, co odczuwane było jako zgorzenie, czyli właśnie konwencjonalnych. Totalitarne lekceważenie tej problematyki harmonijnie współlistniało z tym, co przynosiła różnorodna tradycja: religijna, drobnomieszczańska, sięgająca lat dawnych, ale też względnie świeża. Wszystko to zaiste w godnej podziwu harmonii prowadziło do fałszów i zakłamań. Przedstawiciele nowego wspaniałego świata demonstrowali wprawdzie niekiedy swobodę w tej dziedzinie, czynili to jednak zwłaszcza, gdy byli między sobą; z ochotą zachwalali przełamywanie obowiązujących mieszczańskich zasad, ale ogółowi pokazywali swą kołtuńsko-purytańską twarz, chcieli występować w roli obrońców i strażników moralności, sądzeni zresztą, że zagłębianie się w erotyce odciąga młodych ludzi od tego, co stanowi ich główne, a może nawet jedyne zadanie – od budowy socjalizmu. Swoistym dopełnieniem tej powściągliwej konwencjonalności stawała się skrajna wulgarność w mówieniu o erotyce, której dawano upust zwłaszcza w czasie ćwiczeń wojskowych. Adamowi była ona wyraźnie obca, zawsze, w każdym położeniu, pozostawał on dobrze ułożonym młodym człowiekiem, niepozwalającym sobie na ordynarne harce słowne. Jestem pewien, że gdyby rzecz działa się w czasach

ostatnich, nie miałyby żadnych trudności z rozszyfrowaniem i interpretacją mojego zachowania, stałoby się ono dość szybko dla niego oczywiste. Wtedy jednak bywało inaczej, myślę, że on zarazem wiedział i nie wiedział albo – i to wydaje mi się bardziej prawdopodobne – wiedział i nie chciał wiedzieć; bądź nie zastanawiał się, jak się rzeczy mają, bądź świadomie tłamsił w sobie wszelkie podejrzenia. Działo się tak również po tym, jak wyznałem mu po wypiciu dwóch czy trzech kieliszków wina, co do niego czuję. Po prostu objąłem go ramieniem i bez ogródek powiedziałem (gdybym nie napił się tej w sumie niewielkiej dawki słabego alkoholu, byłoby to niemożliwe). Straciłem nad sobą kontrolę i żałowałem tego, co uczyniłem. Adam zareagował milczeniem i obojętnością, nie powiedział słowa, po chwili przeszedł do innego tematu. Nie pamiętam, czy w tym momencie tak dla mnie dramatycznym odezwały się w mojej głowie pierwsze takty utworu Enescu, działo się to bowiem jakiś czas po wspólnie wysłuchanym koncercie. Obawiałem się, że Adam sytuację uzna za kompromitującą, zgodnie z ówczesnymi wyobrażeniami potępi mnie i będzie unikać. Nic takiego wszakże nie nastąpiło, nadal traktował mnie jak dobrego kolegę, lubił się ze mną spotykać i gadać na różne tematy. Poza tym jednym, dla mnie najważniejszym, a w istocie jedynym ważnym. Domyślałem się, że ta moja nietrudna do zauważenia fascynacja w jakiejś mierze zaspokajała jego próżność lub nawet mu schlebiała.

W pewnym momencie sytuacja się zmieniła. Na horyzoncie pojawiła się dziewczyna, już nie ta na poły mityczna daleka ukochana z Wrocławia, ale nasza koleżanka. Nosiała staromodne, rzadkie już w naszym pokoleniu imię Helena, ale powszechnie mówiono o niej (i do niej) Lilka. Średnio urodziwa, była sympatyczna i bystra, miałem z nią wprawdzie nie przyjacielskie, ale dobre kontakty. Odznaczała się tymi samymi cechami co Adam: kulturą osobistą, inteligencją, spokojem. I tak jak on wywodziła się z warszawskiej inteligencji, jej nieżyjący ojciec był profesorem medycyny, bodaj urologiem. Tworzyła z Adamem – wydawało się – idealną parę, nieustannie ze sobą, w siebie zapatrzeni, bez przerwy darzący się nasyconymi miłością spojrzzeniami. Adam nadal nic przeciwko mnie nie miał, ale też nie miał dla mnie czasu. Te resztki, których nie musiał przeznaczać na studia i których nie zabierały mu pasje teatralne – przynoszące zresztą od pewnego momentu niewielkie zarobki, bo debiutował w jednym z podrzędnych pisemek jako recenzent – poświęcał Lilce, w istocie świata poza nią nie widział. Tę nową

sytuację odczuwałem jako klęskę, choć już wcześniej wiedziałem, że nie mogę niczego dobrego się spodziewać, że nie mam żadnych szans, a jedyne, co mogę, to pętać się przy nim jak wierny pies i na niego patrzeć, choć i to należało robić dyskretnie, wręcz konspiracyjnie, by nikt nie dostrzegł, co się za tymi spojrzeniami kryje. Nawet to beznadziejne pętanie się sprawiało mi swoiście dwuznaczną, może nieco masochistyczną, goryczą podszytą przyjemnością, ale i ono zostało mi odebrane. Świat mój mroczniał, a w pewnej chwili całkiem się zawalił. Tę klęskę traktowałem tak, jakby tworzyła prefigurację wszystkich przyszłych niepowodzeń w moim życiu; pełen rozpacz, załamany, przewidywałem, że nic dobrego mnie nie czeka, że aż do końca tkwić będę w pustce i w samotności.

Z Adamem kontaktów miałem coraz mniej, spotkania wyznaczone przez wspólne zajęcia stawały się coraz krótsze, a rozmowy – coraz bardziej zdawkowe. Miłość Adama i Lilki była przez okres jakiś najefektowniejszym i najbardziej spektakularnym romanssem na naszym roku. Na ostatnim etapie studiów wszystko niemal się urwało, zapisaliśmy się na różne seminaria magisterskie, a ja już nie zabiegałem o to, by znajdować się blisko niego, przeciwnie, raczej go unikałem, pojąłem, że nie mam szans, postanowiłem przeto się z niego wyleczyć, choć nie byłem w stanie wyrzucić go poza ramy swej emocjonalnej i mentalnej rzeczywistości. To wtedy właśnie, jeszcze jako studenci, Adam i Lilka się pobrali. Rzuciła mi się w oczy ogromna złota obrączka na jego palcu, drażniła mnie i raniła, stawała się poniekąd materialnym znakiem mojej klęski. A *Rapsodia rumuńska*, którą od czasu do czasu dane mi było usłyszeć z radia (nadawano ją wówczas stosunkowo często), kojarzyła mi się z nim nadal, ale już nie tak intensywnie. Nasze drogi radykalnie się rozeszły. Na obozie wojskowym (w roku 1955) znaleźliśmy się w różnych drużynach, nie było wątpliwości, że krążymy po całkiem odmiennych orbitach.

Wraz z zakończeniem studiów wszelkie więzy się zerwały, czasem tylko dochodziły mnie jakieś wieści, któryś z kolegów powiedział, że Adam rozpoczął nie bez sukcesu pracę w zawodzie dziennikarskim, robiąc to, o czym marzył, został bowiem recenzentem teatralnym w poważnym piśmie. Ze sporym opóźnieniem dowiedziałem się, że związek z Lilką, choć spuentowany dzieckiem, rozpadł się szybko i gwałtownie, dochodziło pono do awantur, zrodziła się nienawiść. Przyjąłem tę wiadomość z pełną obojętnością, jakby dotyczyła człowieka, który nigdy nic dla mnie nie

znaczył. W jakimś sensie mnie samego ona zdziwiła, nowina dotyczyła przecież bohatera mojej pierwszej wielkiej miłości, herosa moich erotycznych fantazmatów, przywoływanym jak sen wariata śniony nieprzytomnie. Następne wieści, które co kilka lat do mnie docierały, były jeszcze bardziej ponure i zdumiewające: Adamowi załamała się kariera zawodowa, stracił pracę w poważnym piśmie, które sprawom teatru dużo poświęcało miejsca, popadł w alkoholizm i doszczętnie się zlumpił. Ktoś nawet utrzymywał, że spadł do poziomu cuchnącego kłoszarda, to jednak trudno byłoby mi sobie wyobrazić, przez lata nie mogłem pojąć, jak ten zadbany, pachnący czystością chłopak, kandydat na gładkiego do przesady mecenasa Kraykowskiego, doprowadził się w dorosłym życiu do takiego stanu. Myślę, że była to hiperboliczna plotka. Prawdą jest natomiast, że jakiś czas po rozstaniu z Lilką ożenił się z prostą kobietą, całkowicie zerwał z dawnym otoczeniem, podobno nawet nie interesował się losami swojego syna, którego Lilka dobrze wychowała przy pomocy drugiego męża. Nie utrzymywał też kontaktów z kolegami z czasów młodości, z którymi łączyły go zainteresowania teatralne.

Dochodzące wieści o Adamie nie powodowały w najmniejszym stopniu mojej satysfakcji, przeciwnie, raczej skłaniały do ubolewania i wywoływały smutek. Wspominam o swoich reakcjach, bo przecież mogły one być nieprzyjemne. Ta historia negatywnie zaważyła na całej mojej młodości, a być może nawet na późniejszym życiu. Nie tylko dlatego, że przysporzyła mi cierpień, tym nie różniła się od każdej nieszczęśliwej miłości. Z tej przede wszystkim racji, że utraciłem wszelką nadzieję, uznałem, że każde zaangażowanie uczuciowe sprowadzi na mnie klęskę i pograży w rozpacz. Zawalił mi się świat – i równo przez dziesięciolecie sądziłem, że nie stanie się w nim nigdy nic pozytywnego, w konsekwencji żyłem w otulinie z pustki, będąc przekonany, że skazany zostałem na nią aż do końca moich dni. Popadłem w całkowitą bierność i w fatalizm. Sądziłem, że w tej dziedzinie moim przeznaczeniem jest niepowodzenie, taki nieszczęsny los, a wszelkie próby wydobywania się z sytuacji, w jakiej wbrew własnej woli się znalazłem, tylko powiększą permanentne fiasko, spotęgują rozgoryczenie, zintensyfikują cierpienie.

Od początku zdawałem sobie sprawę, że Adam jest tylko biernym uczestnikiem mojego dramatu, byłem świadom, że nie mógł inaczej się zachowywać, nie czułem zatem do niego żalu, nie kierowałem pod jego

adresem wyrzutów i pretensji. Myślałem jednak o pewnej ironii losu, on, niemal sobowtór wzorowego i nieposzlakowanego mecenasa Kraykowskiego, przykładny i zacny mieszczanin, który – jak mi się wydawało – nie miał żadnych powodów, by wchodzić w konflikt ze światem, zmarnował zdolności, rozpił się, a w pewnych okresach upodobił do lumpa, podczas gdy mnie żadna z tych plag nie dotknęła. Gdyby komuś przedstawić nasze punkty wyjścia z czasów studenckich, sądziłby zapewne, że losy dwóch młodzieńców ułożą się akurat odwrotnie. Bujne i nieokiełznane życie zadaje, na szczęście, kłam narzucającym się schematom, nie spełniając opartych na zdrowym rozsądku przewidywań.

Jesienią roku 2001 z wiadomością o śmierci Adama zadzwonił do mnie pewien znany teatrolog; pamiętał, że w tak już odległym czasie studiów byliśmy zaprzyjaźnieni. Sam dowiedział się o niej niemal przez przypadek, nekrolog powiadamiający o dacie i miejscu pogrzebu się nie pojawił, w plebejskim środowisku, w jakie Adam wszedł za sprawą drugiego małżeństwa, nie znano zwyczaju obowiązującego wśród inteligencji i nie ogłaszano w prasie funeralnych zawiadomień. Kiedy dotarła do mnie ta żałobna wieść, przypomniałem sobie, że w mojej świadomości Adam łączył się z *Rapsodią rumuńską* George Enescu. Jej pierwsze takty, nasycone witalizmem, pełne energii i młodzieńczej radości życia, zabrzmiały w mojej głowie tak, jakby były marszem żałobnym. Podobnie było, gdy szedłem na cmentarzu Powązkowskim w niewielkim, złożonym z kilkunastu osób zaledwie, kondukcje pogrzebowym. Ta wewnętrzna muzyka mnie i w tej sytuacji nie opuszczała, mimo że nie było w niej żałobnych tonów.

**I ja miałem
stracone noce**

W okolicach tych znalazłem się po raz pierwszy, w ów dawny czas jeszcze się tam nie jeździło, nie zyskały sławy terenów pięknych i niezwykłych. Znalazłem się w pewnym sensie przez przypadek i nie z własnej woli. Historia, którą zamierzam opowiedzieć, działa się latem 1952 roku. Miałem niespełna osiemnaście lat i pierwszy rok studiów za sobą. A przed sobą – długie wakacje, z którymi nie wiedziałem, co zrobić, jak je wykorzystać, z różnych zresztą przyczyn możliwości były niewielkie, w końcu siedziałem w P. i czytałem książki, pożerałem niebywałą ich liczbę, a w wolnych chwilach oddawałem się kontemplowaniu swej samotności, medytacjom nad wyobcowaniem, które wydawało mi się nie do przełamania, tak jakby ktoś mnie na nie skazał dożywotnio. Dwa tygodnie z tych wakacji mi zagospodarowano, spotęgowano bowiem naciski na studentów, by zaciągali się do brygad żniwnych wysyłanych na Mazury. Zgodziłem się, jak wielu moich kolegów, uczyniłem to jednak niechętnie – z rozmaitych względów, również dlatego, że wiedziałem, iż w pracy fizycznej mocny nie jestem i nigdy nie byłem, do niej po prostu się nie nadaję, ale też z tej racji, że mimo uciążliwej samotności nie lubiłem życia w gromadzie i unikałem go wszelkimi sposobami, zdawałem sobie zresztą już wtedy sprawę, że samotność wśród ludzi bywa bardziej uciążliwa niż samotność przeżywana w izolacji, w odosobnieniu, w którym łatwiej jednak w sobie się pogрузić i – co oczywiste – skryć przed wzrokiem innych, a wzrok taki jest czasem palący i potęguje cierpienie. A więc stałem się przymusowym ochotnikiem i znalazłem się w Państwowym Gospodarstwie Rolnym, na wsi o wdzięcznej i dźwięcznej nazwie Radeczkowo.

Ulokowano nas w dużej sali (słowo to niewłaściwe na określenie tego pomieszczenia, ale nie znam żadnego innego, które byłoby odpowiednie), a więc ulokowano nas w sali zastawionej chyba dwudziestoma łózkami z siennikami wypchanymi słomą i ze starymi, do cna zniszczonymi kocami zapewne z demobilu; nie wiem, czy należała ona kiedyś do dworskich czworaków, czy też była stosownie przerobioną stodołą. Dworu zresztą w okolicy nie było, a PGR-owskie biuro, mieszczące się w odległości kilku kilometrów, kazało myśleć raczej o baraku niż o rezydencji, za dawnych czasów urzędował w nim zapewne rządca, któremu podlegała ta część majątku. Tak więc znalazłem się w sytuacji robotnika rolnego, musiałem się

poddać rygorom nowej, dość dla mnie egzotycznej kondycji, rygorom surowym i ciężkim, choć płacono marnie – za dwa tygodnie wysiłku student dostawał niewiele ponad sto złotych, może sto pięćdziesiąt, nie pamiętam dokładnie sumy. Praca w brygadach żniwnych wynikać przecież winna nie z gonienia za zarobkiem, ale ze szczytnych pobudek ideowych – jej celem było budowanie socjalizmu. Chodziło zresztą także – jestem o tym przekonany – o co innego: student nie miał prawa do wolnego czasu, do trzech miesięcy swobody, do tego, by sobą sam dysponował i znajdował się poza wszelką kontrolą. W głowach tych, których się nie strzeże i nie dogląda, różne myśli się lęgną, a taka choćby tylko dwutygodniowa wyrwa w wakacjach, wypełniona socjalistyczną pracą, dobrze wpływa na kościec ideologiczny, zdecydowanie go umacnia.

Znalazłem się zatem w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Radeczkowo wraz z grupą kolegów z mojego roku polonistyki oraz kilkoma jeszcze z innych wydziałów i jednym z politechniki. Niestety, do grupy tej nie trafił nikt z kolegów, z którymi się zaprzyjaźniłem, choć raczej należałoby powiedzieć: których lepiej poznałem, bo „przyjaźń” to w tym przypadku słowo zbyt wielkie. Dominowali ci, z którymi moje dotychczasowe kontakty były znikome bądź wręcz śladowe. Źle się wśród nich czułem, nie miałem z nimi wspólnego języka. W wolnym czasie rad bym rozmawiać o książkach, o muzyce, o sprawach, które mnie interesowały, ale dla nich nie były one zajmujące, unikali wszystkiego, co choćby pośrednio mogło się łączyć z tym, czym musieli się zajmować na studiach. Miałem takie wrażenie, jakby na ten czas zapominali, że są studentami, i wracali do swojego stanu początkowego, stawali się ponownie prostymi, w większości wiejskimi chłopakami. Co najmniej kilku z nich było ZMP-owskimi aktywistami niskiej zresztą rangi, bo ci ważni mieli na lato lepsze i atrakcyjniejsze zajęcia, pod tym względem przynajmniej miało się spokoj. Raził mnie ich prymitywizm, nie miałem wątpliwości: na studentów się nie nadają, niektórzy zresztą otwarcie przyznawali, że wcale studiować nie chcieli, że posłała ich na uczelnię organizacja młodzieżowa bądź partia. Władza ludowa postanowiła wychować sobie nową inteligencję, wolną od związków z tradycją, ale z silnym poczuciem wdzięczności, co niekiedy dawało oczekiwane rezultaty; sam poznałem osoby, które o sobie myślały tak, jakby poczęte i zrodzone zostały przez Polskę Ludową.

A prymitywizm ten ujawniał się przede wszystkim w gadaniu o seksie na takim poziomie i w takim stylu, jakby czyniła to grupa rekrutów bądź pijaczków przed kioskiem z piwem. Im kto mówił wulgarniej i ostrzej, tym był lepszy. Koledzy opowiadali o swoich doświadczeniach, imaginacyjnych i rzeczywistych, ujawniając niechcący obsesje, marzenia, kompleksy. I słów mocnych nie skąpili. W gadaniu tym się wyżywali, demonstrowali w nim ludową krzepę, bo przynajmniej niektórzy z nich traktowali je w jakiś sposób ideologicznie, jako pokaz swej chłopskiej natury wyzwolonej od pańskich, jakże fałszywych subtelności, otwartej i szczerzej, prostej jak w mordę strzełił. W tym też, czego oni oczywiście świadomi nie byli, przejawiał się pewien paradoks stalinizmu w sferze obyczajowej. Z jednej strony był to reżim potwornie zakłamanym i purytańskim, w czym często przewyższał ideały kruchty, z drugiej dopuszczał sporą swobodę, jeśli ta równała się wotum nieufności wobec tradycyjnych zasad i tego, co głosi Kościół. Nie chodziło tu o niekonsekwencje, stalinowcy byli niekonsekwentni tylko w takich sytuacjach, kiedy przynosiło im to korzyści. A w tym przypadku przynosiło, bo pozwalało na różnorakie manipulacje. Można było wyrzucić z posady profesora uniwersytetu za romans z asystentką pod pretekstem naruszenia zasad moralności socjalistycznej, ale można było tego romansu nie zauważać, gdy ów profesor był osobą dobrze widzianą. W każdym razie moi koledzy z brygady żniwnej, a wśród nich gorliwi aktywiści, mogli być raczej pewni, że z powodu swego wulgarnego gadania w organizacji młodzieżowej przykrości mieć nie będą.

Dla mnie jednak stało się ono problemem nawet nie dlatego, że mnie drażniło, wydawało się niezbyt kulturalne czy po prostu nudne, ostatecznie mogłem się mentalnie wyłączyć, nie słuchać – i myśleć o niebieskich migdałach. Niewątpliwie mogłem, mój problem wszakże polegał na czym innym; nie na tym, że nie potrafiłem się wyłączyć, ale na tym, że nie byłem w stanie się włączyć. Nie byłem w stanie z wielu względów, także z tej racji, że język, którym ze swoistą maestrią operowali koledzy, nie był moim językiem, nie panowałem nad nim, izolowałem się od rówieśników, nie zarysowała się więc okazja, by się go nauczyć. Ten względ językowy nie był, rzecz jasna, najważniejszy, tym bardziej że przyswojenie sobie kilkunastu wulgaryzmów nie sprawiłoby mi trudności. Gdybym się jednak w te pogwarki włączał, musiałbym udawać kogoś innego, niż jestem, tego zaś nie chciałem, a gdybym nawet chciał, to z pewnością bym nie potrafił.

Milczałem, konsekwentnie milczałem także wówczas, gdy ten czy ów chciał mnie sprowokować do gadania, a więc sprawić, bym puścił farbę. Byłem już wtedy świadom swej inności, wiedziałem, że określa ona moją egzystencję. Pierwszym odruchem od momentu, w którym bez złudzeń pojąłem, kim jestem, było ukrywanie tej mojej tajemnicy, a główną troską stawało się to, by nikt mnie nie zdemaskował i nie dowiedział się, co głęboko w sobie noszę. Ukrywanie nie szło jednak tak daleko, bym udawał kogoś innego, niż jestem, symulował uwodzenie dziewcząt czy opowiadał niestworzone historie o swych erotycznych podbojach. Muszę powtórzyć: tego nie chciałem, a gdybym nawet chciał, tobym nie umiał. Zachowywałem się biernie, tak jakby ta dziedzina życia mnie nie dotyczyła, czym oczywiście się demaskowałem przynajmniej w oczach osób bardziej dociekliwych, ale nad takimi komplikacjami w tamtych młodych latach jeszcze się chyba w ogóle nie zastanawiałem. W każdym razie w Radeczkowie w czasie tych nocnych pogwarek przed zaśnięciem nie puszczałem z ust pary.

Szybko zorientowałem się, że to moje milczenie kolegów irytuje, nie wykluczam, że odbierali je jako formę wywyższania się; byłem dla nich inteligencikiem, którym w głębi duszy pomiatali i gardzili, bo to im przecież, przybyszom ze wsi, oficjalna ideologia schlebiała, wmawiając, że stanowią sól ziemi. Nie lubili mnie, traktowali jako kogoś, kto do ich towarzystwa nie przystaje. Wszystko to jeszcze bardziej potęgowało moje poczucie wyobcowania. Praca w polu czy jej pozorowanie, bo w tamtych czasach nawet wysiłek wielokroć był jedynie na niby, sprawiały mi trudności, ale jeszcze większych trudności – z innych powodów – przysparzał czas wolny. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić, wieczorami czytać się nie dało, bo nie było elektryczności, zresztą nie wziąłem ze sobą dostatecznej liczby książek. Mimo że wciąż wśród ludzi (aż do obrzydzenia!), czułem się tak, jakbym się znalazł w pustce całkowitej, a wokół mnie nie było niczego więcej ponad wrogie powietrze.

Dzisiaj jestem pewien, że łączyłem w sobie kompleks niższości z kompleksem wyższości. I taka mieszanka, niedogodna dla otoczenia, ale przykra także dla tego, kto musiał z nią żyć, niewątpliwie w jakiejś mierze wpływała na moje zachowania. A przy tym nie piłem wódki, moi koledzy zaś w niektóre przynajmniej wieczory popijali, choć – przyznać muszę – umiarkowanie. Nie pił także Zbyszek Dziubak, ów jedyny chłopak z politechniki, o którym już wzmiankowałem. Ja nie piłem, bo za wódką nie

przepadałem, zwłaszcza zaś nie lubiłem tej najgorszej, którą w tamtych czasach nazywano strażackim likierem, nie gustowałem też w specyficznej atmosferze, jaka tym libacjom towarzyszyła. Z jakich powodów nie pił Zbyszek, nie wiem, z pewnością nie ze względu na przeciwwskazania medyczne, wydawał się bowiem okazem zdrowia i chyba nim był. Myślę, że dlatego, iż wywodził się z harcerstwa, które było głównym przeżyciem jego późnego dzieciństwa i wczesnej młodości, pragnął więc pozostać wierny wskazaniom i naukom, jakie wówczas przyswoił. Był przy tym zamiłowanym sportowcem, choć nie uprawiał żadnej dyscypliny wyczynowo. W Radeczkowie mógł z łatwością dawać upust swej pasji do pływania i rzeczywiście wykorzystywał na nie wszystkie wolne chwile – i przed pracą, i w przerwie, a także wieczorem, mimo zmęczenia. Nie znam się na tym, wydawało mi się jednak, że Zbyszek pływa wyjątkowo sprawnie. Przyglądałem się jego ruchom z zaciekawieniem i przyjemnością, a gdy dawał nura pod wodę, bałem się, że nie wypłynie i jego harce skończą się nieszczęściem. Wypływał, a ja z fascynacją, którą starałem się za wszelką cenę ukryć przed kolegami, ale w jakimś stopniu również przed sobą samym, spoglądałem na jego piękne ciało. I nie mogłem nie patrzeć; jakby samo przyciągało moje spojrzenie. Ukradkowe, choć zarazem intensywne, dyskretne, ale też uporczywe.

Zbyszek, oczywiście, nie wiedział, jak bardzo mi się podoba, a nawet gdyby zdawał sobie z tego sprawę, z pewnością nie potrafiłby zrozumieć sytuacji, lubił jednak moje towarzystwo i niewątpliwie mnie wyróżniał, może dlatego, że i jego drażniła ta rozkrzyczana i wulgarna studencka banda. Chyba dobrze się ze mną czuł, tak że kiedy owe dwa tygodnie przymusowego ochotnictwa zbliżały się do końca, byliśmy zaprzyjaźnieni. O wiele sprawniejszy i efektywniejszy w pracy na polu, wziął mnie za pomocnika, co miało także znaczenie praktyczne, bo już nie zgłaszano pretensji, że nie nadążam, nie czepiano się, że zadania swe wykonuję wyjątkowo niezdarnie, jak ostatni oferma. Nie chodziło nawet o to, że pod jego okiem ni z tego, ni z owego zacząłem lepiej pracować. Myślę, że rzecz była w czym innym, on potrafił pracę sensownie rozplanować, dobrze zorganizować, nadać jej właściwe tempo. Skądinąd jego bliska obecność była dla mnie niekwestionowanym bodźcem.

Sporo ze sobą gadaliśmy, choć – przyznać muszę – rozmowa nie zawsze się kleiła; wspólnota doświadczeń i zainteresowań, a jest to warunek wszelkiej

dobrej rozmowy, była w naszym przypadku niewielka. Zbyszek, dwa lata ode mnie starszy, lubił powracać do lat okupacji, które stały się dla niego czasem pierwszych wtajemniczeń i pierwszych działań; nie był oczywiście – dziecko jeszcze – bojownikiem, ale już w czymś pomagał, opowiadał mi, że czasem roznosił w swoim miasteczku konspiracyjne gazetki (pochodził z któregoś z niewielkich miast północnego Mazowsza, ale zapomniałem z którego, może z Raciąża, może z Rypina?). Ja o swoich doświadczeniach z tamtych lat nie wspominałem, nie robiłem tego w kontaktach ze Zbyszkiem, nie robiłem tego w kontaktach z nikim może poza tymi, co do których byłem pewien, że mają na swym koncie podobne przeżycia. Nosilem w sobie strach, który był silniejszy ode mnie, w istocie nosilem wciąż w sobie okupację z całym jej bagażem, a więc z gettem i z ukrywaniem się po aryjskiej stronie. Był to strach paralizujący, obezwładniał mnie, nie mówiłem więc o swoim pochodzeniu i okupacyjnych przypadkach nie dlatego, że pragnąłem cokolwiek ukryć; nie mówiłem, bo nie mogłem. To skołowacenie języka trwało jeszcze długo, a siedem lat po wojnie, w mazurskim PGR-ze Radeczkowo, jak wszędzie, gdzie przebywałem, było bardzo silne. Bałem się, że kiedy ujawnię, kim jestem, zostanę odrzucony i w konsekwencji moje wyobcowanie jeszcze się spotęguje. Kryło się za tą dyskrecją przerażenie, wyniesione z tamtych lat, to prawda, nie wszystko było w nim jednak tak całkiem pozbawione podstaw, o tym przekonały mnie przykre doświadczenia. Nie sądzę, by Zbyszek ode mnie się odsunął czy wręcz spektakularnie mnie odtrącił, gdyby znał moje tajemnice, nie mówiłem mu jednak o nich, bo – powtarzam – nie mogłem, nie byłem w stanie. Milczałem; lata mojego okupacyjnego dzieciństwa stawały się wielką białą plamą.

Kontaktu nie ułatwiało także to, że mieliśmy całkiem różne zainteresowania. On studiował budowę maszyn (jakich, nie umiem powiedzieć), ta dziedzina wiedzy niewątpliwie go pasjonowała, miał z sobą jakiś pełen wykresów i technicznych rysunków podręcznik, do którego chętnie zaglądał (po wakacjach czekał go jeszcze egzamin). Ale to nie był temat do wymiany zdań, przynajmniej ze mną. Trudno się jednak rozmawiało o tym, czym ja żyłem, czyli o literaturze i muzyce. Miał o tych dziedzinach słabe wyobrażenie, choć dobrze pamiętał lektury szkolne i umiał przywołać w odpowiedniej chwili taki czy inny cytat z *Pana Tadeusza*. Czytał jednak niewiele, nic prawie. Zachował w pamięci te książki, którymi zachwycali się dorastający chłopcy w okresie tuż powojennym: *Dywizjon 303*, *Dziękuję ci*,

kapitanie, L jak Lucy i może jeszcze jakieś inne. Niektóre z nich znałem, ale dawno z lektur takich wyrosłem, nie był to więc dogodny temat rozmowy. Wyrósł z nich także Zbyszek, a wspominał te książki dlatego przede wszystkim, że nie poznał innych. Nad Trylogią jednak panował znakomicie i do niej mógł się odwoływać; niewykluczone, że była książką jego życia. Nie jestem świadom, czy wtedy o tym pomyślałem, ale dzisiaj nasuwa mi się to z całą mocą: gdyby Zbyszek miał o kilka lat więcej, przybrałby z pewnością sienkiewiczowski pseudonim, nazwał by się Kmicicem czy Skrzetuskim i byłby dzielnym bojownikiem Szarych Szeregów, może partyzantem, może warszawskim powstańcem. Był stworzony na AK-owca, to przecież tacy chłopcy zaciągali się w szeregi – i ginęli. Był nie tylko ze względu na wiek, także na wygląd i sposób zachowania. Łączył w sobie dwie tradycje: romantyczną i taką, którą nazwałbym swojskopszeniczną, małomiasteczkową, dworkową. Mógłby stać się uosobieniem polskości. Należał do pokolenia, które, choć żyło w kraju niesuwerennym, nie miało już danych, by rzucać na stos swój życia los, nie musiało stawać do walki. Zbyszek studiował z pasją konstrukcję maszyn, pragnął zostać inżynierem.

A był tradycyjnie sienkiewiczowski we wszystkim, nawet w tym, co wydawać się mogło przypadkowe. Jego dziewczyna na imię miała Basia. Nie określał jej jednak słowem „dziewczyna” czy „babka”, mówił staroświecko „moja narzeczona”, choć dodawał, że nie jest jeszcze formalną narzeczoną, bo zaręczyn nie było. Znał ją jeszcze ze szkoły, wiele o niej mówił, a także pokazywał zdjęcia. Była jasną blondynką o niebieskich oczach i otwartej twarzy. Robiła sympatyczne wrażenie, mogło się wydawać, że jej przyjemna, ale nieskomplikowana, chciałoby się powiedzieć: sielska, fizjonomia doskonale do Zbyszka pasuje. Pisywał do niej często, ale miał kłopoty z wysyłaniem listów, w pobliżu nie było poczty. Najbliższa skrzynka, opróżniana dwa czy trzy razy w tygodniu, znajdowała się tam, gdzie biura PGR-u, a więc w sporej odległości. Gdy się pojawiał któryś z urzędników, prosiliśmy o wrzucenie listów. Tego dnia nikt się jednak nie pojawił, więc Zbyszek mi zaproponował, bym po pracy poszedł z nim do skrzynki. Chętnie się zgodziłem, w pośpiechu napisałem krótki list do rodziców.

Wyruszyliśmy przed ósmą, szliśmy niespełna dwie godziny, na żadne kłopoty nie natrafiając, droga wydała nam się prosta. O możliwości zabłądzenia żaden z nas nie myślał, nie braliśmy jej pod uwagę. Bo jak można zagubić się na drodze, którą już się zna. Nastąpiła noc, noc wyjątkowo

ciemna, choć bezchmurna, gwiazdy nie dawały światła, a księżyc nie było. Gęstej ciemności nie rozświetlała żadna lampa, znajdowaliśmy się w przestrzeni bezludnej, na polnej drodze. I choć liczyliśmy się z tym, że wrócimy późno, nie wzięliśmy z sobą latarek, być może zresztą ich nie mieliśmy. Mniej więcej po godzinie powrotnego marszu zaczęliśmy się niepokoić, bo droga dziwnie się wydłużała, powinniśmy już dawno minąć te punkty, które zapamiętaliśmy, ruiny jakiegoś niezamieszkanego domostwa czy odchodzącą w bok aleję wysadzaną dużymi, rozrostłymi drzewami; były to – jeśli pamiętam – dęby. Miejsc tych nie mogliśmy nie dostrzec nawet w tej gęstniejącej i coraz groźniejszej ciemności. A jednak ich nie było! Pojawiały się natomiast jakieś inne znaki szczególne, których, idąc do skrzynki, nie zauważyliśmy. Postanowiliśmy wszakże iść dalej, bo myśl, że pomyliliśmy drogi, wciąż nam się wydawała absurdalna. Dopiero po jakimś czasie zaczęliśmy sobie zdawać sprawę ze smutnej rzeczywistości. Mnie ogarnęło zdenerwowanie, momentami bliski byłem wpadnięcia w panikę, Zbyszek nie tracił spokoju, utrzymywał, że ma dobrą orientację w przestrzeni i że w harcerstwie uczono go, jak się poruszać po nieznanym terenie w nocy. Nie ma sprawy, pocieszał mnie, zaraz będziemy na miejscu. Ale wkrótce i jego opuścił optymizm. Stwierdził, że nie wie, gdzie jesteśmy (ja nie wiedziałem od dawna). Pojęliśmy, że nie ma sensu kontynuowanie marszu, bo niewykluczone, że oddalamy się od szopy, w której nas zakwaterowano, albo nawet idziemy w przeciwnym kierunku. Zastanawiało nas, jaki popełniliśmy błąd, że znaleźliśmy się na terenie nieznanym, na to pytanie tymczasem jednak odpowiedzi nie było. Miałem uczucie, które powtarzało się i później, gdy błądziłem po nieznanym wielkich miastach, że przestrzeń poprzekręcał złośliwy i podstępny duch, jakiś szkaradny diabeł, co się na mnie zawzięło i wszystko poplątało. W mieście można zapytać o drogę, tutaj to niemożliwe, pustka wokół, nie było w bliskiej odległości żadnej zamieszkanego chałupy, wszędzie pola, pola, pola... W pewnym momencie usłyszeliśmy dalekie wycie psa, ale to przecież nie musiało świadczyć o tym, że w pobliżu jednak ktoś mieszka. W okolicy podobno widuje się wilki. Spotkanie z wilkiem byłoby z pewnością czymś najmniej potrzebnym.

Ciemność stawała się coraz gęściejsza, a do tego zaczął nam dokuczać chłód ostry i przeszywający. Ubrani lekko, w krótkich spodniach, w koszulkach z krótkimi rękawami, od pewnego momentu drżeliśmy z zimna, zdumieni, że po upalnym dniu następowała noc nie tylko zadziwiająco

ciemna, ale tak przenikliwie chłodna, jakby pobliskie jeziora emanowały zimnem zmagazynowanym w swych wodach. Zbliżała się północ. I skoro postanowiliśmy się zatrzymać, bo nie wiemy, jaki kierunek jest właściwy, musieliśmy podjąć kolejną decyzję: co robimy z sobą do świtu, a więc przez następne trudne godziny. W pobliżu nie było żadnych zabudowań, choćby zrujnowanych, w których moglibyśmy się skryć, by przetrwać ten dłużyący się czas. Na jednym z pól zobaczyliśmy zboże powiązane w snopki i poustawiane w stogi. Zbyszek zdecydował, że zrobimy sobie z tych snopków leże i położymy się obok siebie, by ziąb mniej nam dokuczał. Tak też się stało.

Dla niego w tym postanowieniu nie było nic niezwykłego i niepokojącego, wynikało ono wyłącznie ze względów praktycznych, sądził niewątpliwie, że taki sam charakter będzie miało dla mnie, zapewne nawet na myśl mu nie przyszło, że może być inaczej. Było jednak inaczej. Nagle zdałem sobie sprawę, że znajdę się w zadziwiającej bliskości mojego kolegi, co budziło radość i fascynację, ale też wiązało się ze zrozumiałym strachem i przerażeniem. Sytuacja niby zapewniała mi choćby częściową realizację marzeń, ale narażała na cierpienie. Wreszcie ułożyliśmy się na niewygodnych snopkach w dziwnych pozach, tak by się najskuteczniej bronić przed zimnem. Zmęczony Zbyszek usnął natychmiast; ja byłem równie wyczerpany, zmrużyć oka jednak nie mogłem. Nie miałem jeszcze wówczas żadnych doświadczeń, byłem zakompleksiony i wystraszony, ta sytuacja dawała mi przynajmniej jakąś namiastkę, choć byłem świadom, że nie zwieńczy jej spełnienie. Od samego początku wiedziałem, że ta noc wśród pól, przypadkowa i niespodziewana, skończy się moją klęską, bo niczym innym skończyć się nie może, nie miałem jednak takiej siły woli, by zrobić coś, żeby nadchodząca klęska była mniejsza, a więc odsunąć się od Zbyszka, wstać czy usiąść na przydrożnym kamieniu. Przeciwnie, przysuwałem się do niego coraz bardziej, przyciągał mnie tak, jakby miał w sobie magnes; stawałem się bezwolnym kawałkiem żelastwa. Tak też się czułem – jednocześnie szczęśliwy, przerażony, przeżywający w tajemnicy swoje podszyte fascynacją cierpienie. A bałem się, panicznie się bałem jeszcze jednego: że budzący się co pewien czas Zbyszek dostrzeże moje podniecenie, w jakiś sposób je odczuje i z właściwą sobie prostodusznością zapyta, co się właściwie dzieje. Nie umiałbym odpowiedzieć, prawdopodobnie bym zapewniał, że coś mu się wydaje. Na szczęście, może przez delikatność, pytania takiego nie zadał.

W miarę jak płynął czas, moje cierpienie nabierało wymiaru fizycznego, stawało się natrętnym i dokuczliwym bólem. Niezaspokojone podniecenie miało i takie konsekwencje, o czym może już coś wiedziałem, nie przypuszczałem jednak, że natężenie bólu stanie się tak wielkie. Gdy zrobiło się jasno, Zbyszek zdecydował, że należy ruszać w drogę. Nadal nie wiedzieliśmy, w którą iść stronę, on objął przewodnictwo, a ja zawierzyłem jego harcerskim sprawnościom i umiejętnościom. Jeszcze trochę błędziliśmy, ale wreszcie znaleźliśmy właściwy kierunek. Zbyszek nadał naszemu marszowi spore tempo, trzeba było zdążyć do pracy, a zaczynała się o siódmej. Prosiłem, by zwolnił, prośbę swą tłumaczyłem zmęczeniem. Ból był tak straszny, że właściwie uniemożliwiał chodzenie, wydawało mi się, że staje się coraz silniejszy. To, że w ogóle się poruszałem, wynikało z narzuconej sobie dyscypliny czy wręcz przymusu. Nie chciałem pokazać, że cierpię, w ogóle nie chciałem, by Zbyszek spostrzegł, że w ciągu tej nocy, która jemu kojarzyła się jedynie z niewiele znaczącą, błąhą ze swej natury wakacyjną przygodą, coś się ze mną stało, że zaszła we mnie jakaś zmiana, której niczym nie potrafiłbym wytłumaczyć. A to cierpienie fizyczne, którego w takim natężeniu nie zaznałem już chyba nigdy, potem zostało w mojej pamięci – tak zresztą jak jego niezawiniony sprawca – na zawsze. A raz przypomniałem sobie o nim ze szczególną intensywnością; było to chyba dziesięć lat później, kiedy czytałem *Drogi wolności* Sartre'a. To bolesne doświadczenie przedstawił on sugestywnie i z dużą znajomością rzeczy.

Zdążyliśmy. Zjawiliśmy się w miejscu, gdzie zbierała się nasza brygada, gdy dochodziła siódma. W pośpiechu coś zjedliśmy, umyliśmy czubek nosa i wyruszyliśmy na pola. Koledzy zauważyli naszą nocną nieobecność, pytali, co się stało, a potem potoczyło się wszystko zgodnie z rutyną. Udawałem, że nic się nie zdarzyło, tego dnia jednak – psychicznie i fizycznie wyczerpany – pracowałem jeszcze mniej sprawnie niż zwykle, z trudem poruszałem się w upale i nie mogłem zapanować nad bólem, a potem – nad sennością.

Nasz żniwny turnus zbliżał się ku końcowi, pozostało jeszcze do odpracowania pięć dni. Niezwykła noc, która dla mnie stała się czymś ogromnie ważnym, jakoś mnie ze Zbyszkiem połączyła, do wyjazdu trzymaliśmy się razem. Cieszyło mnie to choćby dlatego, że wśród kolegów, z którymi się znalazłem w PGR-ze Radeczkowo, był jednym z niewielu sympatycznych chłopaków. O niczym mu nie powiedziałem. Nie powiedziałem, bo nawet gdybym chciał to uczynić, tobym nie umiał, nie

byłem na takie sytuacje psychicznie przygotowany, umarłbym chyba wpięrow ze strachu i ze wstydu, zanimbym go uświadomił, do jakich wymiarów urosła we mnie ta letnia noc spędzona z nim wśród mazurskich pól. Doznawałem wewnętrznego paraliżu, a w konsekwencji pierwszym odruchem było ukrywanie się; moja młodość przypadła na czas, kiedy w tego rodzaju ludzkiej kondycji widziano zboczenie i surowo je potępiano (w tym miejscu rygory stalinowskie nakładały się na pouczenia głoszone przez Kościół katolicki, no i na kołtuńskie przesady). W sposób niemądry, wręcz fatalny w skutkach, przyswoiłem sobie obiegowe mniemania i w nie uwierzyłem, choć je odrzucałem. Ale nie powiedziałem Zbyszkowi o tym wszystkim także dlatego, że byłem pewien, iż nic by nie zrozumiał. Ten rodzaj doświadczeń nie mieścił się w jego harcersko-sienkiewiczowskiej wizji świata, drastycznie wykraczał poza jego myślowy i moralny horyzont, nie przystawał do tego porządku, który on uznawał za oczywisty i naturalny. Dobry harcerz pozostaje na takie rzeczy zamknięty.

Rozstawałem się ze Zbyszkim w przyjaźni. On jechał do swojego miasteczka, owego Raciąża czy Rypina, ja – do P. Wymieniliśmy adresy, postanowiliśmy, że się skontaktujemy, gdy rozpocznie się rok akademicki (Zbyszek mieszkał w domu studenckim przy placu Narutowicza). Nie skontaktowaliśmy się jednak, choć może stałoby się inaczej, gdybyśmy mieli telefony, bo zadzwonić zawsze łatwiej niż pisać czy przychodzić bez zapowiedzi. Nigdy już go nie spotkałem, nie wiem, czy ożenił się z Basią, którą kochał nad życie całą swą nieskomplikowaną duszą, nie wiem, jak potoczyły się jego losy. Przez jakiś czas często o nim myślałem, zrobił na mnie wrażenie, a ponadto, niezależnie od wszystkiego, wzbudził moją sympatię w jakiejś mierze także dlatego, że odznaczał się cechami, których brak u siebie zawsze z niechęcią konstatowałem, a więc prostodusznością, otwarciem na świat i wzruszająco do niego naiwnym stosunkiem. A nie odnowiłem znajomości również ze strachu, bałem się bowiem, że właduję się w historię, która nie może mi przynieść niczego dobrego. Nie umiałem rozegrać żadnej sytuacji, ale przynajmniej złudzeniom nie ulegałem i pewnego typu fantazmatów w sobie nie hodowałem.

W domu wróciłem do swych lektur. W połowie września miałem egzamin z literatury powszechnej od Homera do początków XVIII wieku. Wykład prowadziła pani profesor Zofia Szmydtowa, uczona starej daty, jedna z nielicznych, którzy na ówczesnym uniwersytecie nawet nie udawali, że

pragną przyswoić sobie reguły stalinowskiego marksizmu. O literaturze mówiła z przejęciem, a o swoich ulubionych pisarzach, przede wszystkim o Cervantesie, wręcz z egzaltacją – i cieszyła się dużą sympatią studentów. Lektur obowiązkowych było niewiele, przygotowanie do egzaminu nie sprawiało więc trudności, postanowiłem jednak, że wykorzystam okazję i czytałem różne dzieła należące do literatury dawnej i najdawniejszej. Nie rzuciłem jednak w kął literatury współczesnej, miałem sporo czasu, sięgałem przeto po różne utwory z poprzednich dziesięcioleci. Ale nie po nowości, te bowiem, wcielając w życie reguły przodującej metody twórczej, zwanej realizmem socjalistycznym, były mało pociągające, a mówiąc bez ogródek, śmiertelnie nudne. Książki z dwudziestolecia i z pierwszych lat powojennych, kiedy obowiązującej doktryny jeszcze nie było, czytało się wówczas z zachłanną ciekawością i przeciw socrealizmowi (skrót tego zresztą wtedy nie znano, wszedł w użycie po roku 1956). Wypożyczałem je z miejskiej biblioteki w P., dobrze prowadzonej i dość zasobnej także w pozycje dawniejsze, bo nie ucierpiała ona wiele w czasach okupacji, a i czystki stalinowskie, obejmujące przecież także książki, dotknęły ją w stopniu niewielkim.

I z tej właśnie biblioteki w P. wypożyczałem pozycje jeśli nie całkiem niedozwolone, to skazane na zapomnienie jako literatura burżuazyjna, niesłuszna, daleka od socjalistycznych ideałów. Tego lata, jeszcze przed wyjazdem do Radeczkowa, przeczytałem *Ferdydurke*, po powrocie zabrałem się do opowiadań Iwaszkiewicza. W *Nowelach włoskich* przyciągnęło moją uwagę zwłaszcza jedno: *Stracona noc*, mam je zresztą do dzisiaj we wdzięcznej pamięci i czasem do niego powracam. Zakochany w swej gospodyni młody człowiek traci noc przez delikatność i przez niespodziewany bieg wypadków, a zyskuje ją ktoś inny, pełen energii i pozbawiony skrupułów. Wiedziałem, oczywiście, że moja noc na mazurskich polach była stracona w inny sposób i z innych powodów, nie mogłem jej jednak nie porównać do tej, o której opowiedział Iwaszkiewicz. Zdawałem sobie sprawę, że niezależnie od moich zachowań i poczynań nie miałem żadnych szans, ta noc stracona była przecież z góry. I teraz z żalem i smutkiem myślę o straconych nocach i straconych dniach... A właściwie o głupio zmarnotrawionej młodości.

Bar Ganimed

Kiedy przyjechałem do tego wspaniałego miasta, jedną z pierwszych rzeczy, jaką uczyniłem, było kupno niewielkiego informatora, który miał zawierać – tak w każdym razie go reklamowano – wszystkie podstawowe wiadomości dla kogoś, kto zamierza przemieszkać tu czas jakiś. Dla mnie była to po prostu pozycja wymarzona, skoro miałem tu spędzić okrągły rok. Nie była ona przewodnikiem w ścisłym sensie, choć zawierała spis muzeów, gromadzących wspaniałe zbiory sztuki z różnych epok, a także dość szczegółowo wyliczała najświetniejsze zabytki, wyróżniając te, których obejrzenie jest absolutnie konieczne, bo kto ich nie zwiedzi, nie będzie miał prawa twierdzić, że zna miasto; więcej, nie może utrzymywać, że choćby otarł się o to, co stanowi jego chlubę. W książce dominowały jednak informacje praktyczne. Szeroko rozpisywano się o miejskiej komunikacji, dając szczegółowy spis tramwajów i autobusów, informowano o domach towarowych, charakteryzując najbardziej znane i największe, nie zapomniano o szpitalach i różnego rodzaju przychodniach, tak by przybysz wiedział, gdzie szukać pomocy, gdyby coś mu się przytrafiło, nie zaniedbano aptek, a w ich spisie zaznaczono, które otwarte są w nocy i w święta. Publikacja tak została pomyślana, by dla przyjeźdźcy stać się czymś niezbędnym.

Autorzy informatora nie zlekceważyli miejsc rozrywki. Wzięli pod uwagę, to oczywiście, wysoką kulturę, a jej przybytków w mieście nie brakowało, by wspomnieć choćby monumentalną filharmonię, zbudowaną w ostatnich dekadach XIX wieku w stylu nieco eklektycznym; wiedziałem o niej od dawna; we wspaniałej sali dawała koncerty i nagrywała płyty jedna z najświetniejszych europejskich orkiestr. Okazały gmach z czerwonej cegły był pierwszym z owych przybytków, jaki zaraz po przyjeździe odwiedziłem, by przez rok stać się jego bywalcem. Szeroko informowano o teatrach i kinach, ale też o cyrkach, kabaretach, rewiach. Także i w tej dziedzinie przybysz na szczupłość propozycji nie mógł narzekać, przeciwnie, ja przynajmniej czułem się nimi zarzucony; ta obfitość w mieście, które jest wprawdzie ważnym ośrodkiem międzynarodowym, ale ma mniej niż milion mieszkańców, działać mogła wręcz oszałamiająco, bo czasem na nadmiar, z którego trzeba wyłuskać to, co wydaje się interesujące czy ważne, odpowiada się zagubieniem i poczuciem bezradności. Ja niekiedy reagowałem na taką niezwykłą abundancję w ten właśnie sposób.

To wszakże nie koniec, w tej niewielkiej, ale niezwykle pożytecznej i pojemnej książeczce pomieszczono informacje o tym, co z natury rzeczy

mogło interesować tylko nielicznych. A więc na przykład zbieracz znaczków pocztowych mógł się dowiedzieć, gdzie mieści się klub filatelistyczny, hodowca róż mógł poznać adres towarzystwa grupującego miłośników tych kwiatów, a entuzjastów muzyki nowoczesnej powiadamiano, że działa organizacja złożona głównie z kompozytorów i krytyków, której celem jest zwalczanie poczynań słynnej miejscowej filharmonii, zamkniętej (chciałoby się powiedzieć: „głuchej”) na wszystko, co nowe i awangardowe. Mnie zaś zafascynowała i zdumiała wiadomość następująca: dla panów o pewnego typu upodobaniach działają w mieście takie oto bary i kluby; wymieniono je, podając adresy. Posłużyłem się tu eufemistyczną parafrazą, w informatorze jej nie było, pisano otwarcie: „pour les homosexuels” (kupiłem jego francuską wersję).

Przybyłem z kraju, w którym o tego rodzaju sprawach się nie mówiło, a publiczne wymienianie miejsc, w jakich „pedały” czy „cioty” mogą spotykać się jawnie, bez żadnych kamuflaży i ograniczeń, było wręcz nie do pomyślenia, wykraczało poza rejony prawdopodobieństwa. Zdawałem sobie sprawę, że taka otwartość i na Zachodzie jest czymś świeżym, że stała się możliwa za sprawą rewolucji obyczajowej końca lat sześćdziesiątych, dzięki wielkiemu ruchowi kontestacji, obalającemu zmurszałe konwencje i przyzwyczajenia, kwestionującemu to, co jeszcze do niedawna stanowiło tabu, jakiego pod żadnym pozorem nie wolno było naruszać. Myślę, że w przewodniku po metropolii, która na pewien czas stała się jednym z głównych hippisowskich centrów, wydanym dziesięć lat wcześniej, na podawanie tego rodzaju informacji mało kto by się zdecydował.

Owe informacje „pour les homosexuels” poruszyły wyobraźnię, choć mnie nie zaskoczyły, wiedziałem, że lokale takie istnieją, bo przecież wcześniej byłem tu i ówdzie na Zachodzie, ale nigdy do nich nie zaglądałem, nawet nie miałem pokus w tej materii. Tutaj jednak one się zrodziły, związane zresztą bardziej z ciekawością niż z nadziejami, że spotkam księcia z bajki i w ten sposób zapełnię pustkę, w której znajdę się przez najbliższy rok, przewycięzę samotność, jaka niechybnie i w tym nowym otoczeniu mnie dopadnie, stanie się moim udziałem i tak jak zawsze, w każdej sytuacji, będzie za mną, przede mną i przy mnie. A więc po prostu mnie ciekawiło, jak miejsca o tak specyficznym przeznaczeniu wyglądają, jak się prezentują, co naprawdę się w nich dzieje. Jakie osoby tam bywają, bo te przybytki są chyba dostępne dla każdego, kto zechce przyjść, skoro adresy znajdują się

w informatorze wydawanym dla tak licznie zjawiających się w tym mieście cudzoziemców?

Otwierałem książkę na tej stronie wielokrotnie, tak jakbym sądził, że znajdę na niej jeszcze coś dodatkowego, że wyczytam jakieś treści, które do tej pory umykały mojej uwadze, a są szczególnie doniosłe i pociągające. Do niczego specjalnego jednak, rzecz jasna, nie dotarłem, nazwom owych miejsc spotkań i adresom komentarze nie towarzyszyły, brakowało czegoś, co nazwać by można w stylu aż nadto urzędniczym informacjami uzupełniającymi. Nauczyłem się tego wszystkiego już niemal na pamięć. I podjąłem decyzję: pójdę do baru Ganimed. Różne o tym decydowały względy; przebywałem w mieście od niedawna, może od dwóch, może od trzech tygodni, nie poznałem go jeszcze, orientowałem się tylko jako tako w tej solidnej i spokojnej mieszczańskiej dzielnicy, w jakiej zamieszkałem, oraz w pewnych rejonach gęsto zabudowanego śródmieścia, przede wszystkim bliskich gmachu, gdzie mieścił się wydział slawistyki, który zechciał mnie zatrudnić. Ów bar znajdował się w pobliżu, trafienie do niego nie sprawiłoby mi kłopotu, tym bardziej że na tym początkowym etapie nie ruszałem się nigdy bez planu miasta. Stanowił on swego rodzaju gwarancję bezpieczeństwa, miałem pewność, że z jego pomocą zawsze odnajdę właściwą drogę, nie zagubię się w plątaninie ulic, uliczek, zaułków poprzecinanych kanałami.

Ale nie tylko położenie baru zdecydowało o moim wyborze. Zafascynowała mnie także nazwa. Pamiętałem mit o Ganimedzie, pięknym młodzieńcu („najpiękniejszym z śmiertelnych” – jak się go określa w jednym z kompendiów greckiej mitologii), porwanym na Olimp z rozkazu Zeusa zachwyconego jego niezwykłą urodą. Pamiętałem też o wierszu Goethego, w którym zresztą wątki miłości Boga do nadobnego efeba nie odgrywają żadnej roli. Wiersz ten, wyznać muszę, nie wywarł na mnie większego wrażenia, zwłaszcza że znałem go w zaiste fatalnym polskim przekładzie, dającym niewątpliwie mętne wyobrażenie o oryginale i pozbawionym wszelkich walorów poetyckich. Wydaje mi się, że utrwalił się on w mojej świadomości jedynie dzięki temu, że posłużył się nim w pięknej, przejmującej pieśni Schubert. Powołanie Ganimeda na patrona baru dawało – jak przypuszczałem – dobre świadectwo temu miejscu. Z pewnością nie jest to mordownia, w której alkohol leje się litrami, ani też punkt schadzek, użyteczny i uczęszczany, bo zawierać w nim można efemeryczne znajomości,

służące jedynie natychmiastowemu wyżyciu się, niemającemu żadnych głębszych konsekwencji.

A więc wybrałem się któregoś popołudnia na tę śródmiejską ulicę, gdzie otwierał swe podwoje bar Ganimed, nie byłem jednak przekonany, że odważę się wejść; być może obejrzę go jedynie z zewnątrz, z dystansu, tak jak od momentu przybycia oglądałem wiele innych osobliwości miasta, z którym dopiero się zapoznawałem. Nie byłem zdecydowany, to prawda, chodziło wszakże o niezdecydowanie niespokojne, pełne napięć, dramatyczne. Bo w istocie chciałem przekroczyć granicę, otworzyć drzwi, przestąpić próg i znaleźć się w środku. Chciałem tym bardziej, że zdawałem sobie sprawę, iż gra toczyła się o coś więcej niż wejście do lokalu, o którym wiem, że ma specyficzny charakter; naprawdę zależało mi na przełamaniu obaw, kompleksów, niemożności, jakie określały moje dotychczasowe życie i fatalnie na nim zaważyły. Gra toczyła się o dokonanie przełomu. Przełomu zasadniczego, ważnego nie tylko ze względu na pobyt w obcym mieście, w którym nikogo jeszcze nie znałem poza paroma osobami ze sławistyki, ważnego dla mojej postawy wobec siebie, życia i świata, postawy w tej przynajmniej dziedzinie biernej, zdającej się na niezależny ode mnie bieg rzeczy, nieaspirującej do oddziaływania na niego. Teraz, z perspektywy ćwierćwiecza, dostrzegam, że wahanie: wejść – nie wejść, miało nie tylko wymiar realny czy praktyczny, miało charakter ogólniejszy, chciałoby się powiedzieć – symboliczny.

Chciałem, szczerze chciałem wejść do Ganimeda, ale jednocześnie nie miałem złudzeń, w istocie wiedziałem, że do otworzenia drzwi i przekroczenia progu się nie zmuszę, że nie będę miał w sobie tyle siły, by przewyciężyć wewnętrzne opory, by je w sobie zdusić i na proch rozbić. To, co się we mnie wówczas działo, porównałbym do zderzenia dwóch frontów atmosferycznych; każdy z nich gromadził ładunki o ogromnej sile wybuchowej, pogodzić ich ze sobą w żaden sposób nie było można ani nawet tak pokierować, by przeszły obok siebie, nie powodując karambolu. Myślę, że wówczas byłem bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek, nerwy po prostu mnie rozsadały, a ciśnienie zapewne osiągnęło poziom w tamtych latach jeszcze mi nieznanym. Czułem, jak krew bulgocze mi w głowie. Nie mogłem nad sobą zapanować, co było tym dziwniejsze i tym bardziej przykre, że sytuacja, w jakiej się znalazłem, nie powstała za sprawą przymusu, nie stanowiła następstwa nieprzewidzianego i nagłego zbiegu przypadków, sam ją

zaaranżowałem, dokonałem wyboru wolnego i nieskrępowanego, bo jeśli były jakieś więzy i pancerze ograniczające swobodę ruchów, to istniały one tylko we mnie i – mógłby ktoś dodać – ode mnie zależały, choć naprawdę to one panowały nade mną, a nie ja nad nimi.

Zbliżyłem się do baru, przeszedłem obok i mu się przyjrzałem. Nietrudno było zauważyć, że w nim prawie pusto, zajrzałem przez okno i stwierdziłem, że zajęty jest jeden tylko stolik: właśnie przy oknie siedzi nad kuflami piwa trzech młodych mężczyzn i nad czymś deliberuje. Już po pierwszym rzucie oka mogłem stwierdzić, że ów bar pod wezwaniem pięknego greckiego chłopca przynajmniej z zewnątrz i o tej porze dnia niczym się nie różni od dziesiątków innych barów znajdujących się w okolicy, niewątpliwie ostro ze sobą konkurujących, takich, których właściciele niecierpliwie czekają na weekendy i dni świąteczne, bo wtedy jest szansa, że zjawi się większa liczba klientów, niespiesznie w czasie pogawędki popijających heinekena, stellę artois czy grolscha. Ta pustka mnie rozczarowała, bo spodziewałem się czego innego, choć niezbyt dobrze wiedziałem czego, ale też stanowiła zachętę: skoro bar był pusty i nie różnił się niczym od tych, które znajdowały się w sąsiedztwie, były podobnie urządzone i przynajmniej w tym czasie równie mało ludne, mogłem spokojnie i bez obaw do niego wejść, jak do każdego innego w okolicy, i poprosić o filiżankę kawy, coca-colę, piwo czy jakikolwiek inny napój. Nie uczyniłem tego jednak, dotknięcie klamki i przekroczenie progu wciąż było dla mnie niemożliwością, linia demarkacyjna oddzielająca dwie przestrzenie z każdą chwilą stawała się grubsza i trudniejsza do przekroczenia.

Nie odszedłem jednak od razu, przeświadczony, że poniosłem klęskę, bo w żadnej mierze i w żaden sposób nie jestem w stanie przewyciężyć oporów, które tkwią we mnie i działają jak gaz paralizujący. Pokręciłem się jeszcze trochę w promieniu kilkunastu czy kilkudziesięciu metrów, obok baru przechodziłem parokrotnie i za każdym razem zapuszczałem żurawia w okno. Zderzenie frontów atmosferycznych osiągało kulminację: wejść – nie wejść, wejść – nie wejść, wejść...? Czuję, jak panowanie nade mną zyskuje Strach i Imaginacja. Chodzi o coś znacznie prostszego i bardziej błahego niż zamach na tyrana, ale jednak milcząco do siebie czy raczej do mocy, jakie nade mną zapanowały, krzycząc: „Puszczajcie mnie, puszczajcie!”. I po chwili konstataję: „ktoś mię za włos trzyma”. Nie mam złudzeń, wiem, że tym kimś jestem ja sam, ale mimo wszystko nie mogę się od niego uwolnić, zdaję sobie sprawę,

że Strach z Imaginacją, występujące w duecie, to tylko projekcje, ale świadomość tego faktu nie pomaga. Myślę o tym, że strach nie ma żadnych realnych uzasadnień, imaginacja zaś w tym przypadku pozbawiona została wszelkich podstaw, ale i to racjonalne spojrzenie w twarz rzeczywistości mi nie pomaga; im jaśniej zdaję sobie sprawę, że nie mam czego się obawiać, tym lęk staje się silniejszy. Nie wiem, co z sobą robić, jakiś magnes mnie jednak przy tym miejscu trzyma. Nie mogę się wyswobodzić, podobnie jak nie jestem w stanie wyzwolić się od wewnętrznych negatywnych fantazmatów.

Przechodząc koło baru, przyglądam się tym trzem mężczyznom, młodym jeszcze, ale nie wyglądającym ani sympatycznie, ani pociągająco. To o kontakty z tego rodzaju figurami miałbym zabiegać? Robią takie wrażenie, jakby spotkali się nie dla popołudniowej pogawędki nad kuflem piwa, ale po to, by omawiać jakieś sprawy ciemne i tajemnicze. Może szykują skok na bank lub jakieś inne przedsięwzięcie w tym rodzaju? Czytywałem wówczas powieści Simenona i przypomniałem sobie powtarzającą się w nich formułę: *mauvais garçons*. A mówiąc całkiem po swojemu – żule. Ale zapytałem siebie: czy odważyłbym się na wejście do Ganimedea, gdyby ci młodzieńcy przypominali anioły z obrazów Fra Angelica? Myślę, że zachowałbym się podobnie, bo przecież moje postępowanie nie zależało wcale lub zależało w stopniu minimalnym od okoliczności, było – muszę to powtarzać nieustannie – pochodną tego, co się działo we mnie. Ale na tym, że zdecydowałem się odejść w siną dal, okoliczności w dużej mierze zaważyły. Owi chłopcy, o których nic nie wiedziałem i nie wiem, zapewne rzeczywiście źli, zauważyli, że się koło baru kręcę i jeśli nawet im się otwarcie nie przyglądam, to rzucam w ich stronę ukradkowe spojrzenia. Dostrzegłem, choć oni byli wewnątrz, a ja na ulicy, więc dzieliła nas granica, której przekroczyć mimo prób nie potrafiłem, że są wyraźnie z tego faktu niezadowoleni, bo myślą może, że ich śledzę, że mnie ktoś nasłał i że w ogóle mam wobec nich jakieś niedobre zamiary. Może zresztą niczego nie dostrzegłem, tylko strach z imaginacją do spółki sprawiły, że ulegałem złudzeniu, że nałożyłem hiperbolizującą interpretację na to, co ci młodzi ludzie robili, a ich po prostu mogło bawić, że jakiś nieznajomy facet, najwyraźniej przerażony, nie chwyta za klamkę, ale pospiesznie odchodzi i że dzieje się tak bynajmniej nie raz tylko. Mogłem im się wydawać figurą komiczną, zachowującą się w sposób intrygująco i irytująco niezrozumiały.

To zainteresowanie okazane mojej osobie przeraziło mnie, bałem się już całkiem serio, że oni, nie pojmując mojego postępowania, nie domyślając się nawet kompleksów, jakie na nim zaważyły, zrobią mi coś złego. Podjąłem natychmiast decyzję, a może nawet ona w jakimś sensie podjęła się sama: opuszczam tę niewielką śródmiejską ulicę, wynoszę się z rejonu, który dla mnie określił bar o pięknej nazwie Ganimed, bar, który chciałem zdobyć, jakby był niedostępną twierdzą, ale mi się to nie udało, nie mogłem zatem powiedzieć sobie: „bar wzięty!”. Wróciłem do domu zły, zawiedziony, przygnębiony. Nawet nie dlatego, że nie ziściły się moje oczekiwania i nadzieje, z tej zaś przede wszystkim racji, że nie zdołałem wymóc na sobie tego, co wymóc chciałem, że nie zdołałem przekroczyć rubikonu, który przecież miał w dużej mierze charakter symboliczny.

I później, po tej klęsce, żadnych podobnych prób nie podejmowałem, wiedziałem, że nie jestem do nich zdolny, a gdybym podjął, ujawniłaby się z równą siłą niemożność, będąca paralizem woli. Ganimeda wyrzuciłem z pamięci, nie udałem się pod żaden inny adres wymieniony w informatorze, nawet nie starałem się choćby od czasu do czasu przejść obok wskazanych miejsc, by ujrzeć przynajmniej, jak wyglądają z zewnątrz. Raz tylko zdarzył się wyjątek, całkowicie przypadkowy. Moja znajoma, emigrantka świeżej daty (przypomniała sobie, że bodaj jej babka była Żydówką, i na tej podstawie z Polski wyjechała w roku 1968), miała partnera o kilkanaście lat od siebie młodszego, mieszkającego w Paryżu; przyjeżdżał do niej w weekendy. Zaproponowali mi włączyć po mieście z którejś soboty na niedzielę, by zobaczyć, jak wygląda ono nocą i jakie wtedy atrakcje proponuje. W pewnym momencie moi towarzysze rzucili pomysł, by zajść do jakiegoś baru gejowskiego, bo to egzotyczne i zabawne. Znaleźliśmy się w lokalu niezmiernie hałaśliwym i zatłoczonym (jego nazwy nie pamiętam), na niewielu metrach kwadratowych zgromadziło się kilkudziesięciu mężczyzn w różnym wieku (adresu tego baru w informatorze nie wymieniono). Byłem speszony sytuacją, która mnie zaskoczyła, nie wiedziałem, jak się zachowywać. Nie chciałem ujawniać szczególnego zainteresowania i podniecenia, krępowała mnie obecność znajomych, bo się obawiałem, że się zorientują, iż miejsce to nie jest mi obojętne i stanowi coś więcej niż punkt, który interesować może przez swą egzotyczność, choć myślę po latach, że obawy były bezprzedmiotowe, bo oni doskonale się orientowali w tym, jaki jestem. Ale przeraziło mnie też coś innego: ścisk i hałas; obudził się we mnie

lęk klaustrofobiczny, czułem się tak, jakbym był osaczony. W konsekwencji do nikogo się nie odezwałem, stałem jak słup soli i myślałem o jednym: kiedy wreszcie stąd wyjdziemy?! Nastąpiło to niebawem, wizyta trwała nie dłużej niż dwadzieścia minut. Moja znajoma była ukontentowana, że jej przyjaciel podoba się także gejom.

Ta przypadkowa obecność o wiele mniejsze wywarła na mnie wrażenie niż to, co się we mnie rozegrało, gdy usiłowałem wejść do Ganimeda. Nic mi nie pozostało ponad analizowanie owej niemożności, a więc rozbieranie na czynniki pierwsze tych oporów, które mnie określały w stopniu tak dużym. A do informatora sięgałem już tylko po to, by znaleźć konkretne wiadomości w praktycznej potrzebie, by się dowiedzieć choćby, jaką trasą jeździ dany tramwaj lub autobus.

Wędrownka

Wreszcie znalazłem się w tym mieście, z którego miałem już sporo wspomnień, stało się to po kilkuletniej przerwie spowodowanej różnymi względami, przede wszystkim tym, że w ostatnich czasach odmawiano mi paszportu, byłem – jak widać – zdaniem miłościwie nam panującej władzy, zwanej z przekąsem ludową (kiedyś sama tak się określała), niegodny tego, by stanąć na francuskiej ziemi. Nastął jednak rok niezwykle, jakiego dotąd nikt nie widział w naszym kraju, trwało piękne, choć mocno nerwowe i niewolne od zagrożeń lato, karnawał osiągnął apogeum – większość rzeczy działa się inaczej niż zwykle, w wielu materiałach odstępiono od tego, co stanowiło normę, lub przynajmniej rutynę, której w mniej dynamicznych okresach nie chciano naruszać. Zelżały także rygory związane z wydawaniem paszportów, odmawiano ich rzadziej, co świadczyło o tym, że zakaz opuszczania naszej realsocjalistycznej ojczyzny z mniejszą konsekwencją stosowany był jako środek penitencjarny. Dawniej: jesteś niegrzeczny i nieposłuszny, krytykujesz nasz poddawany nieustannemu dalszemu doskonaleniu ustrój, buntujesz się, a więc za karę cię nie wypuścimy, siedź cicho i nie wysadzaj nosa poza nasze opłotki, wielki świat nie dla ciebie! A teraz: skoro tak bardzo tego pragniesz, skoro jesteś na takim wewnętrznym musiku, to sobie jedź, nie zawracaj nam już tylko głowy!

Skorzystałem z tej karnawałowej odmiany i z Medardem do Paryża przy pięknej sierpniowej pogodzie wyruszyłem. Powiadomiłem o tym mojego angielskiego kolegę, Paula, którego poznałem chyba przed piętnastu laty, od tego czasu wymieniliśmy wiele listów, dotyczyły one w ogromnej większości spraw zawodowych. Paul był sławistą interesującym się szczególnie literaturą polską, w tym także jej związkami z literaturą angielską. Z tej właśnie dziedziny napisał obszerną, opartą na rozległych materiałach, bardzo rzetelną i wnikliwą dysertację. Nosiła ona – jeśli dobrze pamiętam – tytuł „Byron, Shelley i Keats w literaturze polskiej przełomu XIX i XX wieku”. Jako historyk literatury zajmowałem się wówczas tą epoką, byłem więc dla niego odpowiednim, być może nawet cennym korespondentem i rozmówcą. W czasie owym przyjeżdżał dość często do Warszawy, spotykaliśmy się wielokrotnie; następnie, gdy jego zainteresowania polonistyczne zmalowały, odwiedzał stolicę naszą rzadziej, siłą rzeczy kontakty, choć nigdy całkiem nie zamarły, znacznie się rozrzedziły. Powiadomiłem go o podróży do Paryża niejako mimochodem, z całą pewnością nie myślałem o spotkaniu, nie spodziewałem się jakiegokolwiek reakcji z jego strony, oczywiście poza

z natury rzeczy konwencjonalnym zdaniem, że jest kontent, iż wreszcie dano mi paszport. Wiedział, że na wyjazdach wielce mi zależało, że każda podróż w jakiegokolwiek miejsce po zachodniej stronie żelaznej kurtyny jest dla osób żyjących w krajach, których ustroj określany był najpierw pleonastycznie jako demokracja ludowa, potem zaś jako realny socjalizm, stanowiła ważne, upragnione bardziej lub mniej wydarzenie, była traktowana jako odpoczynek od nacisku rzeczywistości, w jakiej przyszło żyć, ale trudno było aprobować; niekiedy wyjazdy na tę drugą szczęśliwszą stronę stanowiły swego rodzaju psychoterapię. Zdziwiłem się, gdy mnie powiadomił, że postanowił przyjechać do Paryża, by się z nami spotkać, poprosił o szczegóły, chciał wiedzieć, jak najszybciej się z nami skontaktować (opowiadam historię sprzed trzydziestu kilku lat; młodych ludzi, którzy utrzymują, że bez telefonów komórkowych nie wyobrażają sobie życia, uprzejmie informuję, że ich jeszcze wówczas nie było).

Przyjechał około południa. Spotkaliśmy się bez zwłoki, postanowiliśmy spędzić razem jeszcze tego samego dnia kilka godzin na wędrowce po paryskich ulicach i zatrzymać się w którejś z niezliczonych knajpek. Wyruszyliśmy późnym popołudniem. Medard i ja mieszkaliśmy na obrzeżach Montparnasse'u w wielkim, świetnie się prezentującym budynku, w tak zwanej *chambre de bonnes*, czyli uplasowanej na poddaszu służbówce, do której wchodziło się kuchennymi schodami; wynajął ją dla nas znajomy od kilku lat przebywający w Paryżu. Paul zatrzymał się w niewielkim, krańcowo skromnym hoteliku, znajdującym się nieopodal. Byliśmy wszyscy trzej w doskonałych humorach, cóż bowiem przyjemniejszego ponad wędrowanie w piękny letni czas po ulicach, placach, zakątkach tego wspaniałego miasta, zresztą całkiem niezłe nam znanego z poprzednich pobytów. Właśnie mieliśmy ochotę na wędrowanie, czyli swobodną włóczęgę niepodporządkowaną ustalonemu z góry planowi, improwizowaną. Z całą pewnością nie miało to być zwiedzanie, umożliwiające solidne poznanie kolejnej dzielnicy, ono musiałoby się wiązać z przyjęciem jakichś choćby minimalnych założeń i wyznaczeniem jakichś dających się bliżej określić celów. Skierowaliśmy się ku Dzielnicy Łacińskiej i przemierzaliśmy jej ulice, uliczki, skwery. Było nam dobrze.

Ów dobrostan nie mógł jednak trwać bez końca. Wiele wskazywało na to, że od momentu, kiedy wyruszyliśmy, czasu minęło sporo, nie trzeba było, by się o tym przekonać, patrzeć na zegarek, nietrudno było spostrzec, że „już się

zmierzcha” (przypomniały mi się pierwsze słowa pięknej staropolskiej pieśni). W pewnej chwili zgodnie stwierdziliśmy, że nasze ciała upominają się o swoje prawa, poczuliśmy się głodni. Tutaj sparafrazowałbym apel występujący w pieśni o zdecydowanie innym charakterze, powstałej kilka stuleci później w całkiem innych okolicznościach: nie „powstańcie, których dręczy głód”, ale „zatrzymajcie się...”. Miejsc, w których można było to uczynić, na naszej trasie nie brakowało, przeciwnie, było ich pełno, można powiedzieć, że wysyłały one, gdziekolwiek spojrzeć, zapraszające sygnały, niejako same się narzucały, właściciele robili wszystko, by przyciągnąć uwagę przechodniów i skłonić, by dokonali wyboru po ich myśli. Jedyne, co mogło sprawiać kłopot, to *embarras de richesse*.

Paul zakomunikował, że pragnie, byśmy zakończyli ten przyjemny wieczór w jednej z knajpek nieposzlakowanej francuskiej, lubi ich atmosferę, a ponadto gustuje we francuskiej kuchni, która – ze smutkiem stwierdził – jest zdecydowanie lepsza od kuchni angielskiej; nie zamierzaliśmy z tą opinią polemizować czy jej kwestionować, zwłaszcza że tej drugiej kuchni w istocie nie znaliśmy. Z poprzednich wizyt w Paryżu pamięta miejsce, które spełniałoby wszystkie warunki, proponuje, byśmy się tam udali, to niezbyt daleko, bez trudu do swojej ulubionej knajpki trafi. Z ochotą na to przystaliśmy, poddając się jego przewodnictwu, od tej chwili nasza wędrówka miała ściśle wyznaczony punkt docelowy. Po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że trudno jednak do niego dotrzeć, on jakby się oddalał lub wręcz zniknął, Paul dziwnie zmieniał kierunki, na różne sposoby określał miejsce, ku któremu podążaliśmy. Moje zdziwienie narastało, zwłaszcza że wiedziałem, iż wykazuje on z reguły dobrą orientację w przestrzeni; to błąkanie się mnie zaskoczyło, wydało mi się niezgodne z jego umiejętnościami czy wrodzonymi talentami. Mniej zastanawiał mnie upór w dążeniu do celu, bo to wydawało mi się zgodne z cechami jego osobowości. Mimo wszystko jednak coraz silniej dawało o sobie znać podejrzenie, że ów punkt, stanowiący nasz cel, owa idealna francuska restauracja, która tak dobrze utrwałała się w pamięci i świadomości Paula, jest celem fantazmatycznym. Po drodze wciąż mijaliśmy niezliczone lokale o podobnym charakterze, Paul wszelako zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegał ich istnienia, nie zwracał na nie uwagi, jakby możliwość zmiany decyzji i wybranie któregoś z nich w ogóle nie wchodziły w grę. Nie mogło to jednak trwać wiecznie, coś się musiało zmienić.

I się zmieniło. Stało się to wówczas, gdy Medard i ja przestaliśmy udawać, że wierzymy, iż Paul odnajdzie upragnioną restaurację, której nazwy – jak się okazało – nawet nie pamiętał, by nie wspomnieć o adresie. Wreszcie on sam musiał przyznać, że celu, jaki przed sobą postawił, nie jest w stanie osiągnąć. Wydawałoby się, że od tej chwili wszystko będzie proste i jasne – wejdziemy do jednej z knajpek, jakich tu nie brakuje, są większe i mniejsze, droższe i tańsze, eleganckie i skromniejsze, z kuchnią konkretnego regionu bądź taką, która ze względu na swe uplasowanie w świecie (lub tylko w kraju) bliżej nie została określona. Do wyboru, do koloru! Medard, jak się szybko zorientowałem, żywił w tej materii bez porównania większe niż ja nadzieje (potem zresztą to potwierdził). O Paulu słyszał to i owo ode mnie, ale znał go słabo, osobiście zetknął się z nim dwa, może trzy razy, i to przelotnie, w czasie jego pobytów w Warszawie. Sądził, że kłopoty się skończyły, zatrzymamy się gdzieś po drodze, ja wiedziałem już, że to w żadnym razie nie jest ich finał, ale też nie przypuszczałem, że się spotęgują i przybiorą tak zdumiewająco wybujałą postać. Proponowaliśmy kolejne restauracje, obok których przechodziliśmy, żadna jednak Paulowi nie odpowiadała, nasze sugestie odrzucał z zadziwiającą, trudną do pojęcia konsekwencją. Czynił to pod różnymi pretekstami. Ta jest urządzona w marnym stylu, inna wygląda podejrzanie, jeszcze inna wywiesiła banalne, zupełnie nieciekawe menu, tamta jest zbyt tania, by była dobra, następna z kolei jest zbyt droga i nas na nią nie stać (choć różnica cen między nimi była minimalna albo nie było żadnej). Atmosfera stawała się napięta, narastało zdenerwowanie. Byliśmy głodni, zmęczenie dawało o sobie znać z coraz większą siłą. Nawet w przypadku zdrowych mężczyzn w średnim wieku (kiedy patrzę na tę wędrówkę z dzisiejszej perspektywy, wydaje mi się, że byliśmy wówczas wciąż młodzi) wielogodzinne kręcenie się po ulicach musiało wywołać taki efekt.

Stało się jeszcze coś istotnego. Zaczęliśmy inaczej postrzegać przestrzeń, w jakiej z własnej nieprzymuszonej woli się znaleźliśmy, tę, którą traktowaliśmy nie tylko jako godną uwagi i kontemplacji, ale sympatyczną i przyjazną. Chcieliśmy w niej przebywać, taki był nasz wybór, więcej, ona nas pociągała i przyciągała, miała w sobie niewątpliwy magnes. Ale stopniowo zaczęła zmieniać charakter, choć materialnie oczywiście nic się w niej nie zmieniło, ulice nie odwróciły biegu, domy się ani nie przesunęły, ani nie zawaliły, ruch, raz większy, raz mniejszy, też żadnym istotnym

przekształceniom nie uległ, a to, czy widzieliśmy ją w świetle dziennym, czy w blasku latarni, nie miało większego znaczenia. Powoli traciła klarowność, to, co miało być wędrówką przed siebie, niespodziewanie przeistaczało się w kręcenie się po kole; nie mając takiego zamiaru, znajdowaliśmy się w miejscach, które – jak nam się wydawało – już dawno minęliśmy, odnosiliśmy wrażenie, że zostały gdzieś za nami. W jaki sposób do nich wróciliśmy, czy zagubiliśmy nasze wewnętrzne drogowskazy? Na skutek tego, co się działo, w wyniku owego poszukiwania czegoś, czego nie trzeba było szukać, ta przestrzeń traciła dotychczasową formę i upodabiała się do labiryntu. Wbrew wszelkim oczekiwaniom stawała się groźna. Czy uda nam się ją opuścić?

Medard powiedział mi, kiedy wreszcie wróciliśmy do naszej służbówki, że sądzi, iż dziwaczne i w istocie dla kogoś niewprowadzonego w sprawę niezrozumiałe zachowanie Paula wynikało z chorobliwej nieumiejętności podejmowania decyzji. Ta ciężka, komplikująca życie przypadłość odzywać się miała także wówczas, gdy chodziło o dokonywanie wyborów banalnych, bez poważniejszych konsekwencji, osadzonych, jak w tym przypadku, w konkretach codzienności, bo przecież rzecz szła o to tylko, by gdzieś na pewien czas usiąść, zamówić jakieś dania i zjeść je naprędce, skoro zrobiło się tak późno, że nie było mowy o tym, żeby się zasiedzieć. Przyznałem Medardowi rację, to na pewno grało jakąś rolę, wiedziałem, że w pewnych sytuacjach Paul miał trudności z podejmowaniem decyzji. Znałem go wszakże od tak dawna, że wiedziałem, iż w historii, którą opowiadam, był to jednak wątek poboczny. Problemem fundamentalnym było co innego, to on tworzył podstawowe uzasadnienie postępowania Paula, które mogło się wydawać głęboko irracjonalne. Wieloletnia znajomość pozwoliła mi szybko usłyszeć melodię, jaka jest tu grana, a zatem rozszyfrować motywację, która w nim się zakotwiczyła, określając z niebywałą siłą i konsekwencją, a także nieprzerwanie, jego czyny, postanowienia, sposób bycia; stała się elementem jego egzystencji takim, z jakiego mógł już sobie nawet nie zdawać sprawy, ale uformowała się w coś naturalnego, podobnie jak oddychanie czy obieg krwi. Trzeba to powiedzieć jasno i dobitnie: w przypadku Paula wydawanie pieniędzy łączyło się ze spotęgowanym stresem, wywoływało ból trwały i dolegliwy, stanowiło przykrość niedającą się zestawić z niczym innym. Miało to przejawy i konsekwencje psychiczne, ale też znajdowało wyraz w sferze czysto somatycznej. Kiedy miał sięgnąć po portfel lub portmonetkę

(a w czasach dzisiejszych niewątpliwie po kartę płatniczą), doznawał odrętwienia ręki, był to trismus, analogia do szczękościsku nasuwa się sama. Z pozoru Paul mógł operować ręką równie swobodnie jak przy wszystkich innych czynnościach, w istocie była ona jednak bezwładna, wykonanie tych kilku prostych ruchów wymagało nadludzkiego wysiłku, pokonania bólu, przewyciężenia narastającego, wciąż się potęgującego oporu. Paul jakoś żył z tą przypadłością, mniej więcej normalnie funkcjonował, nie głodził się, wszystko to prawda, ale też za każdym razem odwlekał moment wydania danej sumy, chyba niezależnie od jej wysokości, jak w takiej czy innej sytuacji odwleka się czynność nieprzyjemną, chociaż się wie, że jest nieuchronna czy konieczna. Jeśli tak jest, to czy owo chorobliwe skąpstwo – to słowo już paść musi – wyjaśnia ten dziwny przypadek, ujawniający się z taką siłą w trakcie czegoś, co miało być spokojnym spacerem po Dzielnicy Łacińskiej i okolicach, spacerem w jakimś sensie sentymentalnym, bo każdy z naszej trójki miał wspomnienia związane z Paryżem i poszczególnymi miejscami, przy nadarzającej się okazji z ochotą odnawiane?

Jak już zaznaczyłem, uświadomiłem sobie dość szybko, co określało to tak z pozoru nierozsądne zachowanie. W tym przypadku chodziło o rzecz znacznie poważniejszą niż odwleczenie momentu, w którym sięgnięcie po portfel stanowi czynność nie do uniknięcia. Jestem pewien, że Paul obawiał się, iż będzie zmuszony do zapłacenia nie tylko za siebie, ale także za nas dwóch, czyli że okoliczności zobligują go do zaproszenia nas na kolację, to zaś było dla niego czymś niewyobrażalnym, nie do pomyślenia, budzącym grozę. Jestem przekonany, że mój domysł w pełni odpowiada faktom, podobnie jak oparta na nim konstrukcja interpretacyjna, znałem go przecież od dawna i widziałem w kilku podobnych sytuacjach. W pewnych okresach bywał w Polsce Ludowej dość często, znał jej realia, wiedział, że nie możemy swobodnie wymieniać pieniędzy, sądził zatem, że jesteśmy biedakami czy wręcz głodomorami ze Wschodu, nie wziął pod uwagę faktu, że surowe przepisy uległy złagodzeniu, można było w podróż zabierać sumy, które się przywiozło z krajów należących do tego, co nazywano wówczas w języku oficjalnym „strefą kapitalistyczną”, a ja pracowałem przez rok na zachodnioeuropejskim uniwersytecie. Ani Medard, ani ja niczego od niego nie oczekiwaliśmy, nawet na myśl nam to nie przyszło. Ale on się obawiał, że sprawy mają się inaczej. Sądzę, że samo myślenie o takiej możliwości napędzało strach, wywoływało dreszcze i stawało się powodem cierpienia.

Zastanawiam się, jaka była w przypadku Paula etiologia tej przypadłości, zwłaszcza że przybrała ona postać tak ostrą, bez obaw popadnięcia w przesadę określić ją można jako radykalną. Sprawa byłaby prostsza, gdyby pochodził ze środowiska ocierającego się o nędzę, z biednej rodziny, która musiała się liczyć z każdym groszem, centem czy fenigiem i z przerażeniem patrzeć w najbliższą przyszłość, bo uzasadnione byłyby obawy, że nie starczy pieniędzy do dnia wypłaty. Takie wyjaśnienie czyniłoby przynajmniej w pewnej mierze zrozumiałą sytuację, jaka się wytworzyła, tutaj jednak nie ma ono żadnego zastosowania, Paul pochodził z rodziny żyjącej w dostatku, zamożnej, socjolog mówiłby tu może o wyższej klasie średniej albo po prostu o wyższej. Jego ojciec był świetnie prosperującym lekarzem, wziętym, podobno w swojej specjalności wybitnym (nie pamiętam, jaka ona była), o rozległej, przynoszącej znaczne profity praktyce. Matka, jak sporo kobiet z tej sfery urodzonych w pierwszych latach XX wieku, nie miała konkretnego zawodu, nie był jej potrzebny, wywodziła się z wielkiej burżuazji, mającej jakieś parantele arystokratyczne. Poziom życia tej rodziny był niewątpliwie wysoki, widmo biedy nie zaglądało do jej domostwa – i oczywiście nie zagrażało ono ani Paulowi, ani nieznacznie młodszemu bratu (nie znałem go, zmarł przedwcześnie na chorobę nowotworową). Rodzice zapewnili im dostatnie, beztroskie przynajmniej z materialnego punktu widzenia dzieciństwo i dobry start, z opowieści Paula wynikało wszelako, że we wczesnych latach ich życia było mimo wszystko coś trudnego, przygniatającego, niepokojącego, burzącego sielankowy obraz. Ojciec miał chyba usposobienie despotyczne i narzucał surowe rygory; mimo że nic go do tego nie zmuszało, był niebywale oszczędny – i cnoty oszczędności wymagał od całej rodziny. Zbyt mało o tym wiem, by wdawać się w szczegóły i – tym bardziej – by formułować jednoznacznie brzmiące twierdzenia, wydaje mi się jednak, że w ich życie codzienne wkradała się patologia, że w tej z pozoru aż do przesady lub wręcz bólu normalnej, przykładowej, burżuazyjnej rodzinie ujawniały się dysharmonie, a także działały silne naciski, formujące psychikę i życiową postawę dziecka, a potem młodzieńca. Paul nie zbuntował się przeciw swemu rodzinnemu domowi – w każdym razie w tym, co dotyczyło wymiaru materialnego – przejął i głęboko zinterioryzował wzory i nauki, jakie w tej dziedzinie na różne sposoby narzucał ojciec.

Dochodzę do przekonania, że narażało go to na rozmaitego rodzaju niedogodności, a może nawet na coś więcej, chętnie zatem sparafrazowałbym

tytuł dzieła Freuda i mówił, zgodnie zresztą z tym, o czym już wspominałem, o skąpstwie jako źródle cierpień. Myślę, że Paul ich zaznawał również wtedy, gdy od pewnego momentu narażał nas na bezsensowną łąkę w poszukiwaniu właściwej restauracji, podczas gdy wiele odpowiednich było pod bokiem, wystarczyło tylko wejść i usiąść przy stoliku albo wybrać przyjemne miejsce na zewnątrz, w ogródku. Unikanie wydatków w tym przypadku zyskało rangę imperatywu kategorycznego. I tak się działo w sytuacjach o różnym charakterze. Przede wszystkim wówczas, gdy trzeba było wydać choćby niewielką sumę na kogoś, gdy chodziło o zaproszenie spotkanego po latach znajomego na filiżankę kawy. Zapewne mniejsze emocje ujawniały się wówczas, gdy powstawała konieczność ekspensów na siebie i na zaspokajanie własnych (wyłącznie własnych!) potrzeb. Paul był przyzwyczajony do życia na wysokim poziomie, konsekwentnie wprawdzie unikał wydatków na to, co uważał za luksus i traktował jako przejaw rozrzutności, ale poniżej pewnego standardu schodzić nie mógł, musiał go utrzymać. Nie zawsze z racji osobistych przyzwyczajzeń i upodobań, one mogły odgrywać rolę mniejszą, ulegać zminimalizowaniu ze względu na kategoryczność imperatywu uwewnętrznionego silniej niż cokolwiek innego. Także z tego powodu, że Paul obracał się w zamożnym środowisku, w którym obowiązują wyraźne zasady, wskazania, przyzwyczajenia. Nie mógł być choćby gorzej ubrany niż inni z tej sfery, nie mógł nie uczestniczyć w pewnych uroczystościach czy rytuałach, a przecież i to wiązało się z kosztami. Ale też nie mógł sobie odmawiać takich czy innych przyjemności, zwłaszcza lubił podróże, a także – przynajmniej niekiedy – lubił wychylić kieliszek alkoholu z najwyższej cenowej półki. Nie rezygnował z tych zbytków, ale – utwierdzają mnie w tym przekonaniu liczne obserwacje – odczuwał w takich sytuacjach męczący dysonans – poznawczy, a może również moralny. Stawał się on jeszcze potężniejszy, gdy trzeba było wydać choćby kilka miedziaków, by komuś coś ofiarować. To wtedy ze wzmożoną intensywnością ujawniał się trismus ręki – i powiększała się skala cierpienia. Był człowiekiem towarzyskim, utrzymywał liczne kontakty, a zwyczaj każe, gdy jest się zaproszonym, przychodzić z czymś, niech to będzie groszowy drobiazg. W czasie jednego z jego wcześniejszych pobytów w Warszawie byłem świadkiem sceny, która mocno mnie zdziwiła (wówczas jeszcze niezbyt dobrze go znałem): zaproszony do znajomych, postanowił kupić kwiaty. Wybieranie trwało długo, wreszcie

zdecydował się na podwiędły bukiet, który miał tę jedynie zaletę, że był tani – jego cena została niewątpliwie dość znacznie obniżona. Esteta, znawca i miłośnik pięknych przedmiotów, nie mógł nie dostrzec, że odwiedzi swych znajomych z wiechciem w ręku.

Ktoś może orzec, że mimo wszystko są to drobiazgi, które należy interpretować jako słabości i dziwactwa interesującego, wybitnego i mądrego człowieka – a tych cnót trudno byłoby mu odmówić – jako przywary, które winno się potraktować tak, jakby stanowiły dobrodziejstwo inwentarza, przejść nad nimi do porządku – i wybaczyć. Nie mogę jednak nie wspomnieć, że ta przypadłość wpływała nie tylko na tok spraw powszednich, oddziaływała również na wydarzenia mające w życiu Paula znaczenie ogromne, stała się główną przyczyną rozpadu małżeństwa. Ożenił się on po długich deliberacjach z piękną Polką. Wszystko wskazywało na to, że będą dobraną, harmonijną parą, pani Halina odznaczała się nie tylko urodą, już po krótkiej znajomości skonstatowałem, że jest osobą inteligentną i sympatyczną. Byłem przekonany, że powstał trwały polsko-angielski związek, szybko jednak od wspólnych znajomych zaczęły napływać wieści, że coś się w nim psuje, aż nadeszła wiadomość, że rozpadł się z hukiem, a rozstanie poprzedzone było serią awantur. Ich powody były jednoznaczne: Paul chciał narzucić małżonce oszczędnościowy reżim, zgłaszał nieustanne pretensje, że ona nierozważnie wydaje pieniądze, decyduje się na zakupy zbyteczne, a codzienne sprawunki robi w sklepach droższych, choć można znaleźć w okolicy tańsze. Muszę dodać, że pani Halina nie była od Paula uzależniona finansowo, jej kondycji życiowej nie określała archaiczna formuła „przy mężu”. Miała zawód, z sukcesem go wykonywała i w Polsce, i w Anglii, była cenioną nauczycielką muzyki. Opowiedziała mi kiedyś swoją małżeńską historię w stylu nader dramatycznym, kładąc szczególny nacisk na przyczyny rozpadu związku.

Kiedy po latach wspominam tę naszą z początku zamierzoną, a potem zdecydowanie niechcianą wędrówkę, pragnę się zastanowić nad zachowaniem nas obydwu i poświęcić mu kilka słów. Przecież od pewnego momentu wiedzieliśmy, że uczestniczymy w czymś dziwnym i coraz trudniejszym do zniesienia, uświadamialiśmy sobie coraz wyraźniej, że to, co się dzieje, stanowi wynik aberracji, niepojętej, niemożliwej do wyjaśnienia w kategoriach racjonalnych. Dlaczego zatem zachowywaliśmy się biernie, z jakiego powodu nie przejęliśmy inicjatywy, czym wyjaśnić to, że

postępowaliśmy tak, jakby odebrano nam wolną wolę, że upodobniliśmy się do owych gryzoni ze znanej bajki braci Grimm, które dały się uwieść dźwiękom fletu i w ten sposób wyprowadzić w pole. Paul z pewnością nas nie zaczarował, w duchu buntowaliśmy się przeciw temu, w czym niespodziewanie uczestniczyliśmy, jednakże praktycznie nic z tego nie wynikało. Zaważyły na tym w jakiejś mierze względy towarzyskie. W pewnym sensie Paul był naszym gościem, przyjechał do Paryża, by się z nami spotkać, a więc nie wypadało mu się przeciwstawiać. Chodziło jednak w istocie o co innego, przekonuję się o tym, gdy rekonstruuje wydarzenia po tylu latach obfitujących w zmiany pozwalające na nie spojrzeć w nowym świetle i ujrzeć je od strony, która wówczas nie zwracała naszej uwagi. Byliśmy obywatelami PRL-u i poniekąd jego tworcami, nawet jeśli nie przyjmowaliśmy tego do wiadomości. Świat tak różniący się od tego, w jakim przyszło nam żyć, nazywany ogólnikowo Zachodem, onieśmielał, w pewnej mierze stanowił rzeczywistość mityczną, a onieśmielenie powoduje niepewność i właśnie bierność. My przybyliśmy z gorszej części Europy, Paul, choć w Paryżu też przyjezdny, jest stąd, a więc ma dane, by wystąpić w roli przewodnika, mimo że my go o to nie prosiliśmy ani – tym bardziej – do tego nie upowalniali. Jestem pewien, że gdyby analogiczna sytuacja powstała w Warszawie lub w jakimkolwiek innym polskim mieście, zachowałbym się aktywnie, przerwał to bezsensowne i w swej istocie bezcelowe krążenie – i energicznie zasugerował, by wejść do lokalu, który właśnie mijaliśmy.

Powracam do naszej wędrowki. W pewnym momencie Paul oświadczył, że przypomniła mu się dobra restauracja, znajdująca się na Boulevard St. Germain, nieopodal skrzyżowania z St. Michelem, pragnie zatem, byśmy się tam skierowali. Dzieliła nas od niej spora odległość, z chęcią jednak na tę propozycję przystaliśmy, zgodzilibyśmy się zresztą na wszystko, co zapowiadało koniec wędrowania. Pamiętałem, że we wskazanym miejscu jest duży bar samoobsługowy w stylu amerykańskim, niemający z kuchnią francuską nic wspólnego, nie sądziłem zatem, że nasz przyjaciel, wielki jej miłośnik, a zapewne także znawca, właśnie ten ma na myśli. Kiedy tam dotarliśmy, zbliżała się północ. Personel patrzył na nas niechętnie, byliśmy ostatnimi klientami, jakaś młoda para właśnie opuszczała barowe podwoje, pracownikom zależało najwyraźniej na tym, by bez zwłoki pozbyć się gości i udać się do domu. Zrozumiałem dość szybko, z jakich powodów Paul po tylu irytujących wahaniach zdecydował się ostatecznie na self-service, choć

wybór przeczył temu, co mówił o swoich gastronomicznych preferencjach. Stało się tak ze względu na sposób obsługi klientów. Trzeba było wziąć tacę i na niej stawiać wybrane potrawy; posuwając się po odgrrodzonej przestrzeni wzdłuż oszklonych lodówek, docierało się do kasy. System taki niejako z góry zakładał, że każdy płaci osobno, sam za siebie, zwyczaj zapraszania kogoś i płacenia za niego, jeśli nawet nie był wykluczony, to z całą pewnością naruszałby zasady – tu obowiązywała szybka konsumpcja, nie przewidziano niczego, co przypominałoby tradycyjne sytuacje towarzyskie. Wyszliśmy kilka minut po północy. Udaliśmy się bulwarem St. Michel w stronę Montparnasse'u. Szliśmy w milczeniu.

Na tym mógłbym opowiedzieć o tym spędzonym w Paryżu wieczorze zakończyć, dopiszę jednak epilog. Moje kontakty z Paulem stały się rzadsze, ale wciąż trwały. Pamiętam spotkanie o kilkanaście lat późniejsze. Przyjechał do Warszawy jako członek jakiejś oficjalnej delegacji lub w ramach wymiany naukowej, tego już świadom nie jestem, ale też nie ma to żadnego znaczenia. Widzieliśmy się dwa, a może trzy razy, po raz ostatni w godzinach popołudniowych w przeddzień jego odjazdu. Powiedział, że ma zobowiązania wobec znajomej starszej pani, historyczki sztuki, przed przejściem na emeryturę pracującej na tym samym co on uniwersytecie; obiecał, że przywiezie jej jakiś drobiazg z Polski. Zaczęła się wędrówka po sklepach, wybór był ogromny, jednakże nic mu nie odpowiadało. Powtórzyła się historia sprzed lat, z tą różnicą, że przyglądałem się jej obojętnie, a nawet, znając mechanizm, z niejakim politowaniem; na szczęście w żaden sposób ona mnie nie dotyczyła. Paul był człowiekiem solidnym, wiarygodnym, dotrzymującym słowa. Odlatywał wczesnym rankiem. Domyślam się, że w kiosku na Okęciu kupił jakąś pamiątkę z tych najtańszych. Bez wątplenia był świadom, że to marnota, ale przecież niczego lepszego nie było, w poszukiwaniach wykazał dużo dobrej woli i poświęcił im tyle swojego cennego czasu!

Śpiewaczka Klementyna

Byłem wówczas zafascynowany twórczością Kafki, wielokrotnie do niej wracałem, stanowiła ona w tamtych latach jedno z najważniejszych moich przeżyć czytelniczych. Nie tylko wciąż po jego utwory sięgałem, ale w jakiejś mierze poprzez nie patrzyłem na świat – i to nie tylko wtedy, gdy chodziło o sprawy fundamentalne, w sytuacjach czy w momentach, w których myśli się o losie ludzkim, jego imponderabiliach i wyznacznikach. Także wówczas, gdy patrzy się na to, co jest tu i teraz, na ową rzeczywistość dookolną, która z pozoru nie ma nic wspólnego z wizjami pisarza od dziesięcioleci nieżyjącego i jakże dalekiego od tego, co niekiedy zwykło się nazywać małym realizmem, a w sposób zdumiewający do owej rzeczywistości przylegającymi, niejako podsuwającymi kategorie umożliwiające jej uchwycenie i opisywanie.

Kiedy przypadkowo poznałem tę kobietą, usłyszałem, jakie nosi imię i jaka jest jej profesja, momentalnie skojarzyła mi się z opowiadaniem Kafki *Śpiewaczka Józefina*, a więc z jedną z najbardziej niezwykłych jego nowel-parabol, nie tylko z trudem podlegającą interpretacji, ale także niełatwą do zrozumienia i ogarnięcia w trakcie zwykłej, niejako codziennej lektury. Nie chcę powiedzieć, że narzuciła mi się jakaś analogia, że dostrzegłem podobieństwo, raczej byłoby to niemożliwe ze względu na wieloznaczność Kafkowskiej bohaterki, ale też z powodu płynnych i osobliwych sytuacji, w jakich pisarz kazał jej egzystować. Chodziło o coś całkiem innego. Pomyślałem „śpiewaczka Klementyna” – i od razu nasunęła mi się analogia z tytułem tego opowiadania. Analogia brzmieniowa, może nie w pełni na miejscu w innych przypadkach, tutaj mogła być uznana za usprawiedliwioną, skoro rzecz dotyczy muzyków. Mimo że historia śpiewaczki Klementyny, choć przejmująca, może nawet tragiczna, nie układa się w kafkowski wzorzec, raczej przypomina liczne opowieści o smętnych losach artystów, którym się nie powiodło.

Choć od tego wydarzenia minęło kilkadziesiąt lat, doskonale pamiętam, kiedy, gdzie, w jakich okolicznościach ją poznałem. Stało się to w Paryżu wczesną wiosną, która tego roku po długiej, śnieżnej i mroźnej zimie ociągała się z nadejściem także tam; poznałem ją mianowicie na koncercie, za sprawą pewnego muzyka, z którym w tamtym czasie byłem w przyjaznym kontakcie. Nie wiedziałem, że z nią przyjdzie, ale gdy usłyszałem jej nazwisko, nie zabrzmiało ono obco; jako bywalec koncertowy znałem je, występowała bowiem czasem w Warszawie w repertuarze oratoryjnym i kameralnym, choć

– jak wynikało z tego, co mówiła (a mówiła dużo) – uważała się przede wszystkim za artystkę operową. I rzeczywiście, należała do stałego zespołu jednej z niewielkich polskich oper; nie cieszyła się ona wprawdzie specjalną renomą, ale zapewniała niezłą pozycję i możliwość systematycznego uprawiania zawodu, który – wynikało to z tego, co kobieta opowiadała – był dla niej czymś o wiele więcej niż tylko sposobem zarabiania na chleb codzienny, może czymś więcej nawet niż czynnikiem pozwalającym na zaspokajanie ambicji, a one – nie można wątpić – były tak rozbudzone i tak wielkie, że po prostu ją rozsadzały. Występy śpiewacze stanowiły sens jej istnienia i główną treść życia, podstawowy składnik egzystencjalnego położenia. Można było wywnioskować, że poza nimi świata nie widzi i być może wszystko inne jest dla niej nieistotne. Zdałem sobie z tego sprawę dość szybko, choć przedtem nic o niej nie wiedziałem, wyjąwszy fakt, że dysponuje przyjemnie brzmiącym mezzosopranem. I nie stroni od poważnego, wymagającego kunsztu i dużej kultury muzycznej repertuaru. Spotkaliśmy się chyba pół godziny przed koncertem, przerwa ciągnęła się dość długo, a po zakończeniu też trwało kilka minut, zanim każde z nas trojga udało się do najlepszej dla siebie stacji metra; cały ten czas śpiewaczka Klementyna chciała mówić na jeden tylko temat: o sobie. Nie wiem, czy zawsze była tak rozmowna i zawsze tak egotyczna, wydaje mi się, że nie, po prostu czuła potrzebę wyzalenia się, pragnęła wykorzystać sytuację, jaka się nadarzyła, co jest dość charakterystyczne dla osób pogrążonych w samotności, niemających na podorędziu nikogo bliskiego, komu mogłyby przedstawić swoje biedy i niepowodzenia. Najwidoczniej nie przeszkadzało jej, że zwraca się do osób przypadkowych, bo muzyk był znajomym dalekim, a ja – kimś całkiem obcym, świeżo poznanym. Jedno wszakże muszę podkreślić: nie było to bezładne gadanie, wydawało mi się niewykluczone, że nie całkiem dobrze wie ona, co chce powiedzieć, ale jest doskonale świadoma, czego powiedzieć nie chce. Mimo emocji, napięć i nieustannie ujawniającej się dramatycznie silnej frustracji chyba w pełni panowała nad tym, co mówi; o pewnych sprawach, które same się nasuwały i stanowiłyby naturalne dopełnienie opowieści, konsekwentnie milczała.

Muszę wyznać: nie należę do chętnych słuchaczy zwierzeń i wyznań czy w ogólności monologów wprowadzających w kulisy czyjegoś życia, czuję się jako ich słuchacz nieswojo, jestem zażenowany, nie wiem, co z sobą w takich sytuacjach zrobić, jak się zachować; zdarzało się, że moim rozmówcom takie

dicta przerywałem, świadomie zmieniając temat, co niekiedy wchodziło w konflikt z zasadami grzeczności, która – jak rzecz Poeta – nie jest nauką łatwą ani małą. Tym razem niczego takiego nie zrobiłem, nie odezwałem się nie tylko dlatego, że nic nie miałem do powiedzenia, przede wszystkim nie chciałem zakłócać tak wartkiego i dramatycznego potoku wymowy. Zorientowałem się zresztą od razu, że wygłaszanie tego monologu nasyconego potęgującymi się emocjami, osiagającego niezwykły, do przejmująco cichego krzyku się zbliżający poziom ekspresji, jest tej nieszczęsnej artystce potrzebne do życia i stanowi swego rodzaju psychoterapię. Nie wiem, oczywiście, czy była tego faktu świadoma, zapewne nie zdawała sobie sprawy, że w ten sposób się kuruje, niewątpliwie jednak odczuwała, że gadanie to, aczkolwiek nigdy nie będzie w pełni skuteczne, równa się zrzucaniu z siebie bezlitośnie przygniatającego kamienia. Z tego, co usłyszałem, mogę przynajmniej we fragmentach zrekonstruować jej historię.

Wyglądała młodo, dobrze, korzystnie, była przystojną brunetką w typie południowym czy – jeśli kto woli – cygańskim, dysponowała przeto urodą wymarzoną do kreowania roli Carmen (rzeczywiście w niej występowała). Mimo świetnej prezencji i przy każdej okazji ujawniającego się temperamentu artystki trudno jednak było nie zauważyć, że pierwszą młodość ma już dawno za sobą, choć określenie jej wieku na podstawie wyglądu i stylu bycia mogłoby sprawiać kłopot i prowadzić – o czym miałem się przekonać później – do mylnych wniosków. Słuchając monologu, nie zastanawiałem się nad tym, ile śpiewaczka Klementyna lat sobie liczy, choć już wtedy wykluczo się przypuszczenie, że w jakiejś mierze wiek może być jeśli nie najważniejszym powodem, to przynajmniej współczynnikiem jej niepowodzeń. Można by orzec, że przez to samo, o czym opowiadała, a przede wszystkim za sprawą tego, jak to czyniła, choć trochę się odmładzała, po prostu z rozmysłem pomijała wcześniejsze etapy swej biografii. Konserwatorium skończyła w klasie śpiewu przed kilku laty, i to ze sporym sukcesem. Już jako dyplomantka została zaangażowana do owego prowincjonalnego teatru operowego, dość szybko zaczęto jej powierzać poważne partie mezzosopranowe, w tym tytułową rolę w *Carmen*; kiedy o tym wspominała, swym dźwięcznym, dobrze wyszkolonym głosem zanuciła najśłynniejszą frazę habanery, zapewne gwoli przypomnienia, ale też by pokazać, jak świetnie to robi: „bo miłość to cygańskie dziecko, ani jej ufaj, ani wierz...”. Przypomniła ten operowy przebój w wersji polskiej, w niej tę

rolę przygotowała, bo wówczas jeszcze niemal z reguły wystawiano opery w tłumaczeniach. Dodała po chwili, że już wtedy знаła francuski i postanowiła się specjalizować we francuskim repertuarze, bo ten ją szczególnie fascynuje. Po długim wyczekiwaniu, wypełnionym intensywnymi staraniami, wreszcie dostała stypendium, by tutaj, nad Sekwaną, doskonalić sztukę interpretacji. Udało się! Skierowano ją do klasy profesora, który w latach międzywojennych był słynnym śpiewakiem, specjalizującym się właśnie w wykonywaniu pieśni francuskich zwłaszcza z przełomu XIX i XX wieku, kiedy przeżywały one swój okres świetności. Cieszący się autorytetem pedagog i w tej dziedzinie miał znaczne sukcesy, pod jego opieką wyrosła spora gromadka znakomitych wokalistów. Wydawało się, że przed śpiewaczką Klementyną otworzyły się nowe możliwości, a jej artystyczna kariera zazna tak niecierpliwie oczekiwanego przyspieszenia. Z tego, co nam w przerwie koncertu opowiedziała, wynikało, że stało się coś akurat przeciwnego, owa wymarzona kariera nawet się nie załamała, bo jej w skali, jaką zaprojektowała, nie było, po prostu się nie rozpoczęła. I tutaj zaczyna się nieszczęsna historia.

Zgodnie ze zwykłym biegiem rzeczy po dwóch czy trzech miesiącach stypendium się skończyło, należało pakować walizki i wracać do kraju. Śpiewaczka Klementyna podjęła dramatyczną decyzję, postanowiła na Zachodzie zostać. Nie można jednak do tego przypadku stosować kanonicznej formuły: „wybrała wolność”, ta decyzja z całą pewnością nie miała motywacji politycznej, nie wynikała z obrzydzenia odczuwanego do ustroju i z poczucia zagrożeń, jakie on niesie (artystce operowej nic nie groziło), nie była następstwem tęsknoty za wolnością. Chodziło o jedno: o wielką światową karierę, śpiewaczka Klementyna uznała, że nadszedł właściwy moment, by ją rozpocząć, a stałe przebywanie w Polsce Ludowej, jeśli w ogóle starań nie uniemożliwiało, to w dużym stopniu je utrudniało, był to przecież kraj, w którym drzwi na szeroki świat zostały ledwo uchylone, z trudem jedynie i to w sprzyjających okolicznościach można się było przez nie precisnąć. Trzeba się wyrwać z tego zaścianka, gdy dysponuje się tak wspaniałym głosem i ma się tak wielki talent! Występowanie w małej prowincjonalnej operze nie zapewnia niczego na przyszłość i w istocie przynosi upokorzenie artystce tak wysokiej klasy, predestynowanej do czegoś diametralnie innego, większego, bardziej godnego! I stało się: śpiewaczka Klementyna została w Paryżu.

Oczywiście, nie mogę odtworzyć tego, jak przebiegał w jej świadomości proces decydowania, prowadzący do takiego postanowienia. Niewątpliwie wskazań z Bizetowskiej habanery nie słuchała, gdy odnosiła je do własnej sytuacji, ufała swojemu talentowi i weń wierzyła, liczyła być może na dobrą gwiazdę i żyła w przekonaniu, że sceny sławnych teatrów operowych i najbardziej renomowane sale koncertowe otworzą przed nią swe podwoje i jako początkowo nieznana polska artystka będzie wywoływać entuzjazm publiczności, a wieńce laurowe zdobić będą jej głowę każdego wieczoru. Może zresztą ktoś jej coś obiecywał, a wszystko, co wokół, podsycalo żywione przez nią nadzieje, które – jak się okazać miało – nie były niczym innym jak złudzeniami. Z tego, o czym napomykała, wynikało, że oczyma duszy widziała siebie jako artystkę podbijającą operową publiczność, a uszami duszy słyszała swój piękny głos w najświetniejszych, najbardziej renomowanych salach, w jakich występują tylko śpiewacy najwięksi, podziwiani wszędzie, gdzie się pojawiają, od Nowego Jorku po Tokio, od Buenos Aires po Londyn; żywiła przekonanie, że ma wszelkie po temu dane, by stać się jedną z nich. Niewątpliwie wyobrażała sobie, jak długie i gorące dostaje brawa po wykonaniu efektownego solo, jak słuchacze szaleją z zachwytu po tym, jak wybrzmiały dźwięki arii Księżnej Eboli, żalącej się: „*O don fatale, o don crudel*”, kiedy cichnie jej głos, świetnie brzmiący na tle dyskretnego i melodyjnego akompaniamentu wiolonczel, a ona w ukłonach usuwa się z centrum sceny, by spektakl mógł się toczyć, choć wie, że to nią właśnie widzowie interesują się przede wszystkim i jej pragną słuchać. No i wreszcie finał, to ona wraz z koleżankami i kolegami wbiega na scenę, by się kłaniać i dziękować za aplauz. To prawda, niewiele istnieje oper, w których główna rola powierzona została mezzosopranowi, bohaterkami wątków miłosnych, jeśli nie liczyć Carmen, są najczęściej sopran, ale mimo tego stanu rzeczy sporo jest dużych partii, w jakich może zachwyty budzić. I widzi siebie, jak się przesuwa na przód sceny, jest z widowni obrzucana kwiatami, ona zaś, by przekazać swą wdzięczność – jak to zwykły czynić diwy – posyła rozentuzjasmowanym wielbicielom płci obojga pocałunki. No i wreszcie wyobraża sobie, co umieszczono o niej tuż przy zdjęciach w pięknie wydany program, jakie fragmenty recenzji przytaczano: niezapomniana, pełna temperamentu Carmen, wielka Amneris, wspaniała Dalila. A obok lista najslawniejszych dyrygentów, którzy ją angażowali, i równie imponująca lista partnerów, z jakimi dane jej było występować.

Niestety, wszystko to we śnie. We śnie o potędze, jaki – zdaje się – nie opuszczał jej nawet w chwilach najcięższych, w marzeniach, którym się oddawała wbrew wszystkim i wszystkiemu, musiała przecież zdawać sobie sprawę, że sukcesów takich nigdy nie zazna, lecz niestety są one udziałem jej konkurentek. Znienawidzonych konkurentek, które – łatwo to było wywnioskować z tego, co mówiła – darzyła pogardą, bo tylko przez przypadek czy różne manipulacje, wręcz skandaliczne w swej nieuczciwości, a także za sprawą opinii głupich, najprawdopodobniej przekupnych recenzentów dostały się one na sceny i estrady świata. Zauważyłem, że w ogóle nie interesowały jej polskie śpiewaczki, nie wspominała o nich, może uznała, że żadna nie jest godna choćby wymienienia, bo cóż one znaczą, występując gdzieś na peryferiach Europy, podczas gdy ona znajduje się tutaj, w wielkiej metropolii, w centrum świata. Może zresztą uważała krajowy etap swej artystycznej kariery za całkowicie zamknięty, sądziła, że przesunął się w przeszłość i po prostu nie warto go wspominać. W każdym razie w stosunku do swych niedawnych jeszcze koleżanek nie określała się, nie wykluczam, że usunęła je z ewidencji pamięci. Ważne dla niej stały się te tylko artystki, które były znane na szerokim świecie i jeśli nie sławę, to przynajmniej dobrą pozycję zdobyły tutaj, nad Sekwaną. I tylko te, które dysponowały tą samą co ona kategorią głosu. O sopranach w ogóle nie wspominała, artystka wykonująca partię Micaeli nie była dla niej konkurentką, zapewne mogła być traktowana jak koleżanka. Kiedy słuchałem wywodów śpiewaczki Klementyny, przypomniałem sobie znaną tezę Darwina: istoty żywe atakują w walce o byt przedstawicielei swojego gatunku, innych mogą po prostu nie dostrzegać. Pomyślałem, że jak o tym świadczy ten przypadek, reguła dotyczy także artystów, a przynajmniej żądnych sukcesów śpiewaczek.

Zdumiało mnie to, co mówiła o całkiem sporej grupie znanych artystek, które uważała za konkurentki i przeszkody na swej drodze. Wspomniałem już, że nimi gardziła, mówiła o nich jako o pozbawionych talentu dyletantkach, które nie mogą się równać z nią i z jej kunsztem. Opinie takie, choć wiedziałem, że są w sposób oczywisty nieuzasadnione, wydały mi się mimo swego aberracyjnego charakteru w jakiejś mierze zrozumiałe, zawiść ma swoją osobliwą dialektykę i podlega specyficznym prawidłowościom, zakłócającym postrzeganie tego, co nas otacza i co dla nas ważne. I, rzecz jasna, na ogół skłania do ekspresji pozbawionej oporów, nieuwzględniającej

żadnych zapośredniczeń i zahamowań, ona nie może wyrażać się ściszym głosem, nie zna szeptu, niejako z natury swej musi krzyknąć. Za tymi charakterystykami znanych wówczas, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, mezzosopranistek, zaprezentowanymi przez śpiewaczkę Klementynę, kryła się dość wyraźna i konsekwentna wizja świata. Otóż one wszystkie zdobyły swoją pozycję w sposób niegodny, wyłącznie dlatego, że mają możnych protektorów, przede wszystkim bogatych kochanków, którzy przekupują impresariów, dyrektorów teatrów, każdego, kto ma coś w sprawie angażów do powiedzenia. Z tego, co mówiła, wyłaniał się obraz do szczytu zdemoralizowanego, okropnego świata, w którym dla niej miejsca nie ma, ona musi przegrać, bo jest do niego nieprzystosowana, nigdy nie miała możnego protektora i nie ma go nadal, postępuje uczciwie i jak należy. Pozostaje w królestwie cnoty i dlatego musi stać się ofiarą i ponieść klęskę. Przeciw niej kieruje się nieustannie trwający spisek. I na dowód opowiedziała historię – jak twierdziła – sprzed kilku dni. Miała wziąć udział w wykonaniu *Johannes-Passion* w jednym ze wspaniałych paryskich kościołów, słynącym wśród miłośników muzyki z tego, że działa w nim znakomity chór, ale w końcu jej nie zaangażowano, bo pojawiła się dopiero debiutująca niemiecka śpiewaczka, której podstarzały amant hojnie sypnął pieniędzmi. Słyszała już ją kiedyś; jak takie beztalencie może wykonać choćby tylko poprawnie wspaniałą arię *Es ist vollbracht*?!

Najsilniejsze wybuchy nienawiści prowokowała młoda artystka hiszpańska, która w tych właśnie latach rozpoczynała swą wielką karierę. Słyszałem już jej porywające nagrania, opinie wypowiedane przez śpiewaczkę Klementynę przyjmowałem z narastającym zdziwieniem, bo trudno było mi uwierzyć, że wszyscy, w tym najwięksi znawcy, się mylą, a tylko ona zachowuje zdrowy rozsądek i nie ulega powszechnemu oglupieniu (dzisiaj wiadomo, że owa Hiszpanka okazała się jedną z najwybitniejszych wokalistek drugiej połowy XX wieku!). Moja rozmówczyni, mimo że wypowiadała ostro sformułowane zdania, unikała mocnych słów, tutaj zaś nie oszczędziła sobie określenia wprawdzie brzmiącego archaicznie, ale dość drastycznego. Orzekła, że powodzenie tego hiszpańskiego pomiotła świadczy o tym, jak nisko upadł smak artystyczny w czasach, w jakich żyć nam przyszło, jak nisko obsunęła się sztuka i jak jest beznadziejnie. Prawdziwa, rzetelna artystka nie ma żadnych szans! Kiedy słuchałem tego monologu, zdałem sobie sprawę, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o konkurencję w śpiewaczym zawodzie, jaką

można byłoby zestawić z owym komicznym duetem dwóch diw aspirujących do roli primadonny, zabawnie się przekomarzających w jednoaktówce Mozarta *Dyrektor teatru*; każda z nich śpiewa: „*Ich bin die erste Sängerin*”. Tu chodziło o coś poważniejszego: czyżby śpiewaczka Klementyna znajdowała się na progu szaleństwa?

W takim stopniu jednak panowała nad sobą i nad tym, o czym mówi, że o swojej obecnej sytuacji życiowej nie powiedziała ani słowa, sferę paryskiej codzienności obłożyła klauzulą tajności. Kariera artystyczna w kulturalnej stolicy świata się nie powiodła. Jak wyznała, udało się jej wystąpić tylko dwukrotnie. Po raz pierwszy na uroczystym polskim pogrzebie; jako anonimowa śpiewaczka, bo przecież w takiej sytuacji nikt jej produkcji nie zapowiadał, wykonała zapewne *Ave Maria* i *Pieta Signore* czy inną pobożną pieśń stosowną w czasie ceremonii funeralnej. Drugi występ, choć odbył się we francuskim radiu, też nie zaspokajał jej ambicji. Poproszono ją o nagranie jakichś dwóch melodii ludowych w prymitywnym, wręcz nieporadnym opracowaniu z XIX wieku. Potrzebne one były jako przerywnik czy może tło dźwiękowe w słuchowisku, w którym pojawiały się wątki polskie. Orzekła, że takie coś odśpiewać by mogła pierwsza z brzegu amatorka, a gdyby w Polsce złożono jej tego rodzaju propozycję, nie tylko natychmiast by ją odrzuciła, ale jeszcze by się obraziła za to, że tak nisko ją się ceni. Niestety, polski etap swej artystycznej biografii miała już definitywnie za sobą, nie mogła jej kontynuować, bo ówczesne rygory nie pozwalały na powrót do kraju temu, kto w jednym z tak zwanych państw kapitalistycznych poprosił o prawo pobytu. Dotyczyło to także osób, na których decyzji nie ważyły względy polityczne.

W zasadzie pozostawało tajemnicą, jak sobie na paryskim bruku radziła, nie tylko o tym nie wspominała, ale wręcz zacierała ślady, w sekrecie trzymała to, gdzie mieszka, nie wymieniła nawet dzielnicy, a kiedy się rozstawaliśmy, zachowywała się tak, jakby pragnęła zataić, z jakiej linii metra zamierza skorzystać. Komuś, kto choć trochę znał realia, nietrudno było się domyślić, że wykonywała jakąś pracę, która dla niej, aspirującej do występów na najbardziej prestiżowych scenach operowych świata, była upokarzająca; zatrudniła się zapewne jako służąca w mniej lub bardziej zamożnym mieszczańskim domu, może jako opiekunka do dzieci, a może jako osoba zajmująca się cierpiącą na chorobę Alzheimera staruszką. I mieszkała niewątpliwie w *chambre de bonne*, w jednej ze służbówek w mansardach

wspaniałych wielopiętrowych kamienic, budowanych głównie w drugiej połowie XIX wieku, w których były schody frontowe, przeznaczone dla państwa, i schody kuchenne; to one, z reguły bez windy, prowadziły do owych *chambres de bonne*. Mogłem sobie wyobrazić, jak się po nich wspina, by dotrzeć do swojego małego i źle oświetlonego pokoiku z miniaturowym oknem umieszczonym w dachu.

To fakt, opowieść śpiewaczki Klementyny, zwłaszcza ta jej część, która przynosiła wizję nieustannych spisków, jakich miała stać się ofiarą, zrobiła na mnie spore wrażenie, muszę jednak przyznać, że dość szybko przeszedłem nad tym do porządku, po prostu o całej tej historii zapomniałem. W czasie swego kilkumiesięcznego pobytu w Paryżu prowadziłem dość intensywne życie, dużo czasu spędzałem w bibliotekach, no i chciałem wykorzystać ten darowany mi okres jak najlepiej – i najwięcej zobaczyć. O mojej znajomej, z którą spędziłem tylko jeden wieczór, przypomniałem sobie kilkanaście lat później, gdy ujrzałem w jednej z gazet jej nekrolog. Podpisała go rodzina, chyba dalsza, bo wszystko wskazywało na to, że bliskiej nie miała. Wspomniano w nim, że zmarła była śpiewaczką, ale prawie żadnych szczegółów, poza tym, że odeszła w Paryżu, nie podano. Uderzyło mnie jedno: data urodzenia. Śpiewaczka Klementyna na świat przyszła w czasie pierwszej wojny światowej, a więc wówczas, kiedy rozmawialiśmy, dobiegała pięćdziesiątego roku życia. Wiadomo, że dla artystek operowych jest to czas, w którym kariery nie rozpoczynają, a jeśli już w swej sztuce sukcesy osiągnęły, pozostaje im dbałość o zachowanie zdobytych pozycji albo muszą już nieuchronnie myśleć o ograniczaniu repertuaru, a nawet jego radykalnej zmianie, zapewne trudno im się uwolnić od myśli o nadciągającym raz szybciej, raz wolniej zmierzchu. Już choćby z tego względu śpiewaczka Klementyna nie mogła liczyć na wiele, w istocie zaś skazana była z góry na przegraną. Nie wiem, jak przebiegło kilkanaście ostatnich lat jej ziemskiego bytowania. Myślę, że fatalnie. Nie wiem też, czy zachował się choćby skromny ślad po jej muzycznej działalności. Sądzę, że tak pokierowała swoim życiem, iż pozostała po niej jedynie pustka. Czy ktoś jeszcze poza mną o niej pamięta?

Pani nie ma w domu

– Pani nie ma w domu, proszę zadzwonić jutro.

To były pierwsze słowa, jakie usłyszałem, gdy zadzwoniłem pod numer, który znalazłem w „Życiu Warszawy” wśród ogłoszeń, konkretnie w dziale „Nauka”. Po tym, jak się przedstawiłem i powiedziałem, w jakiej sprawie dzwonię. Nie byłem tą odpowiedzią zachwycony, łatwego dostępu do telefonu nie miałem, w ogóle w Polsce przed półwieczem w tej dziedzinie marnie się działo. W Warszawie było trochę budek z tak zwanymi automatami, można było z nich korzystać po wrzuceniu odpowiedniej monety, na ogół jednak były popsute. Oficjalnie mówiono, że za sprawą chuliganów, miał to być bowiem przedmiot ulubiony, na którym wyładowywali swą pasję niszczenia, wydaje się jednak, że często odmawiały posłuszeństwa, czyli – jak się zwykło mówić – wysiadały, same przez się, po prostu były tandetne. W Miasteczku nie zainstalowano nawet czegoś takiego, posiadaczem własnego aparatu stałem się po długotrwałych zabiegach kilka lat później, musiałem więc, gdy chciałem z kimś się skontaktować, biec na pocztę. Na załatwieniu sprawy mi zależało, posłuchałem rady, zadzwoniłem dnia następnego.

Zdziwiło mnie to zdanie z pewnego powodu, który zresztą nie miał dla mnie większego znaczenia: zabrzmiało ono tak, jakby wypowiedziała je służąca – i robiło takie wrażenie, jakby pochodziło z całkiem innej, bo przedwojennej epoki. Słowo „pani” padło bez nazwiska, w tej sytuacji było jednoznaczne – „pani” to osoba, która mnie zatrudnia, w której domu pracuję, której polecenia muszę wykonywać. W ten właśnie sposób służące w dawniejszych czasach mówiły o swoich pryncypałkach. Przed wojną byłem zbyt mały, by wiedzieć o tym z własnego doświadczenia, znałem jednak tę praktykę z licznych powieści i sztuk teatralnych. Nic o osobie, u której zamierzałem uczyć się języka Racine’a i Stendhala, nie wiedziałem poza jednym: zatrudnia pomoc domową, czyli właśnie – jak się mówiło za ponurych czasów sanacji (ale także wcześniej) – służącą. Szybko wszakże miałem się przekonać, że należy to między bajki włożyć. Gdybym wówczas znał *Pokojówki* Geneta, sytuacja niewątpliwie skojarzyłaby mi się z tym dramatem.

Kiedy zadzwoniłem po raz drugi, szczęśliwie natrafiłem na „panią”. Ustaliliśmy termin pierwszego spotkania, jeszcze nie lekcji, bo zanim rozpoczniemy naukę, moja rozmówczyni chciała nas poznać. Nas, bo namówiłem jednego z kolegów, byśmy na te lekcje chodzili we dwóch, on zresztą szybko się wycofał, zrezygnował, bo uznał, że to zawracanie głowy,

irytująca strata czasu i pieniędzy. Myślę, że nie miał racji, zajmowały go wtedy jakieś kłopoty osobiste, trudno było mu się skupić na gramatyce czy przyswajaniu słówek i idiomów. Kiedy zjawiliśmy się o umówionej porze, drzwi nam otworzyła kobieta w średnim wieku, od razu się zorientowaliśmy, że to nie ona będzie nas wprowadzała w tajniki francuszczyzny, bo zadała pytanie tak, jakby chciała się upewnić: Panowie do pani... (i tu padło jakieś nazwisko) w sprawie lekcji, prawda? I niemal nie czekając na odpowiedź, powiadomiła: Już ją proszę. W tym momencie w maleńkim przedpokoju pojawiła się osoba w wieku zaawansowanym, siwiuteńka i mocno przygarbiona. Wyobrażenia starości bywają względne, w dużej mierze zależą od tego, w jakim wieku są osoby, które dokonują oceny, a my wtedy ledwo przekroczyliśmy dwudziestkę. Ale nawet gdy uzna się pewną relatywność tej kategorii, nie można było przeczyć, że nasza przyszła Madame nie tylko młodość, ale także wiek średni ma już dawno za sobą. Kobieta, która drzwi nam otworzyła, zwracała się do niej „mamusiu”.

Jak zwykle w takiej sytuacji wstępna rozmowa dotyczyła spraw finansowych i terminów. Ale nasza przyszła nauczycielka chciała się też dowiedzieć, czy jeśli o francuski chodzi, wiemy cokolwiek, czy też będzie musiała zaczynać od elementarza. Obydwaj w czasie studiów chodziliśmy na lektorat, coś tam umieliśmy, z pewnością niezbyt wiele. Prowadziła go romanistka doskonale znająca język; bardzo się starała, by nas czegoś nauczyć, ale niewiele mogła, przyznano na naukę języka godzin mało, a grupa była duża, składała się bodaj z trzydziestu osób. Rozmówczyni zależało jednak nie tylko na poznaniu zakresu naszych umiejętności, pragnęła jeszcze coś o nas wiedzieć – i już na samym wstępie usłyszała, że jesteśmy świeżo upieczonymi magistrami polonistyki; chyba ją to zadowoliło. Przyglądała się nam z zaciekawieniem, chciała się utwierdzić w przekonaniu, że nie jesteśmy złoczyńcami, którzy zamierzają przychodzić do mieszkania pod pozorem lekcji po to, by ją okraść lub zrobić coś jeszcze gorszego. Chyba w tym samym celu zaglądała do pokoiku, w którym rozmawialiśmy, córka, jej także zależało, by się czym prędzej dowiedzieć, z kim mamusia będzie miała do czynienia. Jeśli dobrze pamiętam, na moment panie pozostawiły nas samych, naradziły się – i w następstwie tych działań usłyszeliśmy: możemy rozpocząć kurs francuskiego. Obydwie najwidoczniej nabrały pewności, że nie jesteśmy zakapiorami, można nam zaufać.

Nie będę relacjonował lekcji, były rutynowe, w istocie swej pożyteczne, interesujące było to, co im towarzyszyło i co poza nie wykraczało. Zaciekawienie mogło budzić samo mieszkanie złożone z dwóch miniaturowych pokoi i przedpokoju, w którym z trudem mieścił się wieszak i niewielki fotelik, zapewne przeznaczony dla ucznia, gdy przyszedł trochę wcześniej i musiał chwilę czekać, gdyż lekcja poprzednia jeszcze się nie skończyła. Mieściło się ono w ładnej stylowej kamienicy nieopodal placu Trzech Krzyży, a więc w samym centrum miasta. Nie wiem, czy uniknęła ona zniszczenia w czasie Powstania, czy też rujnacja była stosunkowo niewielka, tak że dom mógł zostać w miarę szybko odbudowany. Mieszkanko zajmowane przez dwie kobiety znajdowało się w mansardzie, domyślałam się, że dawniej było służbówką, w której rezydowały panny służące, pokojówki, kucharki. Pani nauczycielka – dopiero później dowiedziałem się, że nosi rzadkie, z cudzoziemska brzmiące imię Henrietta – powiedziała, że dom należał do jej rodziny, a w istocie do niej, niejedną zresztą w tej dzielnicy, była to bowiem rodzina majątna. Byłej właścicielce niełatwo jednak było uzyskać przydział na mansardowe lokum, wymagało to wielu starań, a także pożarło wiele nerwów, w końcu jednak się udało.

Pani Henrietta lubiła przywoływać lata świetności swej rodziny, które nastąpiły głęboko w XIX wieku, epoka pomyślności trwała długo i nieprzerwanie, aż zburzyła ją wielka dziejowa nawałnica. Madame wspomniała kiedyś, że zatrudniano sporo służby. I wtedy właśnie przypomniało mi się pierwsze zdanie, jakie od niej usłyszałem, owo „Pani nie ma w domu”. Miałem już wówczas pewność, że w mansardowym mieszkanku nie ma nikogo, kto mógłby w sposób uprawniony zdanie takie wypowiedzieć; lata, dekady, całe epoki, kiedy miało się służbę, minęły jak sen jaki złoty, można było już tylko wspominać dawne dobre czasy, nie zawsze przecież było się skromną nauczycielką francuskiego, zmuszoną do zarabiania w ten sposób na chleb powszedni, niemającą nawet emerytury, bo któż mógł przypuszczać, że kiedykolwiek zamożnej osobie będzie ona potrzebna. A wracając do tego, chciałoby się powiedzieć: inicjalnego zdania, to dane mi było je usłyszeć niejedną raz. Pani Henrietta w ten sposób zaczynała pertraktacje telefoniczne z każdym nowo zgłaszającym się uczniem. Po co to robiła, trudno zgadnąć, może lubiła występować w roli własnej służącej, było to jakby jedno z jej wcieleń. To, że umawiała się na pierwsze spotkanie tylko wtedy, gdy córka była w domu, świadczyło o przeczności

i miało uzasadnienie racjonalne, owo odwlekanie wstępnej rozmowy chyba takich motywacji było pozbawione. Lubiła zresztą, gdy zgłaszały się osoby znane, zajmujące jakąś pozycję w życiu publicznym, stojące wyżej od skromnych magistrów polonistyki, którzy niczego jeszcze w życiu nie osiągnęli i zapewne nigdy nie osiągną. Kiedyś powiadomiła, nie ukrywając zadowolenia, a może nawet dumy, że będzie się u niej uczył francuskiego pewien znany filozof (wraz z żoną). W tym przypadku jednak pani Henrietta srodze się rozczarowała. Po jakimś czasie wyznała, że żona filozofa to, owszem, osoba pojętna, szybko chwyta i rozumie, co się do niej mówi, natomiast on to kapuściana głowa, do której nic nie dociera. Nie zdziwiłem się tą surową oceną. Filozof ów był twardogłowym ideologiem partyjnym, często wypowiadającym się w prasie, bodaj wykładowcą materializmu dialektycznego w którejś ze szkółek marksizmu-leninizmu dla aktywistów.

Pani Henrietta lubiła opowiadać o swojej córce, na którą od czasu do czasu natrafiałem, przychodząc na lekcje; ona z kolei wychwalała mamusię. Nosiła dziwne imię, tak w każdym razie mówiła o niej matka: Izula. Nie od razu zorientowałem się, że jest to zdrobnienie od Izabeli, tak jakby Iza było zbyt proste i nie wystarczało, początkowo przypuszczałem, że to deminutyw od Izoldy. Otóż Izula też udzielała lekcji, ale nie francuskiego, który zresztą znać miała od dzieciństwa, i to perfekcyjnie, ale angielskiego. Skończyła anglistykę chyba jeszcze przed wojną. Lekcji dawała niewiele, bo do dyspozycji miała znacznie mniej czasu, gdyż pracowała jako tłumaczka w którejś z agencji prasowych. A ponadto zajmowała się przekładami utworów literackich; nie wiem, jaki w tej dziedzinie pozostawiła dorobek, nie jestem pewien, czy jakaś książka w jej spolszczeniu kiedykolwiek się ukazała. Podobno w jednym z teatrów (chyba prowincjonalnym) w jej przekładzie wystawiono angielską komedię, która cieszyła się ogromnym powodzeniem. Nie mam wątpliwości, nie była to komedia Shakespeare'a.

Pani Izula ze szczególnym upodobaniem snuła opowieści o niezwykłych sukcesach swojej matki. Zapamiętałem dwie. Pierwsza dotyczyła lat wczesnych. Otóż za młodu oddawała się ona z zapałem grze w tenisa. Grała tak wybornie, że w jakimś turnieju dla młodych panien, wczasujących w Nicei w roku 1902, była najlepsza. Puenta nasuwała się sama: gdyby wówczas odbywały się zawody, byłyby oczywiście ich triumfatorką. Opowieść druga przedstawiała wydarzenie sporo późniejsze, z lat przedwojennych. Pani Henrietta przebywała wraz z córką na wakacjach w Biarritz. I tam na plaży

poznała pewnego profesora Sorbony. Zachwycił się jej francuszczyzną, nie szczędził słów podziwu i komplementów, urzekło go, że Polka mówi lepszym, bardziej poprawnym i bardziej wyrafinowanym językiem niż większość rodowitych Francuzów. Nie miałem wątpliwości, entuzjastyczna opinia paryskiego uczonego powinna utwierdzić mnie w przekonaniu, że nie ma w Warszawie lepszej nauczycielki języka francuskiego. Z ochotą gotów byłbym w to uwierzyć, zwłaszcza że nie miałem żadnego porównania.

Słuchając tych opowieści, zdawałem sobie sprawę, że zostały przywołane w wyniku świadomej i daleko posuniętej selekcji. Również pani Henrietta lubiła opowiadać o dawnych czasach, z których nic nie pozostało, zwłaszcza zaś o świetności swej rodziny, ale nie miała żadnych powodów, by starać się, żeby to były historie spójne i szczegółowe, tym bardziej że stanowiły element konwersacji, a uczeń miał nie tylko słuchać pięknej francuskiej wymowy i nią się nasycić, ale powinien sam coś wydukać przynajmniej od czasu do czasu. We wspomnieniach tych powracała postać wybitnego kuzyna, który pracując najpierw w Niemczech, a po roku 1933 w Ameryce, zdobył światową sławę jako chemik; niewiele brakowało i zostałby wyróżniony nagrodą Nobla. Najpierw wysłuchiwałem tych opowieści z niedowierzaniem, przekonałem się jednak, że od prawdy nie odbiegają, stało się to, gdy sprawdziłem, że w suplementowym tomie przedwojennej Encyklopedii Gutenberga jest hasło poświęcone owemu znakomitemu dalekiemu kuzynowi. Po latach zapytałem o niego dwóch zaprzyjaźnionych profesorów chemii, obydwaj potwierdzili, że był to wybitny uczonek, o którym wciąż się pamięta. W opowieści o tym sławnym krewnym nie było raczej tajemnic i niedomówień, nie stanowiło to jednak reguły, przeciwnie, czasem miałem wrażenie, że pani Henrietta opowiada tylko po to, by mieć temat do konwersacji bez konieczności wyjazdów do Abacji, i że mówi w ten sposób, by w istocie nie powiedzieć niczego. Nie pisnęła ani słowem o tym, czym rodzina się zajmowała, że weszła w krąg wielkiej burżuazji, czym się trudnili jej członkowie, że doszli do bogactwa. Byli kamienicznikami, to prawda, ale przecież posiadanie czynszowych domów nie było z pewnością jedyną podstawą rodzinnej fortuny. Powściągliwość tych opowieści obejmowała nie tylko sferę materialną. Raz tylko, i to mimochodem, wspomniała pani Henrietta, że rodzina była ewangelicka; nie zapamiętałem, do którego z protestanckich kościołów należała. Nie miało to jednak większego znaczenia, w jej wypowiedziach i zachowaniach nie pojawiały się żadne oznaki pobożności,

podobnie brakowało ich w mieszkaniu, choć zapełnione zostało do granic możliwości przedmiotami najróżniejszego rodzaju, było wśród nich niewątpliwie kilka drobiazgów, które uchowały się z dawnych dobrych czasów. Myślę, że owo nagromadzenie rzeczy wynikało nie z klasycznie mieszczańskiego, chciałoby się powiedzieć: wiktoriańskiego strachu przed próżnią czy z kultu przedmiotów, lecz było prostym następstwem tego, że to mansardowe mieszkanko było tak małe.

I jeszcze jedno, wspominam tu okres powojenny. Wówczas niezależnie od środowiska, a także własnych doświadczeń, nawiązywało się nieustannie do lat okupacji, to była na ziemiach polskich praktyka powszechna, bo przeżycia z tamtych czasów ciążyły nad wszystkim i wciąż wyznaczały horyzont mentalny, można było sądzić, że nie ma od nich ucieczki, wydawało się, że przejście nad nimi do porządku, czyli zepchnięcie ich na margines, czy wręcz swego rodzaju wyzwolenie, w grę nie wchodziło. I pani Henriecie, i pani Izuli to się jednak udało. Jestem przekonany, że nie za sprawą spontaniczności, to był wynik świadomie podjętej decyzji. One okupację jakby wzięły w nawias, wykreśliły z repertuaru wspomnień, uczyniły z niej tabu. Z jakiego powodu? Dlaczego?

Te opowieści snute w nienagannej czy – jak utrzymywał poznany w Biarritz profesor – wzorowej, wspaniałej wręcz francuszczyźnie odznaczały się generalnie cechą raczej osobliwą: miały charakter ogólny, nie występowały w nich konkretne osoby, od jakich zwykle roi się w osobistych wspominkach: rodzice, rodzeństwo, wujowie, ciocie, stryjowie, bliźsi i dalsi kuzyni... Nic z tych rzeczy, była to z małymi, niezbyt istotnymi wyjątkami historia bez imion i nazwisk, ta rodzinna scena, nawet jeśli nie sposób było o niej powiedzieć, że charakteryzuje się pustką, nie była zindywidualizowana. Starsze panie lubią zwykle wspominać swych nieżyjących mężów, w tym przypadku nie padło na ten temat choćby jedno słowo, tak jakby nigdy nikogo takiego w życiu pani Henrietty nie było. A był na pewno, niewykluczone, że niejeden.

Pojawia się tu kolejny wątek, Madame zwykła się posługiwać aż czterema nazwiskami, zapamiętałem: Rosenberger – Szajnman – Chołodkowska – Firlawicz. Nie interesowało mnie, które z nich jest oficjalne, wiedziałem tylko, że ostatnie należy do pani Izuli, osoby niezamężnej, ale matka też go używała, jakby i jej przysługiwało. W spisie lokatorów, jaki wówczas wywieszano w każdym domu (ustawa o ochronie danych osobowych zaczęła

obowiązywać kilkadziesiąt lat później), figurowało to właśnie nazwisko. Dziwiła mnie ta niecodzienna obfitość i to, że wszystkie przywoływane były na równych prawach. Nie chodziło z pewnością o różnice tego typu, jakie zachodziły między doktorem Jekyll'em a panem Hyde'em, nie miały one charakteru moralnego, czy można je zatem traktować jako swego rodzaju dziwactwo? Punktem stałym było jedynie imię, nie udało mi się dociec, jaka obowiązywała zasada przy tej nieustannej wymianie nazwisk, może decydował przypadek, może kaprys? Nie wykluczam, że przesądzały o niej jakieś głębsze problemy pani Henrietty, która zależnie od okoliczności, a może zresztą bez względu na nie, chciała być różnymi postaciami, różnymi figurami dramatu. Nie będę jednak wnikał w tajniki jej osobowości, to do mnie nie należy.

W jednym moja niegdysiejsza nauczycielka, a obecna bohaterka, była wzorowo rzeczowa i konkretna – w rozliczeniach. Można powiedzieć, że wyliczała się z każdej minuty. Lekcja trwać miała jak w szkole trzy kwadransy, ani chwili dłużej, ale też ani chwili krócej. Pani Henrietta nie dysponowała wprawdzie stoperem, na niewielkich rozmiarów stoliku znajdował się jednak całkiem okazały budzik, stanowiący ważny rekwizyt lekcji, pełnił funkcję podobną, mimo że nie dzwonił, jak szkolny dzwonek. Gdy lekcja z jakichś powodów się przedłużała, Madame oświadczała: odliczę sobie na lekcji kolejnej, będzie o pięć minut krótsza. Reguła ta działała też w stronę przeciwną; gdy z jakichś powodów lekcja musiała ulec skróceniu, nauczycielka komunikowała: oddam panu siedem minut na lekcji następnej. Żeby niczego nie pomylić, ale też nie zapomnieć, pani Henrietta wszystko dokładnie zapisywała, niczym właścicielka wiejskiego sklepiku udzielająca kredytu, w specjalnie przeznaczonym na ten cel zeszycie. Można powiedzieć, że prowadziła swego rodzaju księgowość.

Nadeszły wakacje, a z nimi w sposób naturalny przerwa. Nie zdecydowałem się na wznowienie lekcji u pani Henrietty, uznałem, że ich kontynuacja nie ma sensu. Straciłem z nią kontakt, po kilku, a może nawet kilkunastu latach przeczytałem nekrolog w „Życiu Warszawy”; dożyła późnej starości. Pojawiły się w nim tylko dwa nazwiska, niestety nie potrafię powiedzieć, które. Panią Izulę niespodziewanie i nie bez zdziwienia ujrzałem na pewnym literackim zebraniu. Ukłoniłem się, odpowiedziała, ale w taki sposób, że natychmiast zorientowałem się, że mnie nie poznaje, zdumiona, że jakiś nieznajomy mówi jej „dzień dobry”. Z początku chciałem podejść, ale

w tej sytuacji zrezygnowałem. Na jej nekrolog, dany przez instytucję, w której wiele lat przepracowała, natrafiłem odpowiednio później.

Pani Henrietta, której zdrowie – zdaje się – stosunkowo długo dopisywało, jeszcze przez lata trudniła się udzielaniem lekcji francuskiego, przekonałem się o tym, bo kiedyś wzrok mój padł przypadkiem na kolejne ogłoszenie. Zapewne nadal każdą rozmowę telefoniczną z kandydatem na ucznia rozpoczynała od sakramentalnej formuły „Pani nie ma w domu”. Nie ma, choć – w przeciwieństwie do Markizy – nie wyszła o piątej.

W serii ukazały się:



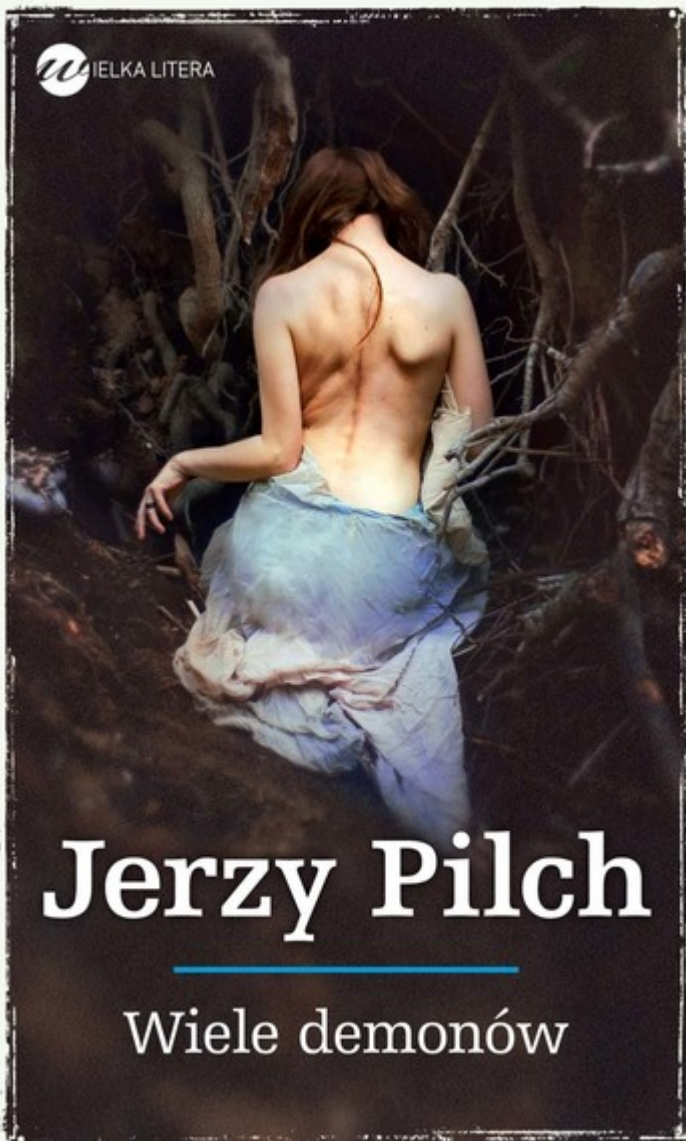
 WIELKA LITERA



Eustachy Rylski

Szara lotka

 WIELKA LITERA



Jerzy Pilch

Wiele demonów

Carska filiżanka

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Epifania

Kaszanka i śnieg

Zabójczy chleb

Pokutnik

Carska filiżanka i inne truwaje

Rusycysta Mordechaj

Najstarszy

Helmut (Z opowieści Dawida W.)

Rysunek

Mariusz

Rapsodia rumuńska

I ja miałem stracone noce

Bar Ganimed

Wędrówka

Śpiewaczka Klementyna

Pani nie ma w domu

W serii ukazały się

Karta redakcyjna

Projekt serii
WKDesign

Opracowanie graficzne okładki
Janusz Staszczuk

Zdjęcie na okładce
Paul Bucknall/Arcangel Images

Redakcja
Katarzyna Krawczyk

Korekta
Marianna Filipkowska

Copyright © by Michał Głowiński, 2016
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2016



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-080-2



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl